



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

MARZEC - KWIECIEŃ

2 (49) 1999

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO—WSCHODNICH • WROCŁAW



A. Setkiewicz

WESOŁEGO ALLELUJA !

Spis treści

Życzenia Świąteczne	1
Danuta Śliwińska – Nasza Wielkanoc	1
Alfred Janicki – Opowiadania Mamy.....	3
Jerzy Masior – Być ze Lwowa, być z Kresów	4
Jerzy Masior – wiersz – Po Co	8
KRESOWI KAPŁANI	
Jerzy Duda – Ks. Ludwik Rutyna	8
KRESOWE SYLWETKI	
Lesław Lewandowski – Ppłk Walerian Sikorski	10
Zbigniew Kratochwil – Marian Kratochwil (1906-1997) (I)	12
WSPOMNIENIA	
Stan Scheller – Jak obrońcy szkoły Sienkiewicza zapoczątkowali Obronę Lwowa	14
Michał Siera – Samotna ucieczka z Reichu (c.d.)	18
Franciszka Grodecka (Kanada)	21
List z podziękowaniami od Wojewody Wrocławskiego do Zbigniewa Graty Prezesa Oddziału TMLiKPW w Brzegu	23
UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLiKPW	
Remigiusz Węgrzynowicz – Kresy Południowo-Wschodnie kresom Północno-Zachodnim. 10 lat TMLiKPW w Szczecinie	24
Tadeusz Kukiz – Z dziejów Ziemi Radziechowskiej	28
I Ogólnopolski Festiwal lwowskiego „bałaku”	31
Danuta Nespiak – Wołyńskie upamiętnienia	31
List ks. Janusza Popławskiego do Lwowiaków i Kresowian	33
KRESOWIANIE NA OBCZYŻNIE	
Helena Wiewiórska – Polacy w Szkocji	34
Władysław Dziemiańczuk – 40-lecie założenia Związku Ziemi Wschodnich RP w Toronto	
(Przedruk: „Głos Polski” 17-24 listopada, Nr 46, Toronto)	35
AKTUALNOŚCI	
List Janusza Kotlarczyka	36
Zbigniew Umański – Kronika Kresowa	38
Halina Bogucka – Bliżej Mickiewicza	40
WŚRÓD KSIAŻEK	40
Jerzy Petryński – „LWÓW” – pierwszy polski statek szkolny	41
Henryk Stanisław Hordt – Pierwsza okupacja sowiecka we Lwowie (c.d.)	42
ZASŁUŻENI KRESOWIANIE	
Wojciech Fuliński – Profesor Jacek Fuliński (1915-1998)	43
Kazimierz Rozmiłowski – Prof. Antoni Żebracki (1914-1998). Wspomnienie	44
Stanisław Błasiak, Stanisław Babiarz – Bolesław Orliński – wielki Kresowiak	46
Krzysztof Donigiewicz – Wspomnienia z okresu II wojny światowej	49
APELE	
Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddział w Lublinie	50
List Tadeusza Łodzian	50
Apel Stowarzyszenia Lekarzy Polskich we Lwowie	51
List otwarty Stanisława Czuruka do Pana Jerzego Bahra, Ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej w Kijowie	51
Rodrycjusz Gerlach – Los Kresowiaka na Syberii. Dwa obrazy. Wspomnienia z II wojny światowej	51
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	52

Czasopismo jest współfinansowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa

Redaguje Kolegium: Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI, Jerzy PETRYŃSKI, Danuta ŚLIWIŃSKA, Zbigniew UMAŃSKI.
Redaktor naczelny: Andrzej KAMINSKI
Właściciel tytułu i adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Rуска 32/33, tel. 44-88-93; konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-99192-270-1-111
Wydawca: Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” (adres i telefon jak wyżej). Zarząd: D. TABIŃSKA-JUHASZ – dyrektor, Z. BAKULIŃSKA, Z. UMAŃSKI.
Konto bankowe Fundacji Kresowej „SF”: PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-10012-270-1-111.

Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.

Alleluja! Alleluja!

*Na radosne święta Zmartwychwstania Pańskiego
dużo zdrowia i radości, wiele dobroci od ludzi oraz
wszelkiej pomysłności i obfitych Łask Bożych jak też
smacznego święconego wszystkim naszym Czytelnikom
Lwowiakom i Kresowiakom oraz Rodakom
za wschodnią granicą, jak też Rodakom na Zachodzie
życzą z całego serca*

*Redakcja „Semper Fidelis”
Zarząd Główny TMLiKPW
Fundacja Kresowa S F*



Rys. Jerzy Masior

Danuta Śliwińska

Nasza Wielkanoc

Wielkanoc – największe święto chrześcijańskie jest symbolem zwycięstwa dobrego nad złem. Tak samo jak święta Bożego Narodzenia tak święta Wielkiej Nocy mają wiele cech podkreślających nasz narodowy charakter, naszą polską serdeczność i głęboką pobożność.

Zwyczaj związane z obchodem świąt Wielkiej Nocy rozpoczynały się od Palmowej Niedzieli. Na temat tego czemu polską palmą jest gałązka wierzbowy i leszczynowy istnieje wiele legend. Palmy mogą również zawierać gałązki cisu, sosny, jałowca lub winorośli.

*„Otoż wierzbowy, otoż kwietny
zawitała nam Niedziela...
do świątyni gronem wszystkim
idą młodzi, idą starzy,
rózdkę wierzby z młodym listkiem
niosą święcić do ołtarzy”*

Wł. Syrokomla

Palmie w dawnej Polsce przypisywano właściwości lecznicze i czarodziejskie.

Od dawien dawna w Palmową Niedzielę klasztory i plebańskie szkoły wystawiały widowiska pasyjne pełne pobożnych wzruszeń i godziwej nauki. Jednym z najstarszych przykładów średniowiecznych misteriów pasyjnych jest „Historia o Chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim” Mikołaja z Wilkowiecka:

*„I po dziś dzień ludzie wierni
Po wszystkim świecie nabożni
Wesela się i radują
Gdy to sobie spominają...
I słońce teraz inaczej,
Wyższe, cieplejsze, jaśniejsze*

Owo wciórniastko stworzenie

Czuje Pańskie Zmartwychwstanie...”

„Historia o Chwalebnym Zmartwychwstaniu” w Polsce na przestrzeni ostatniego stulecia była wystawiana tylko kilkakrotnie, ostatnio w ubiegłym roku wystawiano ją w Bydgoszczy, z ogromnym powodzeniem w świetnej reżyserii Andrzeja Żarneckiego i w znakomitej, pięknej scenografii Ryszarda Strzembąły.

Dzisiaj obchody Palmowej Niedzieli są proste. Ludzie kupują lub sami robią palemki, idą z nimi do kościoła, gdzie podczas mszy św. odbywa się święcenie. W domu – na wsi, najczęściej zatykają za „święty obraz”; w mieście umieszczają na ścianie lub wstawiają do suchego wazonu i tak trzymają aż do następnej Palmowej Niedzieli. Niektóre dzisiejsze palemki – to prawdziwe dzieła sztuki. Pięknymi palmami zawsze mogły poszczycić się Wilno i ziemia wileńska.

Wielki Tydzień

*„Już Wielki Tydzień, rzewniejsze brzmia pieśni,
dłuższe modlitwy, posępniejsze lica,
Śmiech się nie ozwie, struna nie zadzwoni...”*

Adam Pług

Cały Wielki Tydzień upływa pod znakiem przygotowań i oczekiwania Wielkiej Niedzieli, tak w kościele jak i w domu. W tym czasie m.in. odwiedzamy ubogich i chorych, udzielamy im wsparcia. Robimy wielkie porządki.

W Wielką Środę odprawiana jest w kościele tzw. ciemna jutrznia, po której milkną dzwony aż do rezurekcji. W tym okresie chłopcy biegali z kołatkami mocno hałasując, co miało symbolizować wypędzenie Judasza.

W Wielki Czwartek chłopcy dalej biegali z kołatkami, a na pamiątkę Wieczery Pańskiej we wszystkich domach jadano postną kolację.

Wielki Piątek to przede wszystkim Groby. Zwyczaj strojenia grobów przywędrował do Polski najprawdopodobniej z



Czech lub z Niemiec. Starą polską tradycję stanowi odwiedzanie w kościołach grobów, trwa to do dziś. W każdym kościele kwestowano na biednych, na budowę przytułków, sierocińców, domów dziecka.

W Wielki Piątek gotowano i malowano jajka. Jajko symbolizuje słońce, siły ożywcze przyrody jakie budzą się na wiosnę. Podanie

greckie z X wieku mówi, że zwyczaj malowania jajek wielkanocnych wprowadziła św. Magdalena. Nazwy jajek wielkanocnych zależą od sposobu w jaki zostały zrobione. I tak:

- kraszanki, malowanki, hałunki to jajka malowane na jeden kolor,
- rysowanki, skrobanki to jajka, które na jednostajnym tle mają wyskrobany wzór, deseń,
- pisanki to jajka pokrywane woskiem, a następnie gotowane w barwnikach. Na kolor żółty barwi się w łupach cebuli, na zielono w wywarze z młodego żyta ozimego lub innego zboża, trawy, liści pokrzywy, na fioletowy w liściach bazylii, na czerwony w korze dębowej, owocach czarnego bzu, na kolor czarny w korze olchy i młodych liściach czarnego klonu. Dawniej używano również do barwienia jajek farbki do bielizny, atramentu, kawy, cynamonu.

Dzisiaj mamy do dyspozycji wielką gamę rodzajów i kolorów farb, poza tym ozdabia się jajka różnymi materiałami, lakierami itd.

Wielka Sobota to przede wszystkim dzień święconego. Rano święcono wodę i ogień, a przez cały dzień pokarmy. Ten stary, słowiański obyczaj pielęgnowany do dzisiaj w każdym polskim domu, należy do najstarszych, polskich tradycji. Dawniej księża objeżdżali pałace, dwory, zaścianki i wioski święcąc prosiaki, baby wielkanocne i wiele, wiele jadła. Dzisiejsze święcone jest skromniejsze, to chrzan, sól, kielbasa, babka wielkanocna, barwinek, pisanki, baranek i mieści się to wszystko w małym koszyczku.

Stary obrzęd święcenia pokarmów i napojów znany był w kościele katolickim już w VIII w., w Polsce zachował się do dziś.

Wielką Sobotę kończyła Rezurekcja, nabożeństwo biorące nazwę od słowa łacińskiego – zmartwychwstanie. Rezurekcja to obrzęd radosny, powszechny w krajach słowiańskich. Gdy rozlegają się dzwony, wszyscy śpieszą na rezurekcję. Z czasem przeniesiono ją z soboty wieczór na niedzielny ranek. W czasie uroczystego nabożeństwa zawsze brzmi zwycięska pieśń zmartwychwstania „Wesoły nam dziś dzień nastał”. Wracając z rezurekcji do domu wszyscy witają się i pozdrawiają na drodze, w domu słowami „Chrystus Pan zmartwychwstał”, na to odpowiada się „prawdziwie zmartwychwstał”.

Wielka Niedziela – po rezurekcji i powrocie do domu cała rodzina zasiadała przy wielkanocnym śniadaniu. To święto rodzinne po długim czterdziestodniowym poście poświęcone było jedzeniu. Śniadanie rozpoczynano od dzielenia się „święconym jajkiem” i tak jest do dziś, następnie spożywamy święcone, a dopiero później wszystkie smakołyki, bardzo bogatego i urozmaiconego jadła wielkanocnego. Niedziela na ogół upływa w gronie rodzinnym.

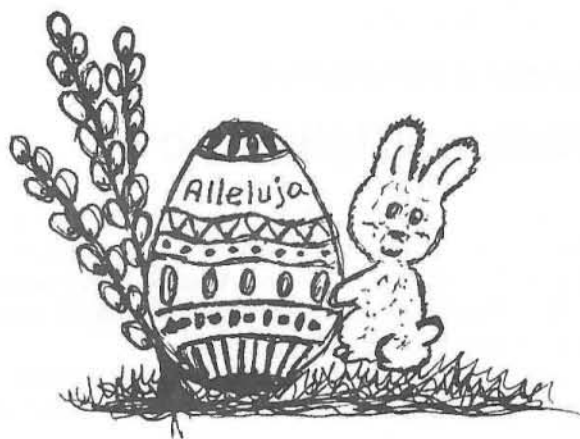
Poniedziałek Wielkanocny. Po spędzeniu Niedzieli poważnie na jedzeniu poniedziałek przeważnie był i jest

dniem spacerów, odwiedzin przyjaciół i znajomych, a także słynie w całej Polsce z oblewania się wodą. Zwyczaj ten miał wiele nazw: oblewanka, lejek, dyngus i śmigus i inne. Oblewanie się wodą ma początek w prasłowiańskich czasach, kiedy głęboko wierzono w oczyszczającą moc wody, a gdy kościół wprowadził jej poświęcenie – zwyczaj ten się usankcjonował. Śmigus-dyngus to pojęcie na które składają się trzy obrzędy: smaganie różgą, oblewanie wodą i zbieranie podarków (wykup). W każdym regionie polskim zwyczaj te miały trochę odmienny charakter, wszędzie chłopcy oblewali wodą dziewczyny i tak pozostało do dziś, natomiast bardziej eleganccy panowie skrapiają swoje damy wodą kolońską lub perfumami.

Ale trzeba stwierdzić, że z dawnej tradycji pozostało do dzisiaj bardzo wiele, przede wszystkim został nastrój radości. Wielkanoc to święta radosne tak w kościele – bo Pan Zmartwychwstał, jak w przyrodzie – budzi się wszystko do życia, a każdy dom polski, zwłaszcza w Poniedziałek stoi otworem dla gości pełen jedzenia. Są to wesołe święta towarzyskie, nie pozbawione i psikusów w rodzaju śmigusa-dyngusa.

Radosny duch świąt pozostał ten sam, pozostały też z dawnych czasów przepisy na smakołyki świąteczne.

Dzisiaj podam następne przepisy z tego samego źródła co poprzednio (S.F. nr 2 z 1995 r. oraz S.F. nr 2 z 1998 r.)



Uniwersalny sos wielkanocny

Ten sos nadaje się do wszelkiego rodzaju mięs oraz gallet, a jest lżejszy od sosu tatarskiego.

3 duże żółtka ugotowane na twardo ucieramy na jednolitą masę z sokiem z 2-ch cytryn, rozprowadzamy 1/4 szklanki majonezu i 3/4 szklanki gęstej, świeżej śmietany. Do sosu dodajemy 3 białka, drobnutko pokrojone, ugotowane na twardo, 2 większe pęczki zielonego szczypiorku również bardzo drobno pokrojonego, 1-ą łyżeczkę startego na tarce świeżego chrzanu, 1/2 łyżeczki natki pietruszki pokrojonej drobno. Całość solimy i cukrujemy do smaku.

Mazurek cytrynowy

25 dkg sparzonych migdałów mielimy w maszynce i ucieramy w makutrze z 20 dkg mialkiego cukru i sokiem z 2-ch cytryn. Dodajemy skórkę startą z 2-ch cytryn, mały kieliszek rumu. Na końcu lekko mieszamy z pianą ubitą z 2-ch białek. Wykładamy na andrut i pieczemy w wysmarowanej tłuszczem blaszce w średnio-gorącym piecu ok. 15-20 minut.

Po wystygnięciu mazurek kroimy na 2 placki i przekładamy konfiturą z róży. Kroimy w wąskie paseczki.

Po upieczeniu mazurek dekorujemy dowolnie po uprzednim polukrowaniu. 4 łyżeczki mialkiego cukru mieszamy z sokiem z 1-ej cytryny, ucieramy na gęstą papkę, dodajemy nieco wody i ogrzewamy na ogniu, gorącym lukrem smarujemy mazurek.

Mazurek daktylowy

Z 4-ch białek ubijamy na sztywno pianę, przy końcu dodajemy 20 dkg mialkiego cukru i dalej ubijamy. Następnie lekko mieszamy z 25 dkg drobno pokrojonych daktyli i 25 dkg sparzonych i drobno pokrojonych w paseczki migdałów. Wykładamy na andruty, położone na wysmarowanych tłuszczem blaszkach i pieczemy w średnio-gorącym piekarniku. Po wystudzeniu smarujemy glazurą i dowolnie dekorujemy.

Glazura – 1/4 szklanki śmietany kremówki ucieramy z 3-4 łyżeczkami mialkiego cukru i małym kieliszkiem rumu. Ucieramy do osiągnięcia gładkiej masy i wówczas smarujemy nią mazurek.

Kolorowy tort wielkanocny

15 żółtek ucieramy z 20 dkg mialkiego cukru na jednolitą masę (pulchną), dodajemy 25 dkg sparzonych i zmielonych migdałów oraz pianę ubitą na sztywno z 10-ciu białek. Masę rozdzielamy do czterech naczyń. Jedną część barwimy tabliczką gorzkiej, startej czekolady, drugą część barwimy

szafranem na kolor żółty, trzecią część barwimy 2-ma łyżeczkami soku z konfitury wiśniowej na kolor różowy, czwartą część barwimy 3 łyżeczkami soku ze szpinaku (do dyspozycji mamy mrożony) na kolor zielony. Pieczemy w 4-ch wysmarowanych tortownicach. Osobno pieczemy jeden blacik piankowy z ubitej na sztywno piany z 3-ch białek i 10-ciu dkg mialkiego cukru.

W sumie po upieczeniu mamy do dyspozycji 5 blatów.

Dolny, trzeci i piąty (wierzch) smarujemy masą czekoladową, natomiast 2-gi smarujemy dżemem morelowym, a 4-ty konfiturą z róży.

Masa czekoladowa: w makutrze ucieramy 40 dkg masła na pianę, osobno 6 całych jajek ubijamy na parze z 12 dkg mialkiego cukru ok. 1/2 godz., gorące ubite jajka zestawiamy i dalej ubijamy aż do zupełnego wystygnięcia. Wówczas do utartego masła dodajemy kieliszek rumu, startą skórkę z jednej cytryny oraz po łyżce ubitych jajek i startej czekolady gorzkiej (w sumie 2 tabliczki).

Jak posmarujemy ostatnią warstwę masy czekoladowej, tzn. wierzchnią i boki tortu – całość dekorujemy migdałami, usmażoną skórką pomarańczową, konfiturą z wiśni i cykatą.

Z powyższym tortem jest trochę więcej pracy jak przy pieczeniu innych ale za to jest znakomity i wygląda kolorowo, wiosennie.

Smacznego!

Alfred Janicki

Opowiadania Mamy...

Ważnym okresem w życiu rodzin na Kresach był czas poprzedzający Wielkanoc i obchody tych świąt. W ostatnim tygodniu karnawału poszczególne rodziny, sąsiedzi dobrze żyjący ze sobą, umawiają się, gdzie, u kogo zrobią „zapusty”. Umówieni przygotowują się do spędzenia wieczoru kończącego karnawał. O oznaczonej godzinie (zwykle o piątej po południu) schodzi się cała rodzina i sąsiedzi (bez względu na wyznanie). Kobiety zwykle przynoszą ze sobą pieczywo lub studzieninę, a mężczyźni „kwaterkę” wódki – kupowanej najczęściej u miejscowego karczmarza – Żyda. Na takie spotkanie zamawiało się często muzykantów (skrzipce i bębenek). Dorosli członkowie takiego spotkania przez dłuższe chwile siedzieli za stołem i obserwowali tańczącą młodzież. Muzykanci nie oszczędzali się. Po kilku naparstkach wódki często obserwowano się żywe rozmowy między członkami rodzin, a także między sąsiadami. Niektóre „rozmowy” kończyły się podawaniem ręki, z jednoczesnym poklepywaniem po plecach, wspólnym wypiciem wódki. Takie zachowanie oznaczało przeprosiny. Był bowiem powszechny zwyczaj, że nie godzi się żyć w poście w stanie grzechu niechęci czy nienawiści. Kiedy młodzież tańczyła, starsi często grali w karty (wóz albo durak). W późnych godzinach wieczornych tańczyli wszyscy uczestnicy spotkania, bez względu na wiek. Z atmosfery panującej na takiej zabawie gospodyni wróżyła sobie urodzaj konopii – wesoła zabawa, zgoda wśród wszystkich – zapowiadały nadzieję w dorodności konopii. W niektórych wioskach zabawę kończono zaprzęganiem koni do sań i wspólnym „kuligiem” w trakcie którego dopijano resztę wódki, śmiechem i piskiem kobiet nie było końca. Między poszczególnymi zaprzęgami dochodziło do wyścigów, kończących się często wywrotką i

kąpielą w śniegu. Po takim wieczorze i nocy następował okres postu. Najczęściej spożywano potrawy przyrządzane na oleju konopnym czy makowym. W wielu rodzinach nie spożywano nawet mleka. Podstawowym pożywieniem były ziemniaki (swoicie smakowały ziemniaki gotowane w łupinach, w garnku spiżowym, w piecu chlebowym). Powszechnie jedzono w tym okresie chleb z cebulą zalaną olejem konopnym i posoloną. Ziemniaki spożywano z kiszoną kapustą, okraszoną również olejem lub kiszonymi ogórkami. Przez okres postu we wszystkich (bogatych i biednych) domach prowadzono rozmowy na temat oczekiwań na prezenty, które zwykle w okresie Wielkanocy każdy chciał otrzymać (dziś oczekujemy na prezenty „pod choinką”). Przeprowadzano też generalne sprzątanie, które polegało na umyciu ścian wodą wewnątrz domu, a następnie należało pobielić „pomieszczenie” wapnem (szczotka do bielenia zrobiona była z prosa). Przed rozpoczęciem malowania należało prawy nadgarstek podwiązać czerwoną nitką lub wstążeczką (aby ręka się nie rozwinęła). W większości domów kładziono nową warstwę gliny na „podłodze”. Niedziela „Palmowa” rozpoczynała bezpośredni czas oczekiwania na święta. W sobotę przed „Palmową” męska młodzież udawała się nad Seret, szukano dorodnej łoży i wiech szuwarowych, z których po dodaniu różnokolorowych wstążek, wykonywano palmy. Ubodzy chłopcy (jak i żebracy) chodzili po domach i sprzedawali palmy. W niedzielę, po poświęceniu palm, można było już nawzajem uderzać się palmą po plecach, wypowiadając jednocześnie te słowa:

*„Łoza bje, ne zabje,
Wid nyny za tyżdeń Wetykdeń”*

lub:

*„Bije palma, nie zabije,
Za sześć noc, Wielkanoc”*

Panowało ogólne podniecenie i radość. Ostatni tydzień charakteryzował się pracami poświęconymi przygotowa-

niom potraw świątecznych. Kobiety koncentrowały się przygotowaniem wielkanocnej paski (rozmiary i wygląd paski wróżyły pomyślność gospodyni – marzeniem było, aby paska była wyrosnięta, aby miała piękny wypieczony kolor i koniecznie na swym wierzchu musiała popękać). Z drugiej zaś strony, jeżeli paska była zbyt piękna to można było spodziewać się rychłej śmierci gospodyni. Pieczywo to wypiekano w blaszanych formach, bądź w obojczykach ze starych rzeszot (reszoto). Dumą każdej dobrej gospodyni były trójwarstwowe kołaczki. W wielkim tygodniu gospodarz zabijał świniaka, robiono kielbasę z dużą ilością czosnku, następnie wędzono ją dymem z drzew liściastych (olcha, wiśnia, brzoza, jabłoń), gotowano studzieninę. W niektórych domach zdejmowano skórę z głowy świniaka, nadziewano ją kluskami, gotowanymi jajkami, a następnie pieczono ją w piecu chlebowym. Tak przygotowaną głowę wkładano do kosza jako jedną z potraw do święcenia. W „wielką sobotę” niesiono do kościoła „święconkę” w koszyku. Jego wielkość i zawartość świadczyły o zamożności domu. Zwykle składała się ona z paski, kielbasy, pisanek, hałunek, osetki masła, sera, soli, całuszek chleba, kawałeczków chrzanu, czosnku, jajka bez skorupki.

W wielki czwartek masowo, całymi rodzinami szło się do kościoła, na rozpatrywanie „Męki Pańskiej”. Nieobecność którejś gospodyni w kościele mogłaby powodować niepowodzenie w wypiekach ciast. W czwartek milkły też kościelne dzwony (aż do rezurekcji), ministranci używali zamiast dzwonek drewniane kołatki. Zwykle w Wielki Piątek dziewczęta farbowały jaja. Do tego celu używano barwników roślinnych (np. cebulnia – łuski z cebuli, kora dębu) oraz ałunu. Jednolicie zafarbowane jaja nazywano „hałunkami”, a ozdobione przeróżnymi wzorami, napisami nazywano „pisankami”.

Rezurekcja była mszą, w której uczestniczyli członkowie rodzin (często i grekokatolicy) i na ich rezurekcję chodzili też członkowie rodzin – katolicy. Znaną są przypadki, gdy w trakcie rezurekcji (katolickiej jak i grekokatolickiej) wierni po zawołaniu księdza w cerkwi: „Chrystos woskres” odpowiadali słowami, które miały zapewnić im powodzenie w jakiejś dziedzinie ich życia (zamiast: „Woisteno woskres” mówiono: „ja hroszy rachuju”, „koni kupuju” itp. Po ogłoszeniu przez księdza, że Chrystus zmartwychwstał, rozlegała się kanonada na kościelnym dziedzińcu. Zwykle członkowie Sokoła, strażacy czy też w latach 1922-1930 ułani z Trembowli strzelali „na wiwat”. To wprowadzało nastrój

podniecenia. Po rezurekcji chłopcy strzelali z wyrobionych przez siebie urządzeń. Taka strzelanina trwała dosyć długo. Rodziny po powrocie z kościoła zasiadały do stołu. Śniadanie rozpoczynano od spożywania święconego jajka, składania sobie życzeń i wręczania świątecznych prezentów (mama najczęściej dostawała upragnioną chustkę, a dalej to były meszty, spidnicy, koraliki). W tym dniu kobiety zwykle zakładały spódnice z „pięciu pólek”, kolorowy fartuszek, na głowę zaś kolorową chustkę – wiązaną z tyłu głowy, dziewczęta oprócz kolorowych spódnic wkładały serdaczki z cekinami i kolorowymi wstążkami upiętymi do ramion, na głowę zaś zakładały wianuszki z kolorowych kwiatków, większość dziewcząt w swoje „kosy” (warkoczki) wplatały kolorowe wstążki. Biodra opasywały zwykle czerwonymi pasami zwanymi „krajkami”. Zarówno kobiety jak i dorastające dziewczyny uważały się w zgrabne buciki na obcasiku. Uroczystego charakteru ubiorowi dawały całe łańcuchy koraliki (do rzadkości należały tzw. „dukacze” – koraliki z dukatami).

Po śniadaniu gospodyni zanosila krowie całuski (ciłuszki) z chleba, paski czy kolacza (miało to wpływać na zwiększenie udoju). Dziewczyny w ukryciu „zaparpywały” w ogródku skorupki z hałunek i pisanek (po kilku latach miało z nich wyrosnąć ziele „luby mene” czyli lubczyk, wywarem z którego należało poczęstować swego chłopca).

W tym dniu i następnych dwóch dniach we wsi nie było żadnego: „dzień dobry”, lecz pozdrawiano się: „Chrystus zmartwychwstał” lub „Chrystos woskres” i odpowiadano w zależności od wyznania: „Prawdziwie powstał” lub „Woisteno woskres”. Podobne pozdrowienia przekazywano sobie w czasie świąt grekokatolickich.

Następny dzień świąt zwano „oblewanym”. Nikt nikomu wody nie żałował. Wodę czerpano ze studni, z Seretu. W tym dniu oprócz polewania się wodą mężczyźni chodzący od domu do domu (najczęściej kawalerka) okładali dziewczęta różgami dopóki nie wykupiły się pisankami czy hałunkami. W niektórych bogatych domach były pokoje z bogatym wystrojem, przebogata pościelą (z dużą ilością haftowanych poduszek), tam zawsze chłopcy dotarli i zlać wodą co się dało. We wtorek aktywne były dziewczęta i teraz chłopcy musieli się wykupić. Jednocześnie w pobliżu kościoła i cerkwi odbywały się zabawy ludowe (czasami na cmentarzu) zwane „hajówkami” (krótko przed wojną i w czasie wojny grekokatolicy stronili od wspólnych wiejskich zabaw). Zwyczaj ten stosowano w okolicach Trembowli, ale i dzisiaj ich okruchy w zwyczajach rodzin kresowych pozostały. □

Pamiętanie, ale jakie

Jerzy Masior

Być ze Lwowa, być z Kresów

Celowo tytuł „Pamiętania” brzmi właśnie tak, a nie: być Lwowianinem, Kresowiakiem. Nie chodzi bowiem wyłącznie o tych tam urodzonych – sam nim nie jestem, bo zapewne moi Czytelnicy wiedzą żem z Chodorowa. Nie tak dawno udało mi się, ku mojemu zaskoczeniu, kupić w sądeckim antykwariacie widokówkę z kościołem farnym, w którym obdarzono mnie imieniem. Ks. Augustyn Mednis, obecny proboszcz chodorowskiej parafii sprawdził przed moją wizytą u niego: w liber neonatorum figuruję. Moją małą ojczyznę pozostaje jednak Lwów. W tym Mieście nasiąkałem młodością, a więc tym wszystkim. Takich

jest wielu: urodzonych i nie urodzonych we Lwowie, lecz gdzieś na Kresach. Oni przenigdy nie zaparli się, że są stamtąd. To stamtąd należy rozumieć jako przestrzeń-matrycę, kraj, czy okolicę, do której świadomie odwołujemy się do dziś. Czy są te odwołania? Jak funkcjonują one w naszym życiu, zwłaszcza w tym codziennym, a nie na jakichś tam okolicznościowych, jubileuszowo-wspominkowych spotkaniach. Od 10 lat jest ich sporo, a więc do manifestowania swojej kresowości okazji jest wiele, ale przecież znany to fakt socjologiczny, że nasza powierzchowność nie emanuje zawsze osobowością. Różne po temu bywają przy-

czyni – niekiedy wręcz zasadnicze. Nasze postawy wobec toczącego się tzw. życia wyzwalają niejednokrotnie podświadome odruchy. Widzimy je, słyszymy, ale czy one są wszystkim, czy świadczą o gąszczu i zakamarkach naszych myśli. Większość z nas – prawie wszyscy – przez minione dziesięciolecia nie manifestowało swojej kresowej duszy. To było coś skrywanego w szkatułce najbardziej osobistej, dla przechowywania wartości niematerialnych, zbyt barwnych, by nie istniała obawa przed ich blaknięciem. Przytoczę dwa fakty, w których współuczestniczyłem.

W sierpniu 1944 r. rozpocząłem służbę wojskową wraz ze sporą gromadą lwowskiej młodzieży. Byli to chłopcy różnego pochodzenia, wykształcenia i wieku, o niewyrobowionej politycznie wyobraźni, najczęściej AK-owcy zacierający przed NKWD swoje ślady w „Burzy”. Trafiliśmy do Lublina, na Majdanek kolumną wprost ze Lwowa, a potem dalej przez Warszawę, Wał Pomorski, Kołobrzeg aż nad Łabę. Nie przypominam sobie abyśmy w tym czasie manifestowali naszą „lwowskość” – nasze resentymenty, żal oddalenia i utracenia. Bo był to czas gdy okazywanie przywiązania do miejsca urodzenia stało się racją polityczną nie zawsze „słuszną”. Wprawdzie Tołdziu Palej śpiewał przy gitarze lwowskie kuplety nad Świdrem i jeszcze później, ale to nas nie „rozgrzewało”, jeszcze nie przeczuwaliśmy smaku długotrwałej rozłąki i opuszczenia... Wydaje mi się, że czas wojenny dużo tłumaczył, usprawiedliwiał, ale czy do końca? Ugrzęźliśmy wtedy w klimacie zobojętnienia. Liczyła się następna godzina, następny dzień. Był to czas przeżycia i on zdominował naszą świadomość.

Fakt drugi, nieco późniejszy. Studia rozpocząłem w 1947 roku, we Wrocławiu. Na moim roku przyszłych lekarzy znalazła się spora gromada ze Wschodu: wszelkiej „maści” Kresowianie od Wilna po Zaleszczyki, no i my, Lwowianie. W tym czasie zapadała w kraju żelazna kurtyna milczenia pojałtańskiego o ziemiach zagrabionych. Jednakże nie było możliwym, aby na przeniesionym z Lwowskiego Uniwersytetu wydziale lekarskim mógł zaistnieć klimat uczelniany Lwowa. W ówczesnych latach, w PRL było jeszcze trochę luzu: funkcjonowało na przedwojennych wzorcach harcerstwo i inne organizacje o nie bolszewickim rodowodzie. A jednak! A jednak my, studenci milczeliśmy. Nie było powszechnych symptomów uczelnianych kontynuacji, nawiązania do tradycji. Był to czas akceptacji nowej egzystencji. Być może, że jej trudy powodowały amnezję w nieomal zbiorowym wydaniu. Skrajność bytowania w jakiej znaleźliśmy się w zburzonym, ponemieckim Wrocławiu była podskórnym magnetysem urządzania się na nowo. Od początku. Wydarzenia wciągały, brak było miejsca na żale. To miało przyjść później. Nie wiem jak toczył się los wychodźców z małych, kresowych miasteczek i wsi. Zdarzało się bowiem, że całe wsie i osady trafiały wysiedleńczym transportem na tzw. Ziemię Odzyskaną i tam zwartą gromadą zasiedlały ponemieckie strony. Stanowili wtedy trzon wsi lub miasteczka. Wśród tej zwartej ludności mogła wówczas ożywać zbiorowość kresowa. Czy tak było? Nie wiem. W odwiedzanym podwrocławskich i w jeleniogórskim wsiach wyczuwało się niepewność egzystencji. Jakże często rozważano o możliwościach powrotu. Dominowała tymczasowość istnienia w obcych kulturowo warunkach. Wyrażało się to małą troską o najbliższe otoczenie, o dom, o zagospodarowanie ziemi.

To trwało dość długo, jednakże z każdym rokiem proces wrastania w rzeczywistość czynił postępy. Tak na wsi jak i w mieście. Lwów i Kresy odchodziły gdzieś daleko. Pamięć doznanych tam krzywd nie zachęcała do przywracania stanu zagrożenia. Tym bardziej, że w Bieszczadach nie wygasły jeszcze całkowicie ognie banderowskiej pożogi. Jeszcze nie wszyscy wrócili z woj-

ny... Bywały jednakże dowody pamięci. Temu i owemu lśniły oczy na słowo Lwów. Niejeden nasz profesor, lub asystent dawał mniej lub bardziej jawne sygnały swoim współziomkom-studentom o więzi ich łączącej: łagodniej egzaminując, wybacząc potknięcia lub promując pośród swojego otoczenia. Doświadczylem takiej przygody egzaminacyjnej u profesora Tadeusza Marciniaka, lwowskiego przecież docenta: przymknął oko na moje poważne wykroczenie dyscyplinarne podczas końcowego rygorosum.

Do 1948 r. były kontynuowane tradycje lwowskiej chorągwi ZHP. Skończyło się to właśnie w tym roku. Zapadała stalinowska noc w Polsce. Wraz z repatriacją straciliśmy punkty odniesienia. Zawisły wprawdzie po śląskich i innych świątyniach kresowe Madonny, ale nie za Kresy i Miasto się przed nimi modlono, a za siebie i najbliższych, za możliwość przeżycia. Bo taki był to czas. O pomoc boską proszono, ale samoorganizacji kresowej jeszcze nie było. Jeszcze się jej nie nauczono jako elementu ułatwiającego życie. Zabrakło czegoś na kształt ziomkostwa, mimo, że przykłady były niedaleko. Za słabi byliśmy w tym rozproszeniu, by dopominać się o cokolwiek. W podziemiu dogorywały gromadki AK-wców i organizacji WIN, najczęściej z Kresów nad Odrę przeciekających. Wygarniane przez bezpieczeństwo nie mogły zburzyć zaistniałej rzeczywistości, powszechnie nie akceptowanej.

Podskórną „lwowskość” wciąż jakby trwała. Była odporna na znową milczenia o ziemiach zabranych, wyciszona, pozbawiona swojej literatury i obecności w mediach. Powodowało to wtedy, że wyciszenie „lwowskości” stawało się przyczyną utraty ciągłości tradycji i kresowych nawyków, kresowej więzi. Wyrastało pokolenie jedno i drugie, dla których Lwów, Wilno, Krzemieniec, Nowogródek, Stanisławów to nazwy bez treści, bez emocji. Zmowa milczenia trwała nawet w rodzinach, choć nie była konieczna. Czyż tylko lękiem przed uchem i łapą tajnych reżimowych służb należy to dziś tłumaczyć? Czyżby model rodziny z Pawką Morozem przygniótł wówczas wyobraźnię rodziców? Nie wydaje mi się. A jednak ówczesne trwanie miało wszystkie odcienie czerni i szarości. Nielicznych stać było na wyprostowanie karku. By egzystować wystarczało nieangażowanie się w żadną opcję. I taką postawę przyjęła znakomita większość społeczeństwa. My Kresowianie zapadliśmy w milczenie. Nie ma jednakże oceanów bez wysp. Zaistnieli ludzie, którzy nie dali się całkowicie sparaliżować: był we Wrocławiu dr S. Krzaklewski i Zdziech Ojrzyński, u których domowe półki uginały się od leopoltanów. Byli w stolicy: Danuta Łomaczewska, Janusz Wasylkowski i arcyłowianin Witold Szolginia, którego „Dom pod żelaznym lwem” to biblia Lwowian lat osiemdziesiątych. Dla wielu z nas książka ta stała się punktem odniesienia – inspirowała. Dziś, mimo licznej już literatury kresowej i lwowskiej, tom W. Szolginia – Tola z Łyczakowa, jest nadal gwiazdą pierwszej jasności na literackim firmamencie Lwowa. A jeszcze wcześniej zaistniało „Niebo w płomieniach” też rodowitego Lwowianina – Jana Parandowskiego, mistyka słowa w polszczyźnie. Jego „Niebo” to lwowska klasyka – epopea Miasta nad Półcią. W Londynie tworzył Marian Hemar i jego lwowski krąg o proveniencji „Wesołej Fali”. Wojciech Dzieduszycki przemyczał w ponurych jeszcze czasach piosenki w programie kabaretowym „Dymek z papierosa”, w którym błyszczała interpretacją lwowskiego śpiewania Anna Dammowa. Do dziś nikt jej nie dorówna.

Pierwszy krajowy, publiczny, bo telewizyjny wyłom zrobił Jerzy Janicki uprawiając zaduszkowe kwestowanie na warszawskich Powązkach na... odbudowę Cmentarza Łyczakowskiego! Niezadługo później zabrzmiała gitara Jerzego Michotka i jego pieśni i piosenki o Lwowie, o Lwowskich Madonnach. Te nowe

pieśni stały się już klasyką i świadczą jak bardzo jesteśmy spragnieni świeżego słowa o Mieście. To były początki. Później nowa literatura i muzyka lwowska zaistniały dość powszechnie w suwerennej już Polsce. Ale to jest kraj bez Kresów, Lwowa, Wilna; taki stan wyolbrzymia tęsknotę, a twórczość o tym co przeminęło podnosi do rangi sacrum. Pojaśniało na lwowskim niebie gdzieś około 1988 r., mimo, że nie było nadziei na korektę granic, mimo, że wschodni moloch rozpadał się w demokratycznych drgawkach. Do dziś dopominanie się o zwrot mienia, zwanego zabużańskim, jest iluzją i czynią potworne zamieszanie ci, którzy to nośne hasło podnoszą do rangi obietnic wyborczych, czy organizacyjnych. Myślmy trzeźwo: bez dogadania się dyplomatycznego na szczuble rządów, bez wygarnięcia własnej kasy państwowej – rezultatów nie będzie. Mimo hałasu w Przemysłu i gdzie indziej. Złudzenia mogą być kolorowe, ale bywają też parzącą łyżką dziegiu, źródłem zwątpienia na zawsze!

Wezbrała lwowska rzeka wspomnień, nostalgii i jawnych już działań. Nawet ten i ów prominent rządowy począł przyznawać się do kresowych korzeni. Niektórzy robili to wprawdzie szpetnie, jakby Zachodnia Ukraina i Lwów w jej granicach napawały ich szczęśliwością oczekiwaną od dawna. Ba, utożsamiając ten fakt ze sprawiedliwością dziejową. Gdyby choć trochę poświęcili czasu na studiowanie rzetelnej historii... W telewizji mnożą się po dziś dzień reportaże „stamtąd”. Koronnym dziełem były reportaże W. Augustyniaka. Zaistniały filmy inspirowane przez J. Janickiego o Lwowie, o Cmentarzu, który stał się od pewnego czasu nieomal tematem dyżurnym prasy i dzienników telewizyjnych. Dochodzi do takiej kuriozalnej sytuacji, że lew z Cmentarza Orląt nie wraca na swoje miejsce we Lwowie, ale w Lublinie. Jest to wprawdzie kopia, niemniej chwała lwowskim Lublinianom za to. Pomnik dla naszych serc i wzorzec dla młodzieży. Mnożą się kresowe periodyki i biuletyny. Niektóre z nich jak „Semper Fidelis”, „Cracovia-Leopolis” osiągają profesjonalny poziom. To trybuny wspomnień, przyczynków historycznych nakreślających rolę Kresów w nauce i kulturze Polski. Materiały jakże konieczne do nauczania historii. Martyrologie wschodniej Małopolski odnotowuje starannie „Na Rubieży”, jak się zdaje nie czytane przez tych, którym droga krzyżowa Polaków na Wołyniu, Podolu, Pokuciu – nie na rękę. Szkoda, bo może tożsamość narodowa, zwana też niekiedy polskim sercem – by zakolała. Nie domagamy się tego, bo niektórych przewinień przeciwko Narodowi, a więc i przeciwko nam – Kresowianom nie przedawnia się i nie wybacza! Działania budujące, przywracające pamięć nie tylko naszą, ale Narodu miały swoją kulminację w ub. roku, jesienią. Mijały wtedy daty 80-lecia Obrony Lwowa w 1918 r. i 10-lecia powstania legalnych organizacji kresowych z najważniejszym, bo najliczniejszym Towarzystwem Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Mijające dziesięciolecie to rocznica, która i podnieca i... usypia. Niejeden pomyślał: zrobiliśmy jak należało i co dalej? Rozpalone nadzieje i nostalgiczne grzeszną w beznadziei. Symbolem takowych może być Cmentarz Orląt: Ukraińcy blokują ustawicznie jego odbudowę, udowadniając tym, że to oni byli sprawcami jego unicestwienia za sowieckim jeszcze przyzwoleniem na początku lat siedemdziesiątych. Przykład tego Cmentarza jest dowodem na programową ukrainizację Kresów. Ukrainizację ducha i materii. Bo to przecież o świątynie, szkoły i przedszkola chodzi. Nawet o wzniesioną przez Polaków w galicyjskich czasach architekturę śródmieścia Lwowa. Także o cmentarze, bo to trwałe ślady tych, których grzebano tu przez wieki. Pogrobowcy band UPA, wcieleń w kolejne pokolenie ukraińskie, zwłaszcza we Lwowie, stawiają tamę każdej inicjatywie pojednania. I jest tak, że pokrzywdzeni mają świadomość wyższą niż krzywdzący.

Miedzy Bugiem a Odrą w ciągu ostatniego dziesięciolecia zaistniał świat Kresowian. Jeszcze jest sporo tych, co pamiętają. Najliczniejsi to ci, którzy we wrześniu 1939 roku mieli 14-17 lat. Ci pamiętają najlepiej i oni są najczęściej sprawcami naszego trwania. Pokolenie to dożywa swojego kresu. Jest go coraz mniej. W sprawnej jeszcze pamięci utrwalają, póki mogą, fakty o międzywojniu, o okupacji, o płonących i krwawiących Kresach, bo tego niejednokrotnie sami doświadczali i zapomnieć nie potrafią. To jest zapewne powodem, że są wśród nich tacy, którzy tam przenigdy powracać nie chcą. Chcą zachować pod powiekami obraz lat szczęśliwych. Nie potrafią dotykać świata, który legł w gruzach. To ludzie szczególnej wrażliwości, a więc i pamięci. Szanujemy taką postawę, ale nie jest ona jedyną, jaka funkcjonuje. Bez naszych wypraw na Wschód jakże trudny byłby los tamtejszych Rodaków, parafii, szkół. Pamiętajmy o tym. Postawa aktywna, w której dominuje poczucie wspólnoty i odpowiedzialności jest stale konieczna. Za jałtańską granicą zostali Rodacy. Różne były tego przyczyny, ale jest to fakt, który zaistniał, a nasze państwo i my także nie umiemy sobie do końca i konkretnie z tym poradzić. Polacy tam żyją nieustannie w złych, jeżeli nie w tragicznych warunkach, do czego przyczynia się status obywateli drugiej kategorii. I nie widać kresu niedostatku tego ich tam trwania. Żadne prezydenckie obietnice, układy i uściski dłoni, nawet nad pomnikami poległych – niczego nie zmieniają. A my jesteśmy obezwładniająco bezsilni wobec ukraińskiej obłudy i samowoli. Oto brak siedziby arcybiskupiej we Lwowie, mimo, że ta przez poprzedników wybudowana stoi prawie bezużyteczna i niszczeje; brak zgody na budowę polskich szkół, zwłaszcza się kościoły na cerkwie. Wszystko to jest przyczyną naszego pesymizmu, a nawet czarnowidztwa. Niektórzy z nas jeszcze walczą będąc w ustawicznym natarciu: panowie Przewoźnik, Kaminski, Lewicki domagają się uszanowania europejskich konwencji, podpisanych zresztą przez Ukrainę. Cóż z tego, we Lwowie panuje powszechne bezprawie, a władza nie opanowuje bałamutnych odruchów grup nacjonalistycznych. Przykład: niszczenie płyty 5 Nieznanych z Persenkówki, przy całkowitej obojętności milicji i bezkarności młodocianych wyrostków. A my stale jesteśmy w ariergardzie tych poczyną. Wydaje się, że coraz bardziej oddalamy się od tamtej rzeczywistości, bo jej realia są zbyt trudne, niekiedy wręcz nikczemne.

I jeszcze jest rzeczywistość w Kraju: wolność słowa, poczyną, sądów. Po początkowym zachłyśnięciu się tą wolnością, spowolniliśmy jednakże naszą aktywność organizacyjną, naszą chęć pomocy, niekiedy nawet chęć śledzenia biegu spraw. Powodów jest wiele, lecz wydaje się, że bieg czasu odgrywa tu rolę zasadniczą. Statystyczny „średni wiek lwowski” to 70-75 lat. Nie ma już takich wielu, a przypominam, że ci którzy są, to osobnicy pamiętający Lwów. Przerzedzają się kręgi naszych Towarzystw, a i najbliżsi „topnieją”. Taki jest naturalny bieg rzeczy, tylko czy to musi oznaczać odchodzenie w niepamięć i nas, i Lwowa? Nie tego obecnego miasta, które rozrosło się do prawie milionowej aglomeracji. Istnieje, ale przecież wiemy, że to nie ten Lwów, ani nie jego kontynuacja. Uwarunkowanie przetrwania czegokolwiek w zgiełku i tempie współczesności jest niesłychanie trudne. Bombardowani mediami, wyrzucani na orbity kosmicznej świadomości i wirtualnego widzenia, zapominamy, że gdzieś tam pozostały nasze: ulica, dom, świątynia, park pierwszych wzruszeń i to wystarczyło. Dla nas świat tamtego czasu zamykał się w niezbyt wielkim obszarze, w przestrzeni bezpieczeństwa przeżywania i pragnień. Chaos w jaki pogrążyliśmy się pod koniec wieku jest z trudem akceptowany przez duszę kresową. Za nami pozostał czas inny i inne przestrzenie, które nas formowały: kraina dalekich równin i falistych płaskowyży, leniwie spływających

rzek Podola i Wołynia, siwiejących na widnokręgu Karpat, w których pasma Gorganów i Czamochory były serdecznie bliskie nie tylko Hucułom, ale i nam wszystkim. Po prostu góry rodzinne i rodzinny Dniestr. Być może dla wielu z nas życie tam nie było ustawiczną idyllą. Szumy i przeciągi chodzące po tej krainie przeróżne miały kierunki, barwy i nasilenia. Niejednemu wypadło żyć w twardych, kresowych realiach, w niepewności, w pulsowaniu nastrojów zapowiadających dramat jutra. Jednakże uczepieni skrawka ziemi – ojcowizny przecież – trwaliśmy dla siebie i dla wszystkich, dla małej ojczyzny, która prawie zawsze była tą największą.

Od samego początku zaistnienia gdzie indziej, na ziemi nadanej choć niebytnie – szukaliśmy podobieństw. Ba, nawet usiłowaliśmy formować tę przestrzeń na wzór opuszczonej. Nie było to łatwe, ale konieczne dla egzystencji.

Gdzieś tam, nad Baryczą, w bydgoskim, żyje poeta z Wołynia. Każdy wschód słońca wita z radością, bo przecież nadchodzące światło poczęło się wcześniej na Wschodzie: nad Ikwą, nad Krzemieńcem, a więc nad jego krainą rodzinną. I to jest piękne. Tylko poeci wymyślają takie rzeczy. Ten poeta-kresowiak nie musi już niczego więcej tworzyć: powiedział wszystko. Każdy świt dnia, każda noc nadciąga stamtąd budząc w nas pragnienia i pamięć.

Tylko co dalej? Utrwalamy przeszłość tablicami z brązu na murach świątyń. Tu i ówdzie stawiamy pomniki. Zapelniamy biblioteczne półki literaturą nam najbliższą, której obfitość ostatnimi laty jest wprost nieprawdopodobna, jakby chciała siecią pajęczą opleść rzeczywistość, przywołać barwy przeszłości. Scripta manent. Powstają pomniki na stronicach wspomnień, biografii Lwowian szczególnych, historii minionych lub współczesnych i naszych nad nimi refleksji. Z tą refleksyjnością to może nie jest najlepiej, bo nie każdy się odważy bądź potrafi. Ale czy to wszystko, co jest naszą współczesnością? I czy to wystarczające? Pamiętajmy, że dzieci lwowskich przybywało i później, po naszym urodzeniu. Nie jesteśmy naznaczeni czymś szczególnym, poza wiekiem. Jesteśmy, jak to już zaznaczyłem, potencjalnie najlepiej Lwów pamiętającym pokoleniem. My, piętnasto- i szesnastolatkowie wrześnie. Znam jednak osoby urodzone we Lwowie w czasie wojennym. Dziś to 50-latkowie, jednakże pilnie tropiący swoje kresowe ślady. Emanuje z nich potrzeba identyfikacji. Urodzone w szpitalu na Pijarów, wyniańczone na Kopnickiej i w Ogródzie Jezuickim – lwowskie małenstwo, dziś pani w wieku przedemerytalnym, żyje Lwowem. Miastem, które poznawała początkowo tylko z opisów i z czyjejs namietności. Oczywiście trafiła tam i natychmiast zakochała się. Skąd taka potrzeba? Czyżby biegun uczuć pozostał nadal pod Wysokim Zamkiem, lub na Listopada, na Sykstuskiej? To wypadek wcale nie odosobniony. Ten magnetyczny fluid wciąż trwa. Ulegają mu ci, którzy chcą odszukać miejsce swojego zaistnienia. W krwi lwowskiej jest to jakby potrzeba szczególna, nieodparta. Czyżby opuszczając Miasto unosili zeń geny dziedzicznej niezmienności także i duszy?

Można by rzec, że ołtarz lwowskiej pamięci wciąż płonie. Jest jednakże pewna bariera, którą przekroczyć trudno. To młodość. To nawet dzieci nasze własne i wnukowie. Pośród niezrozumiałego zaniedbania zapomnieliśmy o ich rodowodowych orbitach. Przez lata. Dziś Janusz Ragankiewicz trzusi się w Lesznie, by te pokoleniowe zaniedbania naprawić. Każe śpiewać najmłodszym na lwowską nutę i w bałaku, i za ładne śpiewanie nagradza. Urządza w tym roku kolejny Festiwal Piosenki Lwowskiej – już siódmy, tytułuje imprezę ogólnopolską i nawet się to we frekwencji sprawdza. Za patronkę zamówił sobie w tym roku nie byle kogo, bo samą panią Prezydentową. Zobaczmy, czy

przyjedzie!? Inni także na tę samą nutę: Koszalin, Gorzów, Jelenia Góra. Trzeba tu przyznać, że pierwszy na pomysł śpiewających spotkań wpadł Prezes Grata z Brzegu. I nawet mu to za pierwszym razem dobrze wyszło. Dlaczego zrezygnował, nie wiem. Teraz trudno będzie Lesznu Festiwal odebrać. A zresztą po co, skoro robią to wyśmienicie. No i nigdzie nie ma dla śpiewaków takiej pływalni jak Aquavit w Lesznie! Festiwale są to jednak fajerwerki rodzące zawsze pytanie, czy osiągamy w nich edukację młodzieży dla Lwowa? Czy rozpalamy jakieś iskierek uczuć, zainteresowań stałych i tego wszystkiego o co nam chodzi. Ile po tych balladach o pannie Franciszce i hulaniu przez Bernardyński plac – pozostanie Lwowa w młodziutkich serduszkach. Tam gdzie mógł on wplątać się w program szkolny, gdzie dzieci spotykają się z roziskrzoną muzyką i tekstami, tam warto zaryzykować optymizm. A jeszcze są programy dydaktyczne w Orleńskich szkołach, których mamy trochę. Z tymi programami nie jest jednak najlepiej. To zrozumiałe, bo kadra nauczycielska niedouczone. Historii całej Rzeczypospolitej nie znają. Na dodatek wielu z nich pamięta indoktrynację mieniającą się czerwienią i w nowej rzeczywistości poruszają się ślamazarnie. Jak więc wypełniać lekcje historii naszą wielowiekową obecnością na Wschodzie. Jak przenosić się na lekcji do Kamieńca, Zbaraża, do Okopów św. Trójcy, nad Zbruc, nie mówiąc o Dniestrze. Może w Szkołach Orleńskich brakuje nas – Lwowian? Chyba powinniśmy być, kogo na to stać, włączyć się w lekcyjne gawędy – pomóc szkole, nauczycielom, a przede wszystkim działwie, bo przecież to ona ma być nośnikiem pamięci. Zaryzykujemy to nauczanie, gdyż nie wszędzie jest najlepiej. Są i takie szkoły, w których dyrekcja nie robi nic dla przybliżenia młodzieży zbiorowego patrona – Orleńskich. Ile szkół w Polsce zadało sobie trud zorganizowania wycieczek na to nasze Campo Santo? Są dwa cmentarze na Wschodzie, na które powinna obowiązkowo trafiać polska młodzież: to Łyczaków i Rossa w Wilnie. Tam wystarczy mądrze pomilczeć. Młodzież mamy inteligentną. Jeden z uczniów IV L.O. w Nowym Sączu zakończył wycieczkę do Lwowa uwagą, którą koniecznie musiał mi przekazać. „– Proszę Pana, ja wiem po co „tam” pojechałem – to miasto było i jest polskie”. On to dostrzegł bez podpowiadania. Życzę nauczycielom i organizatorom wycieczek, abyście przeżyli taką chwilę satysfakcji jaką ja przeżyłem! Ale pamiętajcie – ja to wiem – wśród dyrektorów szkół, a więc organizatorów wycieczek, jest wielu niedouczonego i wielu dawnych reżimowców. Jeszcze nie wszyscy są na emeryturze i jak mogą zatrudniają się za hamulcowych.

Jakże dotychczas nietypowym przykładem jest IV L.O. w Nowym Sączu i jego dyrektor – polonista, mgr Bogusław Kołcz. Młodzież nawiedza całe Kresy, od północy po południe. Wędruje tam śladami wielkich w polskiej literaturze i kulturze. Tym sposobem trafiła już do Wilna, Grodna, Nowogródka, Bieniakoń, nad Świteż, a także do Krzemieńca, Zbaraża, Oleska, Lwowa, Drohobycza (Schulz) i Rudek Fredrowskich. Była na Rossie i na Orleńskich. Wszędzie znicze, kwiaty. Zdarza się i czytanie „Listów do Matki” nad mogiłą Salome Słowackiej-Becú, matki Wieszcza. Ile jest wzruszeń nad Ikwą, na Górze Bony, w zamku w Olesku, gdzie stała kołyska króla Jana III. To są nieocenione lekcje historii i trochę optymistycznej myśli o narodowej pamięci obcując z młodzieżą z IV L.O. i z moimi ulubionymi dziećmi z sądeckiej „Szesnastki” Orleńskich. Oni też tam bywają i wiedzą, w której katakumbie spoczął Jurek Bitschan i gdzie mogiła symbolizująca miejsce jego wykrwawienia.

Do tego co napisałem potrzebny mi był dystans lat. Pejzaże młodości stają przeciwko współczesności. Ich nieprzemijająca uroda zmusza do porównań. Perspektywa czasu coraz natrętniej żąda utrwalenia tamtych obrazów dla ich zapamiętania.

Pośród tych obrazów, w dalekiej i bliskiej dziś perspektywie, trwa Lwowianin i tylu innych z Kresów. Chcę ich namówić do tego trwania, potrzebnego nowym pokoleniom. Chciałbym by byli tego świadomi. Chcę Was zachęcić Najmilsi, byście widzieli te wschody i zachody światła, które niezmiennie nadciągają stamtąd, ze Wschodu, znad naszej Ziemi Utraconej.

Wszyscy jesteśmy naznaczeni dzieciństwem. Krainą niezwykłej urody pejzaży i świeżości. Tam źródło naszych dzisiejszych

snów i obecności. Nie szkodzi, że w innej przestrzeni. Jesteśmy, szukamy sposobów by przenieść skarby naszych myśli i serc w XXI wiek. Powodzenia!

Nowy Sącz, luty-marzec 1999

Adres autora: 33-300, Nowy Sącz
ul. Paderewskiego 52/85.

Jerzy Masior

Po Co

Po co czekać
po co czekać latami
po co złudzenia
marzenia marzenia
po co poduszka zmoczona łzami
serca zmaganie
snów zaludnianie
jakieś wspomnienia
po co to wszystko
relikwie jakieś
żółć fotografii
i grudka ziemi
stamtąd dla siebie
(mam ją i strzegę)
Tacyśmy razem osamotnieni

tacyśmy wszyscy tam zapatrzeni
w obrazek tamten
z Rynkiem z ratuszem
w jakiś widoczek
w jakieś retusze
w jakieś zwątpienie
w jakieś miłości
w których wciąż muszę...

Niczego przecież już nie odroczyć
więc po co czekać
dlaczego czekać
walizkę złudzeń
co dzień wywlekać
wyglądać czegoś
wysłuchiwać w echo
co nie brzmi wiarą.
Czekać nie czekać –
to zbyt daleko.

28 luty 1999

KRESOWI KAPŁANI

Jerzy Duda

Ks. Ludwik Rutyna

„Ten kto naprawdę kocha, przychodzi po cichutku, tak żeby nawet nie było widać. Przychodzi, żeby służyć.”

(Ks. Jan Twardowski)

Gdziekolwiek się jest, cokolwiek się przeżyło, to jest na ziemi takie miejsce, które jest nasze, i tylko nasze, zostaliśmy tam wpisani w krąg przynależenia do ludzi i tych chwil szczególnych, jakie były u początku naszego przeszłego i bieżącego życia, tym miejscem jest kraj urodzenia, jego pamięć pozostaje żywym drzeniem, mimo upływu lat. I jest wielkim prawem człowieka do tego miejsca powracać, nie tylko wspomnieniem, po prostu powrócić i tam być, tak długo jak to jest sercu niezbędne. I z tego prawa skorzystał Ks. Infułat Ludwik Rutyna, który po spełnieniu Służby Kapłańskiej na Śląsku Opolskim, po osiągnięciu praw emerytalnych, na początku 1991 roku powrócił do kraju urodzenia, do Buczacza, na Podole; miał wtedy 74 lata, za życia spełniło się marzenie, o którym Bohdan Zaleski, kresowy wygnaniec, pisał na obczyźnie:

*„...Boże mój, Boże! Łzami modłę się do Ciebie,
Jak umrę daj mi Ukrainę w Niebie!...”*

Urodził się przyszły ksiądz Ludwik Rutyna 10 lutego 1917 roku w rodzinie Kazimierza i Katarzyny z Wąsików, jako najmłodsze, dziewiąte z kolei dziecko. Rodzice gospodarowali w Podzameczku (pow. Buczacz, woj. tarnopolskie). Do szkół powszechnych uczęszczał w Wojciechowie i we Lwowie, mieszkał

u rodziny, pięknie w pamięci zapisała się ciocia Tabiszowa, która ze wszystkich sił zachęcała młodziutkiego ucznia do wytrwałej i rzetelnej nauki. A warto pamiętać, że w tamtych czasach kształcenie się dzieci chłopskich nie było taką łatwą sprawą.

W 1937 roku zdał egzamin dojrzałości w Gimnazjum Humanistycznym w Buczaczu, na lata całe ten egzamin zapamiętał, nie tylko dlatego, że matura jest ważnym wydarzeniem w życiu; najzwyczajniej lwowskie kuratorium stwierdziło, że tematy egzaminu pisemnego zostały wykradzione i nakazało jego powtórzenie, oczywiście tematy zostały zmienione. Bezpośrednio po tych zdarzeniach młody maturzysta podejmuje studia w Wyższym Seminarium Duchownym we Lwowie; mieściło się ono przy ulicy Czarnieckiego pod numerem 30, wykłady odbywały się na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza, na jego Wydziale Teologicznym.

Tylko dwa lata studiów miały normalny przebieg. Jeszcze we wrześniu 1939 roku został wyświęcony najstarszy rocznik seminarzystów, a już w październiku 1939 roku sowieckie władze zlikwidowały szkolnictwo kościelne. Seminarium Duchowne musiało zejść dosłownie i w przenośni do podziemi, przyszli księża zostali podzieleni na grupy, gościny udzieliły im zgromadzenia zakonne, Księża Zmartwychwstańcy, Karmelici, część seminarzystów trafiła do kościoła Św. Marii Magdaleny. Zajęcia odbywały się rytmicznie, mocno ubezpieczone, wraz z Ludwikiem Rutyną studiowali m.in. Ignacy Tokarczuk, przyszły Arcybiskup, przyszły Infułat Stanisław Turkowski, na wyższym roku był Antoni Adamiuk, w przyszłości biskup opolski.

Rektor Seminarium, wybitny dogmatyk prof. dr hab. ks. Stanisław Frankl uprzedził seminarzystów o groźbie wywózki na



Ksiądz Ludwik Rutyna (pierwszy z lewej) w czasie koncelebrowanej Mszy Świętej przy Ołtarzu z Cudownym Wizerunkiem Matki Boskiej z Potoka Złotego

Syberię, bo rozpoczęły się masowe wywozy ludności polskiej; dotyczyły one wprost tysiące, dziesiątki tysięcy rodzin. Wszyscy studenci zaopatrzeni byli w fikcyjne dowody pracy i zameldowania, tzw. „dowidki”, ale lepiej było ich sowieckim patrolom nie pokazywać, a szczególnie należało dbać o to, by ręce były spękanne, poczerńnięte, bo dla władzy białe ręce były wystarczającym dowodem winy, równoznacznym ze skazaniem na więzienie, a potem na zesłanie. Kiedy na przełomie lat 1940-1941 przepisy meldunkowe zostały absurdalnie zastrzeżone Ksiądz Rektor zezwolił seminarzystom na przerwanie studiów i powrót z chwilą ustabilizowania się sytuacji. Cudem uniknął Ludwik Rutyna aresztowania wczesną wiosną 1941 roku; wysłany po żywność do kościoła Św. Antoniego został schwytany i doprowadzony do komisariatu NKWD, ale o dziwo, przesłuchujący, kiedy pod płaszczykiem zobaczył ukrytą, podpiętą sutannę, niespodziewanie złagodniał, zwolnił aresztowanego, pozwolił nawet na zabranie tobołka z jedzeniem.

Nadszedł wielki dzień, największy w życiu każdego kapłana. 11 maja 1941 roku w zamkniętej Katedrze Lwowskiej, Arcybiskup Ks. Eugeniusz Baziak wyświęcił sześciu księży, wśród nich był ks. Ludwik Rutyna; tytuł dotrwało spośród 38, którzy we wrześniu 1937 roku studia rozpoczynali. W Pałacu Biskupim, przy ulicy Czarnieckiego, Kanclerz Kurii Ks. Haleniewicz wręczył księżom aplikaty – skierowania do poszczególnych parafii. Ks. Ludwik Rutyna został wysłany do Baworowa, miejscowości będącej siedzibą gminy odległej od Tarnopola o 14 km; przybył tam 2 czerwca 1941 roku. Proboszczem parafii był ks. Karol Procyk, znany społecznik, nieugięty obrońca Polaków i Ukraińców w rejonowym sądzie w Mikulińcach; skuteczność obrony, zjednywała mu szacunek Ukraińców, ale po cichu wytykali oni księdzu to, że domagał się od popów przekazywania metryk chrztu dzieci polskich, bywało bowiem w tych wojennych warunkach i tak, że dzieci, których ojcem był Polak chrzczono w cerkwi. Do obowiązków popa należało natychmiastowe przesłanie metryki chrztu do Księdza Proboszcza, bo to było dziecko Polaka, a więc katolickie. Popi niechętnie te dokumenty wysyłał, i to było powodem nieporozumień, między sobą nazywali Ks. Karola Procyka „duszochwatem”. I mimo ogromnego autorytetu jaki Ks. Proboszcz wśród mieszkańców Baworowa posiadał, w dniu 2 listopada 1941 roku dokonano zbrojnego napadu na probostwo; na miejscu zginął organista Szymon Wiśniewski, porwany ks. Karol Procyk został zamordowany. Ks. Ludwikowi Rutynie udało się zbiec. Schronił się u polskiej rodziny. Szybko jednak wrócił i przejął obowiązki administratora parafii. Oprócz Baworowian, duszpasterską opieką otaczał mieszkańców: Proso-

wej, Zaścianka, Tołstoługu, Smolanki, Skomorochów, Marianówki i Białoskórki. Zagrożony krwawymi „czerwonymi nocami” nigdy nie nocował na probostwie; ciemnym wieczorem, niepostrzeżenie przechodził do wieży kościelnej i tam spędzał wszystkie noce.

Taka sytuacja totalnego niebezpieczeństwa trwała do czerwca 1945 roku, kiedy to ks. Ludwik Rutyna wraz ze swoimi parafianami ostatnim wygnańczym transportem wyruszył na Zachód. Trafił na Ziemię Prudnicką na Śląsku Opolskim. Tu, 22 lipca 1945 roku, w Prudniku wraz z miejscowymi władzami odbierał defiladę wracających z wojny żołnierzy polskich. W latach 1945-1958 był proboszczem parafii w Szybowicach. Wyrazem uznania dla duszpasterskiej działalności było przyznanie Księdzu tytułu honorowego dziekana prudnickiego dekanatu, a także tytułu kanonika. W 1958 roku został proboszczem parafii Św. Zygmunta w Koźlu, tu służbę pełnił do grudnia 1990 roku. Jego zasługą było dokończenie budowy Kościoła Matki Boskiej Królowej Świata w Rogach, a także nieustanna troska o rozbudowę i wzbogacanie świątyni wchodzących do parafii. W latach 1964-1988 był ks. Ludwik Rutyna dziekanem dekanatu kozielsko-kędzierzynskiego, w 1981 roku otrzymał honorowy tytuł prałata. Ponad 30-letnia służba duszpasterska w Kędzierzynie-Koźlu pozwoliła na zintegrowanie miejscowej społeczności, złożonej z ludności z najrozmaitszych stron Polski. Dla tych ludzi był ks. Proboszcz najwyższym autorytetem moralnym i kiedy w grudniu 1990 roku przekazywał parafię swojemu następcy, to parafianie nie mogli pogodzić się z myślą, że oto odchodzi ktoś, kto był z nimi o każdej porze dnia i nocy, dzielił wspólnie trudy bytowania, i tak serdecznie, głęboko po ludzku we wszystkim wspierał.

A ks. Ludwik Rutyna uprosił opolskiego Ordynariusza Biskupa Ks. Alfonsa Nossola o zgodę na opuszczenie Diecezji Opolskiej i powrót na Wschód, do rodzinnej Ziemi Tarnopolskiej, na Podole. I 27 lutego 1991 roku, niemal w półwiecze swojego kapłaństwa, objął parafię w Krzemieńcu, bezpośrednio po ks. Marcjanie Trofimiaku, który przejął w biskupie władztwo Diecezję Łucką. Obok posługi w krzemienieckim kościele dojeżdżał ks. Proboszcz do kościołów w Borszczowie, Czortkowie, Kopyczyńcach, Łosiach i Ozieranach, po trzech miesiącach trafił do Buczacza, ale obsługiwał także kościoły w Potoku Złotym, Trybuchowcach, Porochovej, Koropcu, Monasterzyskach, Zielonym Ujściu. Rozległa to parafia, kościół od kościoła odległy o wiele kilometrów, najbardziej skrajne to ponad 100 kilometrów. A trzeba do każdego z nich dotrzeć bodaj raz w tygodniu, bo tam wszędzie wierni czekają, chcą pokazać ile zrobili już przy odbudowie niemal doszczętnie w latach sowieckiej władzy zdewastowanych, sprofanowanych kościołów. Zdumiewa poświęcenie wiernych, są biedni, ale podnoszenie z upadku świątyni jest dla nich sprawą największą, i już dzisiaj w Buczaczu nad portalem Kościoła Matki Boskiej Szkaplerznej pyszni się złotem napis: „DOM. Chcąc Potockich Pilawa mieć trzy krzyże całe, Dom Krzyżowy na Boską wybudował chwałę. A. D. 1763.” Jakże wiele trudu wymaga załatwienie spraw urzędowych, formalnych; prawne odzyskiwanie kolejnych pomieszczeń trwa zwykle bardzo długo – by wyprowadzić dotychczasowych użytkowników trzeba remontować obiekty, do których oni mają się przenieść. W tej chwili ks. Ludwik Rutyna, który otrzymał z rąk Arcybiskupa Diecezji Lwowskiej ks. Mariana Jaworskiego przyznany Mu przez Papieża tytuł Infulata jest jedynym kapłanem w rozległej parafii, sprawuje jednocześnie funkcję dziekana dekanatu Czortków-Buczacz, służy wiernym, buduje kościoły i liczy każdy grosz, mocno wspierany przez wspólnoty kościelne w Polsce, spośród których wyróżnia się Stowarzyszenie Złotopotoczan.

Dawni mieszkańcy tego pięknego podolskiego miasteczka praktycznie co roku odwiedzają rodzinną miejscowość i za każdym razem starają się w jakiś sposób wesprzeć odbudowę kościoła w Potoku Złotym, a także w innych miejscowościach. Zawsze spotykają się z ks. Ludwikiem Rutyną, niezwykłym, niezmordowanym misjonarzem, jak nikt inny rozumiejącym potrzebę pracy duszpasterskiej wśród ludzi tutaj mieszkających, ludzi, którzy

przeszli przez ogień i wodę zanim doczekali się dzisiejszych czasów, trudnych, bolesnych, ale dających nadzieję na to, że przyjdą jasne, promienne dni. Bo jeśli nadzieja jest utkana z tego samego tworzywa co szare, żmudne życie, to zwykle się spełnia, tak jak spełniło się marzenie ks. Ludwika Rutyny, by powrócić do kraju urodzenia. To co wydawało się nierealnym, niemożliwym, spełniło się do końca. □

KRESOWE SYLWETKI

Lesław Lewandowski

Ppłk Walerian Sikorski



Walerian Sikorski urodził się 18 XI 1876 r. w Budkach Nieznanowskich pow. Kamionka Strumiłowa, woj. Lwowskie, jako najstarszy syn Leona Sikorskiego i Teofili z Pierackich. Leon Sikorski – jako powstaniec z 1863 r. (pochowany z honorami wojskowymi w Brodach w 1935 r.) – znalazł schronienie na terenie b. Galicji. Utrzymywał rodzinę jako leśnik, pracując w różnych

miejscach we wschodniej części Galicji, nawet takich, które trudno znaleźć na mapie. Rodzina była bardzo liczna – dochowali się trzynastorga dzieci – a warunki materialne były skromne. W rodzinie Sikorskich, której ster na co dzień trzymała energiczna mama Teofila, wpajano dzieciom patriotyzm i głęboką chrześcijańską religijność oraz pęd do wiedzy – bez względu na trudne warunki materialne. W takim domu ukształtowała się osobowość Waleriana Sikorskiego i tym wartościom pozostał wierny przez całe życie.

Atmosferę panującą w rodzinie, talent wychowawczy Teofili Sikorskiej i jej anielską wprost cierpliwość do dzieci mogłem poznać – gdy już jako babcia – przez kilka lat zajmowała się moim wychowaniem.

Droga z leśniczówki do szkoły była wtedy niewyobrażalnie daleka, a co dopiero do wyższych stopni kształcenia. Do szkół niższych uczęszczał Walerian Sikorski w Brodach, do gimnazjum we Lwowie, ale dopiero po kilkuletniej przerwie (kłopoty materialne) zdał w 1898 r. egzamin dojrzałości w seminarium nauczycielskim we Lwowie. Odbił jednoroczną służbę wojskową w 2 pułku strzelców tyrolskich c. k. armii austriackiej i zdał z bardzo dobrym wynikiem egzamin oficerski.

Od roku 1899 pracował jako nauczyciel. Zdał egzamin na dyplomowanego nauczyciela gimnastyki (tak nazywano wówczas przedmiot, który dzisiaj określa się jako wychowanie fizyczne – wf.) i w tym charakterze pracował w szkołach różnych typów, początkowo w Brodach, później we Lwowie. Stałe doskonalił swoje umiejętności w wybranej i umiłowanej dziedzinie.

W latach 1908-1909 odbył w Szwecji roczny kurs w Królewskim Centralnym Instytucie Gimnastycznym w Sztokholmie i 6-tygodniowy kurs gier dla nauczycieli w Nääs. Po powrocie zajął się twórczo zastosowaniem poznanych metod w nauczaniu gimnastyki w ówczesnej Galicji. Wydał również pierwsze publikacje z tego zakresu.

Niezależnie od bezpośredniej działalności pedagogicznej, zwłaszcza w kształceniu nauczycieli i instruktorów gimnastyki i prac o charakterze teoretycznym – W. Sikorski uważał za swój patriotyczny obowiązek uczestniczenie we wszelkich polskich organizacjach na terenie wschodniej Galicji, których celem była poprawa kondycji fizycznej i zdolności do służby wojskowej. Znajdziemy go więc w Drużynach Bartoszewych w Brodach w 1908 r., później jako instruktora w Drużynach Strzeleckich we Lwowie w 1911-1912 r. Należał też do organizatorów harcerstwa polskiego i był komendantem IX Drużyny Harcerskiej we Lwowie w latach 1913-1914. Bardzo bliska była mu dewiza ruchu sokolego „mens sana in corpore sano”, był więc również organizatorem i instruktorem kursów wojskowych i gimnastycznych w lwowskim Sokole. We Lwowie już od 1867 r. działało pierwsze na ziemiach polskich gniazdo Towarzystwa Gimnastycznego Sokół: Sokół-Macierz.

W tych latach wypłynął już W. Sikorski na szersze europejskie wody biorąc czynny udział w Międzynarodowych Kongresach Wychowania Fizycznego: w Odense w Danii w r. 1911, we Wiedniu w r. 1912 i w Paryżu w r. 1913. Międzynarodowe kontakty ułatwiała mu znajomość 5 języków europejskich. Potem przyszła tragiczna przerwa na czas wojny, która trwała na zachodzie Europy 4 lata, a w Polsce ponad 6 lat.

Na początku wojny w sierpniu 1914 r. – powołany w stopniu podporucznika do armii austriackiej – walczył W. Sikorski z Rosjanami w Galicji i przez 5 miesięcy bierze udział w obronie twierdzy Przemyśl. Tam też dostaje awans na porucznika i po kapitulacji twierdzy dostaje się do niewoli. Wywieziony w głąb Rosji (Saratow i Samara nad Wołgą, Ufa na Uralu) przebywa tam aż trzy lata. Dopiero w marcu 1918 r. udaje mu się wrócić do Lwowa i tu jest w kadrze 35 pp pospolitego ruszenia armii austriackiej, a w październiku 1918 r. oficerem wyszkolenia w obozie wojskowym na Janowskim (Heimkehrerlager). Było tam 850 żołnierzy armii austriackiej różnych narodowości (Polaków było niewielu), którzy po zakończeniu wojny na wschodzie oczekiwali na powrót do domu. Austriacki komendant obozu miał do dyspozycji 70 uzbrojonych ludzi, wyłączenie Ukraińców. W. Sikorski, jako należący do Polskiej Organizacji Wojskowej (POW) jeszcze jako oficer armii austriackiej otrzymał polecenie zorganizowania przebywających w obozie Polaków „na wszelką ewentualność”.

Swoje pierwsze zadanie w Obronie Lwowa wykonał w dniu 2 listopada 1918 r. po mistrzowsku – mając tylko 6 ludzi opanował bez rozlewu krwi obóz wojskowy zaopatrzony w broń, amunicję, mundury i żywność. Przez następne 18 dni, walcząc z Ukraińcami i łącząc stopniowo kilka drobnych oddziałów ochotniczych, został dowódcą VI odcinka Obrony Lwowa, noszącego później nazwę Podzamcze. Obejmował on – pod koniec walk – front około 10 km: Rzęsna Polska, Janowskie, Kleparów, Hołoko Wielkie i Zamarstynów aż po Podzamcze. Listopadowe dzieje tego odcinka były dosyć skąpo i przeważnie marginesowo opi-

sywane. Nie znalazły również miejsca w późniejszej legendzie – widocznie wśród walczących na tych przedmieściach nie było kronikarzy ani poetów. W. Sikorski opisał dzieje odcinka Podzamcze dopiero przy końcu lat trzydziestych w zbiorowym dziele „Obrona Lwowa”.

W decydującym dla zakończenia Obrony Lwowa dniu 21 listopada 1918 r. był W. Sikorski dowódcą skrzydła północnego o kierunku natarcia Wysoki Zamek.

Po zakończeniu walk w obrębie miasta, siły polskie zostały przeorganizowane i kpt. W. Sikorski został dowódcą batalionu 2 pułku Strzelców Lwowskich (później przemianowany na 39 pułk) i w tej roli walczył przez 7 miesięcy. Naprzód na północ od Lwowa (Brzuchowice i Michałowszczyzna), potem w innych bojach z Ukraińcami na terenie Galicji Wschodniej.

Trudy wojenne doprowadziły W. Sikorskiego do ciężkiej choroby i zmusiły do ponad miesięcznego leczenia szpitalnego we Lwowie (2 lipca do 5 sierpnia 1919 r.). Następnie mianowano go dowódcą 3-miesięcznego kursu wojskowego gimnastyczno-sportowego we Lwowie, co było dowodem uznania dla jego fachowości w tej dziedzinie. W styczniu 1920 r. został Obrońcą Lwowa przeniesiony do Poznania na stanowisko inspektora wychowania fizycznego Okręgu Korpusu VII – równocześnie prowadził 4 następne kursy gimnastyczne dla oficerów i podoficerów. Ponieważ na wschodzie trwała wojna polsko-bolszewicka, niektóre załogi kursów szły bezpośrednio na front.

W Poznaniu został Walerian Sikorski dobrze przyjęty przez tamtejsze środowisko i stworzył tam później swój nowy dom rodzinny, który przetrwał do wybuchu wojny w 1939 r.

W 1921 r. powstała w Poznaniu Główna Szkoła Wojskowa Gimnastyki i Sportów, a jej komendantem został mianowany (już jako major) W. Sikorski. W rok później zmieniono nazwę tej uczelni na: Centralna Szkoła Wojskowa Gimnastyki i Sportów. W 1923 r. został W. Sikorski mianowany podpułkownikiem – jego macierzystą jednostką był 58 pp.

W latach 1921-1926 istniała bardzo owocna współpraca między komendantem CWSG i S, a prof. Eugeniuszem Piaseckim z Uniwersytetu Poznańskiego (Poznańska AWF nosi obecnie jego imię). Prof. Piasecki pełnił funkcję opiekuna naukowego uczelni wojskowej, a W. Sikorski prowadził wykłady z metodyki i systematyki wf. oraz kierował zajęciami praktycznymi w Studium WF Uniwersytetu Poznańskiego.

W tym czasie W. Sikorski nie rezygnuje z działalności wydawniczej o tematyce sportowo-wojskowej, jest też współtwórcą norm Państwowej Odznaki Sportowej, a nawet wraca do harcerstwa. W latach 1920-1921 jest naczelnikiem Wielkopolskiej Chorągwi Harcerskiej Męskiej. W 1924 r. zostaje wysłany do szkoły wojskowej w Joinville de Pont we Francji dla poznania tamtejszych metod szkolenia.

Po przewrocie majowym w 1926 r. zmienia się klimat polityczny. Poznańskie środowisko uniwersyteckie o dominujących sympatiach proeuropejskich staje się jakby mniej kochane. Zostaje mianowany nowy komendant CWSG i S ppłk W. Osmolski. Płk W. Sikorski podaje się w wojsku do dymisji i zostaje przeniesiony w stan spoczynku. W 1929 r. CWSG i S w Poznaniu zostaje zlikwidowana, a na jej bazie i dorobku oraz PIWF w Warszawie powstaje Centralny Instytut Wychowania Fizycznego w Warszawie, przekształcony w 1938 r. w Akademię Wychowania Fizycznego im. J. Piłsudskiego.

W latach 1926-1929 W. Sikorski pełni już cywilną funkcję naczelnego wizytatora wf. w Min. WR i OP, nie rezygnując z prowadzenia zajęć na Uniwersytecie Poznańskim. Stałe jest w Warszawie – do Poznania dojeżdża na wykłady. Na dłuższą metę było to trudne do utrzymania – rezygnuje więc ze stanowiska w

Ministerstwie i prosi o przeniesienie do Poznania na stanowisko wizytatora wf., tylko na teren Kuratorium Okręgu Szkolnego Poznańskiego. Na tym stanowisku pozostaje do wybuchu wojny.

Nie rezygnuje z kontaktów międzynarodowych i bierze czynny udział w zjazdach.

W 1927 r. zostaje stałym członkiem Naukowej Rady Wychowania Fizycznego, mianowanym przez prezesa Rady Ministrów.

Z pod pióra W. Sikorskiego wyszło 21 monograficznych książek i około 60 innych publikacji, nie licząc drobniejszych recenzji.

Za męstwo na polu walki i działalność w dziedzinie kultury fizycznej w czasie pokoju został W. Sikorski odznaczony: Orderem Virtuti Militari V kl., Krzyżem Obrony Lwowa, Krzyżem Walecznych, Krzyżem Niepodległości, Złotym Krzyżem Zasługi (dwukrotnie), Orderem Wazów II kl. (szwedzki).

We wrześniu 1939 r., mając prawie 63 lata, jako ppłk w stanie spoczynku (nie podlegający mobilizacji) włożył W. Sikorski dobrowolnie mundur oficerski, by jeszcze raz stanąć w obronie Ojczyzny. Jego losy we wrześniu nie są dokładnie znane, a informacje sprzeczne, po latach cenzury trudne do odtworzenia. Są tylko 2 pewne informacje: 1) w pierwszych dniach września widziała go w Warszawie córka Janina i 2) znalazł się w rękach Armii Czerwonej i po raz drugi pojechał jako jeńiec na wschód. Ostatnie miesiące życia spędził w obozie w Starobielsku i między 5 IV a 12 V 1940 r. został wraz z innymi polskimi oficerami wywieziony do Charkowa i tam skrytobójczo zamordowany w więzieniu NKWD. Nie dane mu było umrzeć śmiercią żołnierza na polu walki, ani spocząć na Cmentarzu Obrońców Lwowa. Nie ma nawet własnego grobu i miał być wymazany z pamięci.

Jakie były losy wojenne jego najbliższych? Z żoną Amelią ze Straków wychowali pięcioro dzieci, z których dwoje złożyło życie na ołtarzu Ojczyzny w czasie ostatniej wojny.

Zbigniew ur. 1907, Brody. Jeden z pierwszych dyplomantów WF w Poznaniu z tytułem magistra. Jako ppor. rez. artylerii w 3 baterii 7 pac walczył nad Bzurą i poległ 18 IX 1939 r. w Puszczy Kampinoskiej podczas przebijania się do Warszawy. Pochowany na Powązkach w Warszawie.

Stanisław ur. 1909, Brody. Por. Dowódca 8 baterii 8 pal, obrońca twierdzy Modlin. Po honorowej kapitulacji twierdzy 29 IX 1939 r. wrócił z szablą do domu w Poznaniu. Po 3 tygodniach został aresztowany i resztę wojny spędził w oflagu. Do Polski nie wrócił, zmarł w Anglii w 1997 r.

Janina ur. 1911 Lwów (po mężu Tomaszewska). Po kampanii wrześniowej wróciła do Poznania, ale już 8 XI 1939 r. została przez Niemców brutalnie wyrzucona z własnego domu i przesiedlona do GG. Okupację przeżyła i jako jedyne dziecko Waleriana Sikorskiego wróciła do Poznania i kontynuowała dzieło ojca. Jako lekarz i mgr wf. (później doc. dr hab. med.) była współtwórczynią polskiej szkoły rehabilitacji. Była długoletnim kierownikiem pierwszej w Polsce Katedry i Kliniki Rehabilitacji AM w Poznaniu oraz Zakładu Rehabilitacji Ruchowej AWF w Poznaniu. Miała duży dorobek naukowy i wychowała kilka pokoleń lekarzy i fizjoterapeutów. Codziennie przynosiła ulgę licznyim pacjentom dotkniętym kalectwem. Zmarła niedawno – już na emeryturze – 26 X 1998 r.

Jan, ur. 1914 Lwów. Najmłodszy fizycznie z całego rodzeństwa (wczesne dzieciństwo w czasie wojen 1914-1920). Nie brał udziału w kampanii wrześniowej, wyrzucony przez Niemców z własnego domu w Poznaniu 8 XI 1939 r. i przesiedlony do GG, zmarł w Ożarowie w 1943 r. – bez bezpośredniego udziału okupanta.

Irena ur. 1922 Poznań. We wrześniu 1939 r. była wraz z matką jakiś czas we Lwowie, potem przedostały się na tereny

okupowane przez Niemców, co uchroniło je od represji ze strony NKWD. Zginęła w powstaniu warszawskim w 1944 r. Podobnie jak ojciec nie ma nawet własnego grobu.

Nie chciałbym kończyć wspomnienia o Walerianie Sikorskim nastrojem martyrologicznym. Jako kilku i kilkunastoletni chłopiec miałem szczęście spotykać go w naszym domu rodzinnym we Lwowie. Pozostała mi w pamięci postać człowieka mocnego i szlachetnego, a przy tym dobrego i skromnego. Odnosił się z szacunkiem do swoich rodziców i z nieudawaną serdecznością do swego młodszego rodzeństwa. Był niekwestionowanym autorytetem dla młodszych członków rodziny. Umiał poświęcić swój czas (a nie miał go zbyt wiele) i uwagę dla małego i młodego człowieka, a było to w czasie gdy jeszcze panowała zasada „dzieci i ryby nie mają głosu”. Ale dopiero jako dorosły człowiek – niestety już wiele lat po jego tragicznej śmierci – mogłem w pełni docenić jego wartość z relacji obcych ludzi i z publikacji, które zostawił. Dziwne, że mając tak bogaty życiorys, nigdy się

nie przechwalał – nawet czynami bojowymi – co tak chętnie robi wielu kombatantów.

Walerian Sikorski był przede wszystkim nauczycielem w najpiękniejszym znaczeniu tego słowa. Zostawił po sobie liczną rzeszę nauczycieli i instruktorów wychowania fizycznego, zarówno w szkolnictwie, jak też w wojsku. Jako organizator i reformator nauczania wf. na ziemiach polskich, umiał twórczo przyswoić nowoczesne (na owe czasy) metody zachodnioeuropejskie w tej dziedzinie. Był też – gdy zachodziła potrzeba – odważnym i dobrze znającym sztukę wojenną oficerem i działał w kierunku poprawy kondycji fizycznej żołnierzy. Poprzez działanie bezpośrednie, jak również przez liczne publikacje przyczynił się do podniesienia kultury fizycznej naszego społeczeństwa, co zgodnie przyznają autorzy publikacji historycznych w tej dziedzinie.

Walerian Sikorski należał do zwolenników dostępu do kultury fizycznej dla każdego – nie tylko dla garstki najlepiej wyposażonych przez naturę – by osiągnąć zdrowie i radość. □

Zbigniew Kratochwil

Marian Kratochwil (1906-1997) (I)

Marian Kratochwil pochodził z b. Kresów Wschodnich. Urodził się w Kosowie Huculskim w 1906 r. w rodzinie sędziego. Gimnazjum ukończył w Złoczowie, mieście Jana III Sobieskiego. Uzyskał w nim dobre wykształcenie, uzupełniane przez ojca. W „Sokole” doszedł do dużej sprawności fizycznej. Po wstępnych studiach historycznych i filozoficznych na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie zmienił całkowicie kierunek swych zainteresowań. Była nim sztuka.

W 1926 roku jego pierwszym i jedynym nauczycielem był znany artysta malarz Stanisław Batowski. W krótkim czasie osiągnął na tyle wysoki poziom w swej sztuce, że zgodnie z opinią Batowskiego nie potrzebował już studiować w Akademii Sztuk Pięknych. Od tego czasu był samoukiem.

Początkowo całą swą uwagę skierował na opanowanie rysunku ołówkiem i piórkiem. Efektem tej działalności było wiele albumów. Pokazał w nich nie tylko krajobraz, ale i folklor ze szczególnym uwzględnieniem chłopów, Żydów, plebsu miejskiego i małomiasteczkowego.

Doskonali w dalszym ciągu swe techniki opanowując żmudne dziedziny grafiki, miedziorytu i akwaforty. Skierowuje swoje zainteresowania na wspaniałe dla malarza teryny Wołynia, Podola i w mniejszym stopniu Pokucia i Polesia.

W początku lat trzydziestych rozpoczyna na wielką skalę malowanie obrazów olejnych. Jego bazą wypadową staje się nieduże miasteczko Podkamień k. Brodów, określane przez króla Sobieskiego jako „Częstochowa Wschodu” ze względu na potężny, ufortyfikowany klasztor Dominikanów. Jego długoletnim towarzyszem w sztuce był Leopold Buczkowski znany później literat i grafik. Był mu nauczycielem rysunku.

W tym czasie powstaje znaczna ilość kompozycji i pejzaży Mariana.

W 1936 roku bierze po raz pierwszy udział w zbiorowej wystawie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych we Lwowie. Wkrótce potem przenosi się na krótki okres do Warszawy. Wstępuje wskutek rad przyjaciół na Akademię Sztuk Pięknych i ku zdumieniu wszystkich oprócz niewielkiego pokazu w Resurcie Obywatelskiej wystawia 80 obrazów w Zachęcie. Za obraz „Niedziela w Ożomli” otrzymuje medal

brązowy, mając niespełna 30 lat. Obraz ten nabyła późniejsza propagatorka jego sztuki, znana powieściopisarka Kosak-Szczucka. Niestety obraz ten zaginął w czasie wojny. Jego reprodukcja znajduje się w tygodniku „Światowid” (10.IV.1937 r.). Gdy Marian zwrócił się do państwa o pomoc pieniężną, gdyż chciał wyjechać do Włoch, uzyskał niewielkie stypendium w wysokości 300 zł (ok. 55 dol.). Pobyt w Warszawie, gdzie zapisał się do Akademii Sztuk Pięknych, nie potrwał długo. Poziom Akademii nie był dla Mariana odpowiednio wysoki. W tym czasie powstaje cykl grafik pt. „Wojna”, gdyż artysta miał złe przeczucia przy pogarszających się stosunkach politycznych w Europie. Ponownie bierze udział w zbiorowej wystawie Związku Polskich Artystów Plastyków we Lwowie i przygotowuje się do kolejnej wystawy w Zachęcie, planowanej na 1939 r.

Maluje kilka dużych obrazów, w tym niewykończone dzieło pt. „Pożegnanie radości”. Jest to jakby wizja kończących się szczęśliwie minionych czasów w naszym kraju. Na obrazie widać na karuzeli rozradowanych żołnierzy i cywili, chłopów i mieszczan. Są to Polacy i Rusini. Z boku przygląda się temu widowisku zamyślony stary Żyd w chałacie i wydaje się, że jakby przewidywał koniec tego okresu spokoju i beztroski. Wystawa w 1939 roku w Zachęcie nie odbyła się, ponieważ we wrześniu wybuchła wojna polsko-niemiecka.

Marian Kratochwil, wyjątkowy artysta, ale i patriota, bierze w niej czynny udział. Broni w randze ppor. 52 p. piechoty naszej niepodległości przed germańskim najazdem. Niewielu było artystów, którzy czynnie walczyli z wrogiem Polski. Udział jego w walkach z Niemcami w ramach 12 dywizji piechoty trwał do oblężenia Lublina. Pod koniec tej walki wraz z dużą grupą obrońców przechodzi do partyzantki. Ale był to już daremny trud, została tylko gorycz klęski. Nie daje się wziąć do niewoli i wraca do Lwowa. Ale tam działają bolszewicy, a zwłaszcza NKWD nastawione na aresztowanie oficerów polskich. W piękny mroźny dzień wigilijny 1939 r. żegnany łzami matki wyrusza ze Lwowa. Przedostaje się do armii francuskiej, ale nie bierze już udziału w walkach, bo Niemcy rzucili na kolana Francję, która walczyła z pomocą angielską krócej, niż to uczyniła Polska.



Jan Paweł II otrzymuje książkę artysty malarza Mariana Kratochwila, poświęconą jego żonie, Watykan 1995 rok.

Z Francji przedostaje się na statku do Szkocji, gdzie pozostaje do końca wojny jako asystent Centrum Wyszkożenia Piechoty przy dywizji generała Maczka. Mimo trudnych obozowych warunków kontynuuje działalność twórczą. Powstaje drugi cykl „Wojna” oraz pewna ilość obrazów poświęconych pięknej Szkocji i Edynburgowi. Cykle wojenne przekazał muzeum w Chicago.

Nie zaniedbuje rysunku i zanotował w tej dziedzinie znaczny postęp przy zmianie swego stylu. W 1947 opuszcza po demobilizacji Szkocję i osiada w Londynie. Za zasługi wojenne władze emigracyjne przyznały później Marianowi podobnie jak innym oficerom stopień kapitana. Ze względu na trudne warunki finansowe stara się o pomoc polskich władz emigracyjnych. Ale gdy jeden z wyższych generałów odmawia przyjęcia na rozmowę „jakiegoś tam porucznika” uznaje, że musi działać na własną rękę, nie oglądając się na wątpliwą pomoc polskich emigrantów. Jak się okazało nawet późniejszy prezydent Raczyński w niczym mu nie pomógł. Powstaje pytanie, dlaczego nie wraca do kraju, gdzie została jego rodzina? Dla artysty ośrodek londyński ze wspieranymi muzeami to baza do poznania wielkich osiągnięć sztuki z czasów starożytnych: Egipcjan, Greków i Rzymian, a także poznania dawnych osiągnięć Chin i Japonii. Muzea londyńskie penetrował przez 8 lat. W tej sytuacji uważa powrót do kraju za niemożliwy.

W Londynie musi zarabiać na życie i pracuje przez 3 lata w wielkim magazynie meblowym jako dekorator. Oczywiście tworzy równoległe wiele rysunków atramentem, poświęconych Londynowi, w którym trwa odbudowa miasta, zniszczonych zabytków i kościołów. Obraz przedstawiający pożar katedry św. Pawła przekaże wiele lat później na audycji księciu Karolowi. Powstają kolejne obrazy ze scen ulicznych, jarmarków na East Endzie, Petticoat Lane, Kingslandzie. W dalszej części rysunków pokazuje znaną fortecę Tower of London.

W tym czasie artyście sprzyja szczęście. Poznaje dwie wybitne kobiety, Angielki. Pierwsza z nich to artystka malarza Dame Ethel Walker, znana ze swych świetnych obrazów. Poznała się na sztuce Mariana, a ponieważ uznała, że Marian potrzebuje pomocy finansowej, przepisała mu w testamencie wszystkie swoje obrazy. I rzeczywiście w chwilach kryzysowych ich sprzedaż dawała poważne wsparcie. Druga

z nich to artystka-malarka Kathleen Browne późniejsza jego żona pochodząca z rodziny Plantagenetów. Jej przodek Browne był kanclerzem Elżbiety I królowej Anglii. Niestety to wysokie powinowactwo nie przyniosło jej żadnych korzyści. Nie opływała w dostatki podobnie jak spadkobiercy generała Wellingtona. Tej kobiecie Marian Kratochwil zawdzięczał późniejszą stabilizację w życiu, a przede wszystkim ogromną pomoc duchową, zawodową i psychiczną w działalności artystycznej.

Kontynuując malarstwo o tematyce angielskiej odwiedza Marian Kornwalię i dalsze okolice Anglii, uwieczniając piękne obrazy o tematyce morskiej i lądowej.

Dzięki pracy w magazynie Marian Kratochwil zaoszczędził fundusze na wyjazd do Hiszpanii, który mu doradziła Kathleen Browne. Wyjazd do Hiszpanii trwał około 20 miesięcy, przy czym podzielony był na dwa okresy: 1953 i 1955 r. Marian jest zafascynowany Hiszpanią, przepięknymi krajobrazami, architekturą starych miast i ich mieszkańcami. Przypominają mu one nasze b. Kresy Wschodnie, a szczególnie Wołyń i Podole. Główne twórcze uderzenie artysty następuje w Toledo (Kastylija), mieście znanym z pobytu tam znakomitego malarza El Greco. Następnie maluje i rysuje w Rondzie (Andaluzja). Z powstałych obrazów można szczególnie wyróżnić piękne widoki Toleda, położonego nad rwącą rzeką Tag. Jest to Toledo w aureoli światła, ale jest też pokazane podczas potężnej burzy przechodzącej nad miastem. W 1961 r. poślubia Kathleen Browne, jego podporę w trudnych okresach życia. Organizują w Chelsea szkołę dla początkujących i zaawansowanych malarzy, czemu służy powstałe duże studio. W tym roku wybiera się ponownie do Hiszpanii, do Toledo i Rondy, gdzie pracuje przez 4 miesiące. Uważał, że w tym czasie, gdy namalował 150 obrazów, ulepszył znacznie koloryt, przewyższający swym poziomem jego osiągnięcia polskie. Hiszpanię odwiedził jeszcze raz w 1967 r. i przebywał tam 2 miesiące. Wpływ pobytu w Hiszpanii, a szczególnie dzieło Cervantesa dały w efekcie kilka dużych obrazów poświęconych wraz ze szkicami nieśmiertelnemu Don Kichotowi. Z czasem nie zapomni o jego wierszu giermku Sancho Pancho. Twarz Don Kichota przestudiował malując kilkadziesiąt szkiców i portretów. Po okresie hiszpańskim artysta rozszerza tematykę swych dzieł o treści z zakresu baśni i fantastyki. Nawiązuje też do zagadnień społeczno-politycznych, dominujących w XIX i XX wieku, np. w obrazie pt. „Ołowiani żołnierze”. Odwiedza też Włochy, a z Wenecji przedstawia swoje spojrzenie na plac św. Marka.

W 1968 roku organizuje we własnym studio wystawę pt. „London and Scotland”. Pokazał w niej 85 najważniejszych obrazów o tematyce brytyjskiej. Wśród zaproszonych gości był Kazimierz Wierzyński, poeta wielkiego formatu. Zwrócił się z pytaniem do Mariana ze łzami w oczach: „gdzie Pan był przez te lata minione?”. Niestety wkrótce umiera, a Marianowi ubywa entuzjasta jego sztuki. Wystawa była niewątpliwym, wstępnym sukcesem Mariana Kratochwila i zainteresowała wielu znawców. Następna wystawa w studio zgromadziła aż 150 osób. Byli już na niej przedstawiciele ambasady Hiszpanii, Polacy z prezydentem Raczyńskim oraz Angliacy z burmistrzem dzielnicy Chelsea.

Marian Kratochwil podarował niektóre ze swych obrazów, grafik i rysunków kilku muzeom brytyjskim w Londynie i National Gallery of Art w Edynburgu.

W 1970 r. przekazuje artysta dar dla Muzeum Narodowego w Krakowie dyrektorowi tego muzeum. Objął on 10

obrazów olejnych oraz 17 grafik z cyklem wojennym. Dołącza do nich 13 zgromadzonych u siebie obrazów przyjaciela Mieczysława Janikowskiego, zmarłego w nędzy w Paryżu. Obrazy jego oprawia własnym kosztem. W tym też roku obrazy pokazano na wystawie w Muzeum Narodowym w Krakowie. Także i Muzeum Narodowe w Warszawie otrzymało dodatkowe obrazy. Dużo czasu upłynęło, gdyż dopiero w 1979 r. doszło do wystawy 20 obrazów o tematyce hiszpańskiej w Instytucie Hiszpańskim w Londynie. Przedstawiciele Hiszpanii, a szczególnie ówczesny ambasador zafascynowany sztuką Mariana organizuje wystawę tych obrazów w Muzeum Santa Cruz w Toledo. Były oczywiście darem artysty. Hiszpanie zapewnili mu coś rzadko spotykanego dla artystów polskich – stałą ekspozycję.

Nieco później odwiedza studio Mariana dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie Tadeusz Chruścicki. Przy pomocy ambasady polskiej, a szczególnie konsula generalnego Tadeusza Kalinowskiego przekazuje Marian do Polski

wybrane przez p. Chruścickiego dalsze obrazy olejne, w tym głównie dzieła z okresu polskiego. Dołącza do nich grafiki, szkicowniki, wycinanki. W ten sposób łączna liczba obrazów olejnych, które otrzymało Muzeum w Krakowie wzrasta do ok. 81.

W 1980 r. przyjeżdża Marian Kratochwil na wystawę swych dzieł do Krakowa. Wygłasza przy tym jak zwykle wprowadzające przemówienie. Zakończył je w tonie żartobliwym: „Pójdźcie Państwo popatrzeć na to, co Kratochwil zmalował i mówcie źle czy dobrze – ale mówcie. Nikt tego nie rozumiał lepiej jak sam Picasso”. W tym też roku oddaje w postaci daru dla Muzeum Polskiego w Rapperswilu 26 obrazów o tematyce wybitnie kresowej. Są to przeważnie nieduże obrazy. W zasadzie powinny się one znaleźć np. w Muzeum Wrocławskim, gdyż byłyby one tu oglądane z zainteresowaniem przez przesiedleńców z b. Kresów. A tak prawie wszystkie zalegają w magazynie.

(c.d.n.)

WSPOMNIENIA

Od Redakcji

Wchodzenie Polski do natowskich struktur i EU jest różnie przyjmowane przez państwa zachodnie. Istnieje u nich przekonanie o korzyściach, również kulturalnych, jakie przy tym zyska Polska. Tymczasem jest to trochę inaczej – Polska będąc granicznym bastionem kultur zachodu i Wschodu, choćby tylko dla zachowania swego istnienia musiała zachować swą przynależność do kręgu kultury łacińskiej, w którym do tej pory pozostaje. W przeciwieństwie do wielu państw Europy Zachodniej, gdzie humanizm i kultura łacińska są obecnie dezawuowane przez „modę” na cywilizację – amerykański styl życia – Polska może wnieść do państw zachodnich zachowany humanitaryzm kultury łacińskiej. Nic więc dziwnego, że owocem „polskiej kultury łacińskiej” jest fascynujący świat Jan Paweł II. Nasza historia, nauka, twórczość nie jest jakąś marginalną wartością kultury świata, lecz stanowi znaczący wkład do tegoż dorobku. Na przestrzeni przeszło tysiącletniej historii naszego kraju kultywowane są tradycje i styl życia Polaków, charakteryzujący się wielką tolerancją i będący wielkim magnesem dla chcących mieszkać w Polsce i to nawet wówczas, gdy Polski na mapie Europy nie było. Wyrazem tej wysokiej atrakcyjności Polski i jej kultury było między innymi polonizowanie się w czasie zaborów Austriaków i Niemców przysylanych dla germanizowania polskiego narodu.

Jednym z przykładów polonizowania się Niemców jest artykuł prof. dr hab. S. Schellera, o swym Ojcu i Jego życiu w przełomowym okresie Lwowa w 1918 roku.

Zdzisław Lubicz-Ojrzynski

Stan Scheller

Jak obrońcy szkoły Sienkiewicza zapoczątkowali Obronę Lwowa

Ostatnie miesiące 1918 roku zapowiadały rychły upadek c. k. Austrii, a jesień przyniosła wyraźne już oznaki rozkładu monarchii. Wielonarodowa armia „sypała się”, żołnierze gromadzili się w etniczne grupy, w ledwie maskowany sposób sabotowali rozkazy. Rosła dezercja. W tej sytuacji, wytrawny dezerterski Józef Scheller postanowił wrócić do domu. To był mój Ojciec.

W 1916 roku dostał powołanie do wojska, do Gródka Jagiellońskiego. Stawił się w koszarach, by po chwili, korzystając z panującego bałaganu wyjść z nich w świeżo wyfasowanym mundurze. Przebrał się w bramie jednego z domów w sąsiedztwie koszar i już w cywilnym ubraniu wrócił do Lwowa. Przez dwa lata ukrywał się w różnych przedziwnych miejscach, z których jednym był grobowiec na cmentarzu (nigdy nie spytałem, na którym). Teraz, w ostatnich dniach października wrócił „do mamy” jak to zawsze określał – rozkoszując się ciepłem rodzinnego domu na rogatce gródeckiej. Nie bał się zupełnie. Kró-

lewsko cesarska monarchia to był już wyraźny trup. Wojacy różnych narodowości grupowali się i ciągnęli w swoje strony, a w takiej chwili nawet najbardziej zidiociałemu żandarmowi nie przyszłoby do głowy, by ścigać dezertersów.

Wczesnym rankiem, na schodkach domu czyścił mesztę¹⁾, usiłując nadać im wysoki połysk. No bo jakże: był właśnie dzień Wszystkich Świętych, a więc należało ubrać się przyzwoicie do kościoła, pierwszy raz po dwóch latach! Pierwszy meszt miał już na nodze. Drugi właśnie czyścił do połysku, stojąc bosą stopą bez skarpetki na drewnianym stołku. Ta właśnie bosa noga przeszła do legendy rodzinnej.... W tym bowiem momencie wpadł na podwórzu zdyszany najbliższy przyjaciel Ojca, również student²⁾ gimnazjalny, Tadeusz Nowak

– Jóźku, Ukraińcy wy Lwowi!! – wrzasnął.

– Jacy Ukraińcy, czy ty Tadźku zdurniał? – odwrzasnął Ojciec.

– Nie wiem! Ali ukraińska fana wisi na ratuszu! Zbiramy si w szkoli Sinkiwicza! Katulaj si za mnu! – odrzucił i tyle go było widać. (Ten krótki dialog zapamiętałem bardzo dokładnie z relacji rodzinnych).

Ojciec zadziałał szybko, bardzo szybko. Tak dalece, że trzymany w ręce meszt ubrał na bosą nogę. Na wciągnięcie skarpetki nie było już czasu. „Puleciał du szkoły Sinkiwicza”.

Po drugą skarpetkę wrócił do domu po dwóch tygodniach....

W szkole Sienkiewicza zastał rozgardiasz, ale rozkręcająca się machina wojskowa bardzo szybko nabierała sprawności i rozmachu, dzieląc przybyłych na zorganizowane grupy pod komendą oficerów rozpadłej już armii austriackiej, którzy tam pojawili się wcześniej. Przybywających ochotników wpisywano do słynnego, grubego brulionu, który przechowywany później w archiwum Związku Obrońców Lwowa miał się stać po latach najcenniejszą relikwią i dokumentem zaświadcującym o tych Najpierwszych!

Ojca wpisano albo wraz z Tadeuszem Nowakiem, albo tuż obok. W pierwszej trzydziestce – jak twierdził Ojciec, lub też w pierwszej dziesiątce – wg relacji Tadeusza Nowaka. Nie przywiązywali do tego żadnego znaczenia, bo ich celem była walka, obrona i c h Miasta, a nie jakaś tam lokata w brulionowej tabeli.

Zaraz potem dołączył do nich młodszy brat Ojca, Franciszek. Nie był w poborowym wieku, nie „ciągnano” go więc do wojska. To pozwalało mu uczyć się więc bez przerw przez cały okres wojenny. Był dumą rodziny, typem młodocianego intelektualisty, spokojnym, zrównoważonym chłopcem, zatopionym w książkach romantycznym idealistą. Teraz porzucił dotychczasowy świat wyobraźni i zjawił się tu, gdzie trzeba było zdać przedwczesny egzamin dojrzałości. Miał wówczas niecałe 18 lat. Ojciec przez cały okres walk starał się trzymać z bratem, usiłując, w miarę możliwości strzec go i chronić. Udało mu się – aż do Kijowa...

Dziwne, że o udziale i przygodach Franka Ojciec opowiadał jeszcze mniej, niż o sobie. Wspominał tylko, że był bardzo odważnym żołnierzem.

Mieszają mi się fakty i zdarzenia znane z relacji Ojca, ale także innych członków rodziny. Nie pamiętam więc, czy naprzód poszedł mały oddziałek na dworzec Czerniowiecki po broń zmagazynowa-



Józef Scheller (siódz) i Franciszek Scheller (stoi) zdjęcie z 1915 r.

na tam przez Austriaków a potem nastąpił atak Ukraińców, czy może było odwrotnie? Doprawdy nie wiem, lecz ta sprawa nie jest znów aż tak ważna dla przywołania atmosfery tamtych dni, by poświęcać jej kazuistyczne rozważania. Wiele zdarzeń działo się zresztą jednocześnie, przyjmijmy więc, że naprzód była wyprawa po broń.

Szli milcząc i cicho pod murami domów ulicą Bilińskich w dół, ku dworcowi towarowemu. Po drodze natknęli

się na grupę mikrusów³⁾, wśród których Ojciec rozpoznał kolejnego młodszego brata Edwarda, niewyrośniętego miglanca³⁾, najmniejszego z całej napotkanej grupy. Edek ciągnął po ziemi dwa karabiny nie mogąc ich unieść ze względu na ich wagę i rozmiary. Był naprawdę małym, wygłodniałym chłopcem, zabiedzonym przez lata wojennego niedostatku i biedy. Ciągnął więc te karabiny z trudem w kierunku szkoły Sienkiewicza. Rozśmieszony i wściekły zarazem Ojciec odebrał mu je, nakazując równocześnie natychmiastowy powrót do niedalekiego domu. Gdy rozżalony i zapłakany Edek upierał się, by pójść z nimi, bracia solidarnie zbili mu tyłek pasami i przepędzili do domu. Wyciekawszy jakiś czas Edzio pomaszerował w inną stronę: do szkoły Konarskiego, właśnie zajętej po oddziale węgierskim, który opuścił Lwów udając się na Węgry. Tam dopiero wybili mu wojaczkę z głowy, zapędzając go do obierania kartofli. Wytrzymał dwa dni, poczem rzucił to wszystko i oświadczając, że kartofle może obierać u mamy – wrócił do domu. Po dziś dzień pamiętam opowiadania starszych, a także nauczycieli o „kartoflanym wojsku” ze szkoły Konarskiego, a więc o niedorostkach, których nie dopuszczono do udziału w walkach, zapędzając do pomocy w kuchni

Wyprawa po broń zakończyła się pełnym sukcesem. Oddziałek wrócił bez strat, obładowany karabinami i amunicją, które tak bardzo miały przydać się wkrótce!

Atak Ukraińców nastąpił chyba na drugi dzień. Duży oddział strzelców siczowych wspierany autem pancernym uzbrojonym w CKM zaatakował, podchodząc i ostrzeliwując szkołę Sienkiewicza silnym ogniem karabinowym. Auto pancerne siekło seriami CKM-u. Kule wznicały gęsty, gryzący kurz z piaskowcowych obramowań okiennych i tynków ścian.

Na parterze, w sąsiednim oknie obok Ojca padł pierwszy poległy w tej wojnie, trafiony kulą w czoło. Nie pamiętam jego nazwiska. A może Ojciec go nie wymienił? Nie wiem. Gdy w rzadkich chwilach, w których dopuszczał wspomnienia, być może nie powiedział mi tego, a ja, wówczas mały chłopiec, nie spytałem, widząc tylko oczami wyobraźni zakrwawioną głowę chłopca, który nie dożył pierwszego zwycięstwa. Ostry atak zakończył się bowiem pierwszym triumfem obrońców. Nie ostrzelani jeszcze zupełnie, prawdopodobnie nie chronieni workami z piaskiem lub ziemią, przykryci zmasowanym ogniem karabinowym o wiele liczniejszych atakujących oraz ciągłymi seriami karabinu maszynowego, w duszącym kurzu wapiennych tynków, znaleźli się na krawędzi klęski. I wówczas zdarzył się jeden z tych cudów, których cała późniejsza seria zdecydowała o zwycięstwie, które potem rzuciły na kolana nie tylko cały naród, ale i nieprzyjaciół⁴⁾. Cud męstwa, ryzyka i fantazji! Jeden z Obrońców, jakiś nieznany batiar z Gródka, wdrapał się na wieżyczkę zegarową na szczycie dachu szkoły, z której potem, po latach mnie i podobnym miglancom zegar odmierzał biciem dzwonu kwadransy i godziny, wbiegł, chyba ułożył się wygodnie i zapewne uspokoiwszy oddech, kilkoma strzałami wystrzelał załogę samochodu pancernego. Szanowny Czytelniku, jeśli realia konstrukcyjne dzisiejszych machin bojowych wzbudzą Twoje wątpliwości co do technicznych możliwości dokonania tego czynu, przyjmij, że także ja sam, z perspektywy lat ostatniej wojny (nie mówiąc już o współczesnej wirtuozerii konstrukcyjnej maszyn do zabijania typu użytych w Zatoce Perskiej), niezbyt rozumie ten wyczyn. Może to był nie tyle samochód pancerne, lecz tylko opancerzony, niezbyt dobrze chroniący załogę?

Nie wiem. Ale ten czyn miał miejsce! On był faktem, który na pewno zadecydował o zwycięstwie w tym pierwszym boju, a i być może o zwycięstwie całej Obrony?

Samochód pancerny znieruchomiał, CKM umilkł, atakujący stracili chyba ducha bojowego – i wycofali się.

Nie pytaj o losy pancerki: wycofali ją? Pozostawili? Nie wiem. Nigdy nie spytałem o to Ojca i jakże dzisiaj żałuję! Nie spytałem zresztą o wiele innych rzeczy i spraw, nie dopuszczając, że Ojca może kiedyś zabraknąć! On miał być z a w s z e, podobnie jak Lwów. W tych zielonych latach mojego życia tkwiłem w infantylnej pewności, że zawsze zdążę uzupełnić braki wiedzy i rozszerzyć świadomość, że zawsze zdążę. Nic z tego! Mam potężne luki wiedzy o faktach, ludziach i zdarzeniach. A teraz jeszcze te luki pamięci pogłębia mój wiek „baltazarowy”... Przyjmij więc Czytelniku, Rodaku z mojej Ojczyzny opis pozostałych, znanych mi ułankowo faktów, które w sposób nieudolny opisuję, usiłując ocalić je od zapomnienia.

Zupełnie nie wiążący się z epizodem szkoły Sienkiewicza, jest następny kadr: Ojciec stojący w nocy na czujce wśród drzew. Czy to był Ogród Jezuicki, czy Persenkówka? Nie pamiętam. A może również i o tym Ojciec mi nie wspominał? To zresztą drugorzędna sprawa, bo chyba walczył na którymś z tych odcinków, a może na obu?

To był listopad, najohydniejszy miesiąc w moim Mieście, które miało tak wspaniały klimat! Listopad, istny sabat czarownic i diabłów, w którym deszcze i śniegi razem zmieszane, gnały pędzone potęgą wyjąłymi wichrami, poziomo, przez ulice, parki i okoliczne wzgórza, mocząc domy, drzewa i ludzi, natychmiast zamarzające przenikały do „szpiku kości”. Ostatnim łajdakiem byłby uznany każdy, kto by psa wygnał w taką pogodę z domu.

W taką właśnie noc Ojciec stał pod drzewem na czujce.

Przemókł całkowicie i powoli zamarzał. Po którejś godzinie (może ktoś z Was, Rodacy wie jak zupełnie inaczej biegnie czas i liczą się godziny w taka porę?), umęczony do ostateczności, On, który przez ponad dwa lata spał w grobowcu, poczuł że umiera. Zanikła w Nim chęć życia, bo już nie wytrzymał tortury. Zdjąwszy karabin, oparł go kolbą o ziemię i na pół świadomie wyszukał pod nogami kawałek patyka. Przyłożył go do spustu („cyngla”) opierając równocześnie lufę o głowę. Teraz już wystarczyło tylko nacisnąć patyk.

Nie wiem, ile trwała decyzja: minutę, godzinę, wieki? On też nie wiedział. Wiem tylko, że majaczył. Opowiadał mi, że widział rozjaśniony dom i krzątającą się w przygotowaniach do nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia Babkę. „Mamę”, jak zawsze mówił. Mama by bardzo płakała, gdybym to zrobił, tłukło mu się po głowie. To zadecydowało – odrzucił patyk. Wkrótce potem zluźowali Go.

Wkrótce był następny epizod, z Hycła Górą.

Rodaku, który jesteś tak samo Lwowianinem (czy też Lwowiakiem) jak ja, nie żądam ode mnie, abym ją nazywał Górą Stracenia. Tak może i trzeba było, lub też trzeba by, teraz, dziś, tak w każdym razie pouczali nas w szkołach (mnie w szkole Sienkiewicza) nasze kochane „srakotłuki”⁵⁾ (pamiętasz? to nasi Nauczyciele!), wściekając się, że tkwimy w swoim uporze, ale komuż z nas można było to narzucić! Hycła Góra – i już!

Otóż – w wojennych losach Ojca była i Hycła Góra. Dostał rozkaz dostarczenia dowódcy obrony tamtejszego odcinka porucznikowi Romanowi Abrahamowi meldunku czy też rozkazu. I nie było by w tym nic nadzwyczajnego,

gdyby nie to, że tam właśnie, podobnie jak na Persenkówce toczyły się najcięższe walki.

Ostrzał dojścia był cholerny, żadnej osłony tylko bruzdy i wgłębienia w błotnistą ziemię. Czołgając się więc i wciskając w ziemię, w końcu dowlóknął się. Meldując się por. Abrahamowi wyprężył się dumnie, oczekując pochwały. Doczekał się!

– A gdzieżeś się skurwysynu tak wysmarował? – spytał przyjacielsko Abraham?

Ot i wojna tamtych czasów: głód, ziąb, nędza, błoto, patos, rabelaisowski humor i żart równocześnie. Wściekła mieszanina przeżywana w huśtawce doznań i nastrojów, która powracając po latach, z dystansu pozwalała niekiedy na uśmiech, czy nawet śmiech. To dobro, które na zasadzie kontrpunktu pozwala uczestnikom wojen ustalić „proporcje” przeżywanych zdarzeń i zachować dzięki temu resztki równowagi psychicznej.

Ostatnie z przeżyć Ojca, do którego niekiedy (rzadko!) wracał, miało miejsce po wyrzuceniu Ukraińców poza obręb Miasta. To było słusznie oceniane jako Victoria Obrońców.

Reszta, czyli zwycięskie zakończenie wojny o Kresy należało już do armii Państwa, które zdążyło w międzyczasie powstać.

Wygraną zwycięzcy uczcili na sposób znany już od starożytności, czyli: kobiety, wino i śpiew, co w przekładzie na język ówczesnych realiów oznaczało: panie w różnym wieku i różnej kondyty, śliwowica i pieprzne przysmaki lwowskiej ulicy. Przysmaki absolutnie obsceniczne, lecz niosące w sobie rozsadzający ładunek humoru! Ale o nich to już chyba przy innej okazji.

Wróćmy jednak do finału wyczynów Ojca w wojnie o Lwów.

Miał bardzo słabą głowę, a niedożywienie i zmęczenie dokonało reszty: częstowany na każdym kroku przez rozentuzjasmowany lud lwowski, wypił za dużo i stwierdziwszy w jakimś tam momencie ze wstydem, że jest kompletnie pijany, pomaszewował samotnie do domu, do którego miał ze śródmieścia kawał drogi. Nie szło mu jednak. Co chwila stwierdzał, że idzie środkiem jezdni, choć jeszcze przed paru sekundami szedł chodnikiem. Bardzo zawstydzony (wówczas ludzie jeszcze wsty-



Józef Scheller, około 1918 r. (Źródło: archiwum)

dzieli się opilstwa) „wynałaził” sposób na utrzymanie kursu: wskazującym palcem „ciągnął” po mijanych murach i płotach, usiłując w ten sposób utrzymać kontakt z chodnikiem. Na nic! Środek jezdni miał jakąś magiczną siłę przyciągania i tam właśnie budził się z alkoholowej narkozy. Wreszcie, skrajnie zmęczony usiadł na jakichś schodkach by trochę odpocząć i tam zasnął.

Powrót do rzeczywistości był zaskakujący: zbudziła Go cisza i poczucie wspaniałego luksusu i komfortu – miękko-

ści i ciepła. Otwarcie oczu było szokiem. Leżał w ogromnym pokoju w gigantycznym łóżku, rozebrany ze śmierzdzącego „munduru”, ubrany w nocną koszulę i przykryty pieczykami. Obok łóżka, na krześle leżał wyczyszczony i odprasowany mundur, buty lśniły, a wypucowany karabin stał obok, oparty o ścianę. Okropnie zawstydzony i skacowany Ojciec ubrał się po cichu i po prostu uciekł! Był tak zszokowany, że nie zwrócił uwagi na adres. Potem mimo usiłowań nie zdołał odszukać gościnnych gospodarzy, aby im podziękować. Do końca życia na wspomnienie tamtej „przeklętej śliwownicy” wstydził się i wzdrygał ze wstrętem.

Tak zakończyła się dla Ojca Obrona Lwowa. Ocaleli szczęśliwie wraz z Bratem Franciszkiem, przynajmniej do wyprawy kijowskiej.

Z chwilą wybuchu wojny polsko-bolszewickiej obaj zgłosili się natychmiast do wojska, gdzie otrzymali przydział do artylerii. Ta wojna przerwała Ojcu naukę w Gimnazjum, woził więc z sobą na jaszczu działa książki, poświęcając im każdą wolną chwilę. Wkrótce potem, zaraz po wojnie zdał eksternistyczną maturę.

Pod Kijowem został ranny. Warto może wspomnieć w jakich okolicznościach. Ich bateria była kilkakrotnie atakowana z lotu koszącego przez samolot bolszewicki, którego nie byli w stanie odpędzić strzałami karabinowymi. Powoli narastała furia artylerzystów. Za kolejnym nawrotem samolotu Ojciec nie wytrzymał: wyskoczył z rowu przed swoje działo i wykonał w kierunku nadlatującego samolotu kilkakrotny „gest Kozakiewicza”. Nie zauważył lecącej bomby, zresztą było na to chyba za późno. Oberwał dwoma odłamkami, które chlasnęły Go w okolice lewego stawu barkowego i obojczyka.

Rannego i chorego na czerwonkę przewieziono do szpitala we Lwowie. Najczęściej wspominał ten transport, który był jednym z największych koszmarów jego kampanii wojennej: rannych i chorych wieziono długie dni podwodami zaprzęgniętymi w konie i woły. Dlaczego nie koleją? Tego też nie wiem, bo w tym fragmencie przeżyć Ojca o wiele bardziej fascynował mnie wówczas opis metody „leczenia” czerwonki zastosowany przez Ojca. Nie cytuję go nie tylko z powodu jego drastyczności, lecz także z obawy przed naśladownictwem... W końcu wylądował w lwowskim szpitalu, gdzie spotkał Go koniec wojny bolszewickiej.

Brat Ojca z niej nie powrócił. Chory na tyfus pozostał w szpitalu w Kijowie. Nie zdążono go ewakuować, dostał się więc wraz z resztą chorych, rannych i personelu w ręce bolszewickie. Zmarł tam, lub został zamordowany przez bolszewików. W każdym razie, nigdy nie wrócił. Jego matka a moja Babcia, wyrzucona ze Lwowa i od roku 1946 zamieszkała w Gliwicach, do swej śmierci w 1962, wypłakując oczy, czekała na Jego powrót.

Requiescat in pace, Franzl.....

Był w mojej rodzinie jeszcze jeden obrońca Lwowa, którego zostawiłem na koniec tej opowieści. Przedziwna figura, którą wspominam ze wzruszeniem i szacunkiem: mój Dziadek – Peter Scheller.

Nigdy nie nauczył się języka polskiego. Porozumiewał się z otoczeniem albo po niemiecku, albo okropnym volapükiem, w którym „przerabiał” określenia polskie i niemieckie, łącząc je w nieskoordynowanym związku i nadając im zaskakujące końcówki, myląc przypadki i rodzajniki. Nigdy nie zgłębił głębokich tajemnic języka polskiego takich, jak n.p. stosowanie spółgłosek „l” i „ł”. Stosował je

naprzemiennie, wg. zasady doboru losowego, zwykle z zaskakującym, najgorszym skutkiem. I tak ławka była dla niego „ławką”, ale zato palec to był nieodmiennie „palec”. Było znacznie więcej podobnych śmieszności, których wspomnienie rozrzuca mnie do dziś, jednak nie czas, by je tu wymieniać. Wspominam o nich jedynie dla ilustracji niesłychanego zjawiska: przeogromnej siły asymilacyjnej tamtego Miasta i tamtej Ziemi.

No bo jak w kategoriach racjonalnych dałoby się inaczej wyjaśnić ten fenomen? Oto stuprocentowy „Szwab”, „ein Urgermaner” zasymilowany po przyjeździe do Lwowa, już, zaraz, natychmiast! I w dodatku z pełną świadomością angażujący się teraz w walkę o „swoje” Miasto? Nie ma w tym nic z przypadku działania pod wpływem chwili. Jest natomiast pełne rozeznanie ryzyka, oraz jasno określonego celu, ale przede wszystkim obowiązku. Tego niemieckiego: „Pflicht ist Pflicht”! Należało bowiem bronić tej zaczarowanej Krainy, która Go tak gościnnie przyjęła i zaakceptowała, oraz wspomóc w potrzebie, a raczej w skrajnym wysiłku tych przedziwnych ludzi, którzy przyjęli Go z serdeczną gościnnością jak swego, śmiejąc mu się równocześnie w nos, gdy zaczynał mówić tym swoim straszliwym „polskim” językiem, od którego nawet batiarom z przedmieścia „Gródek” włos jeżył się na głowach.

A także nazywając Go „starym Szwabem”. Wiedział o tym, lecz nie obrażał się. Przyłgął bowiem do tego polskiego Miasta i tej mieszaniny narodowości i ras, która złożyła się na niepowtarzalną populacyjną kompozycję, tworzącą chyba jedyny w świecie typ mieszkańca, Miasta Semper Fidelis. Dziadek był prostym człowiekiem, lecz wyczuł ponad 600-letni bagaż historii: polskiego Lwowa, przedmurza Europy.

Dziadek miał jeszcze przed sobą swój ostatni, dramatyczny występ, o którym wówczas nie mógł wiedzieć. Jak również o tym, że dojdzie do tego dzięki Jego genetycznym rodakom – Niemcom. To miało dopiero nadejść. Tymczasem jednak, w trakcie walk budował pociąg pancerny na dworcu kolejowym.

Dowiedziałem się o tym dopiero w dniu Jego pogrzebu na cmentarzu Janowskim, w zimie 1941 (lub 1942) roku. A także o tym, że został za to udekorowany odznaką „Orląt”.

Przepadła mi gdzieś w zawierusze tamtych, wojennych lat najcenniejsza pamiątka po Nim: drukowana goty-



Peter Scheller. Dziadek (Scheller-Franz)

kiem książka do nabożeństwa, z której się modlił. Oczywiście po niemiecku, bo tylko w tym języku potrafił dogadać się z Bogiem. To zwyczajna rzecz, mógłby ktoś powiedzieć. Tak. Tyle, że na tej gotyckiej, niemieckiej książeczce widniał Jego własnoręczny podpis:

P i o t r Scheller

Posłowie

Mgr Tadeusza Nowaka poznałem na jednym z zebrań Towarzystwa Kresowiaków w Krakowie, w podziemiach Kościoła i Klasztoru OO. Dominikanów. Były to lata 80-te, nie notowałem dat. Gdy przedstawiłem się, kim jestem, wyściskał mnie jako syna Jego najbliższego przyjaciela i wprowadził mnie w zdumienie twierdząc, że wraz z moim Ojcem byli zanotowani w „Brulione” w pierwszej dziesiątce, podczas gdy Ojciec wspominał o pierwszej trzydziestce. Tego nie uda mi się już rozstrzygnąć, ponieważ w jakiś czas potem, gdy wybierałem się do Niego na całodzienny „seans”, czyli po informacje, w Krakowie wpadł mi w ręce egzemplarz „Dziennika Polskiego” informujący o Jego śmierci. Tak więc spóźniłem się i tu, tracąc bezpowrotnie możliwość przybliżenia pewnych zdarzeń i faktów, których kiedyś z Ojcem nie ustaliłem dokładnie. Oto błąd wynikający z braku refleksji nad własnym, a także powszechnym przemianami.

Moje najwcześniejsze wspomnienia ze Lwowa, łączą się z domem dziadków usytuowanym przy ul. Koszarowej (boczna górnej Janowskiej, powyżej Kościoła OO. Reformatorów), której tylny obszar stanowiły ogrody i koszary piechoty. Potem jednak była górna część ulicy Kętrzyńskiego (dokąd po wybudowaniu własnego domu przeprowadzili się Rodzice) – na wprost, poprzez kilka ogrodów szkoły im. H. Sienkiewicza. W niej rozpocząłem moją edukację, jako uczeń I klasy szkoły powszechnej. To była bardzo miła i spokojna część dość niespokojnej (batiarskiej zresztą) dzielnicy zwanej „Gródkiem”. Graniczyła – poprzez urokliwą ulicę Dunin-Borkowskich z jedną z najbardziej ekskluzywnych dzielnic Lwowa. Przechodziliśmy niekiedy tamtędy z Ojcem w drodze do małego kościoła OO. Jezuitów pod wezwaniem św. Józefa zawsze mijając szkołę Sienkiewicza. Był to budynek ze szlachetnej, nieotynkowanej cegły, w któ-

rym obramowania okien były wyłożone ościerzyną z białszego piaskowca, posiekanego kulami. To były ślady pierwszego aktu wojny polsko-ukraińskiej w obronie mojego Miasta, celowo, pro memoriam w takim stanie pozostawione.

Któregoś dnia Ojciec zatrzymał mnie przed tym frontonem szkoły. – Synu – spytał – gdzie są okna twojej klasy? – Byłem wówczas uczniem I lub II klasy Szkoły Powszechnej – Tu – pokazałem Ojcu palcem. Były na parterze, postrzelane jak wszystkie inne. – Wiesz, to właśnie tu gdzieś jest jedno z okien, w którym rozpoczynałem. A tu, obok, zginął ten batia – ryna z rogatki gródeckiej, pierwszy poległy w tej wojnie.

Obaj z Ojcem umilkliśmy, a dziwne skrępowanie nie pozwalało nam rozwijać tematu. Zażenowani, obaj nie znajdowaliśmy właściwych słów. Nie rozumiałem tego wówczas. Nie zdawałem sobie sprawy, że nie tylko ja, ale i On, boimy się określić mogących zdeprecjonować, sprowadzić do zwykłej codzienności, lub co gorsze: do niszczącego patosu opis tamtych wydarzeń.

Tak zadziałał nieświadomiony instynkt – Tu bowiem, przez mgnienie oka rozgrywała się H i s t o r i a.

1) W gwarze lwowskiej półbuty.

2) „Studentami” nazywano gimnazjalistów, natomiast studiujący na wyższych uczelniach, to byli „akademy”.

3) Typowo lwowskie określenia małych chłopców, odpowiednik ogólnopolskiego: smarkacz.

4) Chyba to Witold Szolginia w którejś ze swych książek wspominał o tym, że jeden z czołowych przedwojennych nacjonalistów ukraińskich przyprowadzał swych synów na Cmentarz Obrońców Lwowa, aby pokazać im wzorzec zachowań godny naśladownictwa.

5) Srakotłukami gwara lwowskiej ulicy określała belfrów różnych szkół i szczebli.

Michał Siera

Samotna ucieczka z Reichu (c.d.)

Ucieczka

W niedzielę, po godzinie dziewiątej, dokładnie tak jak umówiliśmy się, przyszedł do mnie Stefan i ni mniej ni więcej tylko zakomunikował mi, że on jednak postanowił nie uciekać. Powiedział, że chce po wojnie zobaczyć swoją żonę i małą, kilkuletnią córeczkę. Uznał, że jak na warunki wojenne to pracę ma niezłą bo gospodarstwo nieduże (ok. 10 ha), gospodarz w wojsku, a w domu została tylko jego żona z 18-letnią córką. Uważał się więc prawie za gospodarza bo podobno obydwie traktowały go stosunkowo poprawnie.

Ja w tej zaskakującej dla mnie sytuacji nie zmieniłem jednak postanowienia i zdecydowałem się uciekać sam.

Było mi trochę smutno, ale chyba dzięki temu moja samotna ucieczka mi się udała. We dwójkę bardziej zwracalibyśmy na siebie uwagę tym bardziej jeszcze, że Niemcy w wieku Stefana byli, na ogół, w wojsku. Ja natomiast byłem w wieku przedpoborowym i na takiego wyglądałem. W tym czasie Niemców zabierano do woj-ska od lat 18-tu. Dobrze więc ubrany nie rzucałem się specjalnie w oczy.

Stefan odprowadził mnie na dworzec w Stargardzie Szczecińskim i tam pożegnaliśmy się. Obiecał mi jesz-

cze, że napisze do moich rodziców jakoś tak aby oni zrozumieli, a ewentualna cenzura nie zainteresowała się ani moją osobą, ani jego listem. Zrobił to po pewnym czasie wspominając, że był ostro przesłuchiwany przez gestapo, ale podobno powiedział im, że ja miałem kolegę w Berlinie, który pracował w jakiejś fabryce i prawdopodobnie tam pojechałem, bo praca na roli nie podobala mi się. Tak zresztą z nim umówiliśmy się i to była częściowo prawda, bo jak już wspomniałem, uciec postanowiłem z powodu ciężkiej pracy i kłopotów z Krystą.

Trasę wycieczki miałem stosunkowo nieźle opracowaną na podstawie zdobytej od kolegi Edzia przedwojennej mapy Polski. Odprułem od marynarki naszytą literę „P” (wszyscy Polacy w Niemczech musieli mieć przyszytą niebieską literę „P” na żółtym tle) i udałem się do kasy po bilet do Piły (Schneidemühl). Postanowiłem, w miarę możliwości i pieniędzy, mieć wykupiony bilet kolejowy. Zdawało mi się nie bez racji chyba, że jechać pociągiem bez odpowiednich dokumentów i do tego bez biletu kolejowego, byłoby na pograniczu głupoty. Bilet do Piły kupiłem bez kłopotu, kasjerka tylko spojrzała na mnie i nie pytała o nic. Na początek to był dobry znak. Traf chciał, że w wagonie było dość luźno

i w przedziale usiadłem naprzeciw Polaka podróżującego z naszytym na marynarce „P”.

Jak nikogo nie było to powiedziałem mu, że ja też jestem Polakiem. Przedstawiliśmy się sobie, sprowadzało się to do podania imion: ja Michał, a on Dominik. Natychmiast też umówiliśmy się, że jak ktoś wejdzie do przedziału to będziemy udawali, że się nie znamy. Dominik opowiedział mi, że był w obozie jeńców wojennych, jest z zawodu ślusarzem, zwolniony z obozu już jakiś czas temu i teraz pracuje w jakiejś fabryce w Szczecinie, produkującej części do samolotów. Za dobrą pracę dostał urlop kilkudniowy i przepustkę do Włocławka (był przyłączony do Reichu), gdzie mieszkają jego rodzice (nie wysiedleni do tzw. Guberni). Ja z kolei powiedziałem mu prawdę o sobie, niczego nie ukrywając. Dominik był pełen podziwu dla mojej odwagi, bo jak mówił nie wyobrażał i nie wyobrażał sobie, że coś takiego może mieć szansę powodzenia. Wyraził chęć pomagania mi po drodze, m. in. zaraz przy przesiadce na dworcu w Pile, kupienia mi biletu do Włocławka, dokąd miał przepustkę. Skwapliwie z tego skorzystałem prosząc go aby mi kupił bilet dalej, do Kutna, za którym zaraz była granica. On jednak bał się ryzykować tłumacząc, że ma przepustkę tylko do Włocławka.

Umówiliśmy się, że po wyjściu z pociągu w Pile on będzie szedł z przodu, a ja kilka kroków za nim tak aby utrzymać kontakt wzrokowy.

Do Pily dotarliśmy jeszcze za dnia bo zapamiętałem do dzisiaj, że świeciło jeszcze słońce. Po wyjściu z pociągu trzeba było przejść na inny peron, z którego odchodził pociąg do Bydgoszczy. I tu nastąpił pierwszy, drobny stosunkowo incydent. Przy schodzeniu do tunelu zobaczyłem jak dwóch żandarmów zatrzymało Dominika. Okazało się, że oni niektórych podejrzanych dla nich pasażerów zatrzymywali i legitymowali. Jak oni byli zajęci Dominikiem, to ja spokojnie zszedłem do tunelu obok kolejarza w mundurze, tak aby to wyglądało, że ja z nim schodzę, uśmiechając się pytałem go o jakieś tam połączenie. Na dole czekałem na Dominika, który tak jak obiecał poszedł do kasy kupić dla mnie bilet do Włocławka. Następnie udaliśmy się na peron skąd odchodził pociąg do Bydgoszczy. W Bydgoszczy znaleźliśmy się późno w nocy. W poczekalni dworcowej było sporo ludzi, ale znaleźliśmy miejsce do siedzenia w kącie poczekalni, tak aby nie rzucać się w oczy pojawiającym się od czasu do czasu policjantom.

Nad ranem wsiedliśmy do pociągu, który jechał do Kutna przez Włocławek i Krośniewice. We Włocławku byliśmy rano ok. godz. 9.00. Jak wspominałem pociąg jechał dalej, do Kutna. Wsiadłem więc aby szybko kupić bilet do Krośniewic, bo Kutno planowałem ominąć przez pola, pieszo, z uwagi na ścisłą kontrolę graniczną jaka miała miejsce właśnie w Kutnie.

Myślałem, że zdążę szybko kupić bilet i wrócić do pociągu ale niestety...

Pobiegłem do okienka kasowego i po niemiecku poprosiłem o bilet do Krośniewic. Kasjerka zapytała czy ja jestem Niemcem. Byłem na to przygotowany i nie zastanawiając się potwierdziłem. Wtedy ona poprosiła mnie o dokument podróży (Passierschein). Szybko więc odskoczyłem od okienka. Zdawało mi się, że wołała za mną, ale nie byłem pewny i bałem się, bo na stacji zawsze mieli służbę żandarmi. Mój przyjaciel podróży czekał

na mnie w pobliżu, powiedziałem mu jak sprawa wygląda i prosiłem aby on spróbował mi jednak kupić ten nieszczęsny bilet. Staralem się go przekonać, że niczego nie ryzykuje i jak kasjerka zapyta o dokumenty to powie jej prawdę i doda, że do Krośniewic chce pojechać do krewnych albo do narzeczonej. To go jakoś przekonało, poszedł do kasy i po polsku poprosił o bilet. Otrzymał go od tej samej kasjerki u której ja przed tym byłem, bez słowa. Musiała to być Polka i jak ja powiedziałem, że jestem Niemcem to ona, widocznie miała taki obowiązek, zażądała dokumentu podróży. Tak w każdym razie sobie to wydarzenie tłumaczyłem. Mając już bilet musiałem czekać na następny pociąg, który odjeżdżał do Krośniewic i dalej do Kutna o godz. 15. A więc miałem sporo godzin do przeczekań i to w taki sposób, aby nie zwracać na siebie uwagi, co wcale nie było łatwe.

Pożegnałem się serdecznie z Dominikiem, który poszedł do swojej rodziny. Prosiłem go o adres, ale bał się i nie dał mi. Ja natomiast dałem mu swój i prosiłem żeby kiedyś napisał. Chyba nie napisał albo może napisał, ale ja nie otrzymałem jego listu. W tamtych czasach i zaraz po wojnie takie rzeczy uchodziły za normalne.

W każdym razie byłem i jestem temu człowiekowi wdzięczny bo pomógł mi bardzo. Jeśli jeszcze żyje to w tym miejscu jeszcze raz wyrażam mu swoją wdzięczność za jego bezinteresowną pomoc.

Po odejściu Dominika zacząłem się rozglądać po dworcu i wokół dworca. Chodziło mi o to, aby znaleźć odpowiednie miejsce na przeczekań tych kilku godzin. Zobaczyłem, że w jednym miejscu siedzi kilka osób z takim trochę wiejskim bagażem (bańki, toboły) i rozmawia ze sobą po polsku. Usiadłem koło nich i powoli zacząłem z nimi rozmawiać, aż się oni rozjechali, ale ja przesiedziałem tak nie zauważony przez policjantów ciągle szwendających się po dworcu.

Obserwując wyjście na peron zauważyłem, że jak ma przyjechać jakiś pociąg, to w poczekalni, z której wychodziło się na peron, ok. 15 min. przed odjazdem pociągu pasażerowie ustawiali się w kolejce, a policjant z prawej strony za barierką skrupulatnie sprawdzał ich dokumenty. Jakies dwa metry za policjantem, w drzwiach już na peron, kolejarz sprawdzał i przedziurawiał bilety, po czym każdy wychodził do pociągu.

Po zorientowaniu się jak to dokładnie wygląda, zacząłem zastanawiać się jak ja w tej sytuacji mam wyjść na peron. Na zewnątrz, od ulicy, można było przeleźć przez parkan i dostać się do pociągu, ale to był dzień i do tego piękny, słoneczny. Ulica dość ruchliwa przy dworcu i przechodzenie przez płot o takiej porze zwróciłoby uwagę przechodniów w promieniu co najmniej 50 m po jednej i drugiej stronie ulicy. Tego nie mogłem ryzykować. Zdecydowałem się jednak na przejście przez poczekalnię, koło policjanta.

Cała ta moja ucieczka to było jedno wielkie napięcie nerwowe aż do momentu dotarcia do domu. Ale we Włocławku, już na ok. 2 godziny przed przyjsciem mojego pociągu, przeżywałem mękę. Taki stan napięcia trudno sobie wyobrazić, ale ciekawe, że już na pół godziny przed przyjsciem pociągu, jakoś się uspokoiłem nie przestając być bardzo czujnym. Zobaczyłem, że do poczekalni wchodzi znacznie wyższy ode mnie mężczyzna z małym dzieckiem na ręku. Pamiętam jego wygląd do dzisiaj, chociaż od tamtego czasu minęło przeszło 50

lat. Był sporo wyższy, może jakieś 15-20 cm, a ja też nie jestem taki mały (1,76 m). Ustawiłem się za tym mężczyzną w kolejce z ostentacyjnie trzymanym w rękę portfelem, w którym miałem tylko metrykę urodzenia i zdjęcia rodzinne. W momencie kiedy ten mężczyzna odwrócił się w prawo do policjanta, to ja go ominąłem za plecami i spokojnie podszedłem dwa, trzy kroki do stojącego w drzwiach kolejarza podając mu do przecięcia bilet i znowu ostentacyjnie zamykając i chowając do kieszeni portfel. Kolejarz bez słowa przeciął mi bilet i wypuścił na peron. Myślę, że on nie zauważył mojego prześlizgnięcia się za plecami pasażera z dzieckiem, a jeśli zauważył mój manerw to musiał być Polakiem. Na tych polskich terenach przyłączonych do tzw. Reichu dalej mieszkało i pracowało sporo Polaków. Część Polaków wysiedlono do tzw. generalnej gubernii, ale znacznie większa część pozostała na miejscu i niektórzy pracowali m.in. na kolei.

Znalazłszy się na peronie byłem bardzo szczęśliwy i wręcz radosny chociaż już 2 doby nic zupełnie nie jadłem.

Oprócz pomieszczenia młodzieńczej naiwności z pewną dozą sprytu, miałem jednak sporo szczęścia w tym przypadku i na całej trasie ucieczki, bo takich bardzo trudnych sytuacji miałem jeszcze wiele o czym będzie mowa dalej.

Czuwała nade mną cały czas Opatrzność Boska, bo dzisiaj tak naprawdę to nie wiem jak mi się udało ominąć tego policjanta na dworcu we Włocławku i w dalszej podróży wiele innych podobnych momentów przeżyć.

Pociąg, do którego wsiadłem, wreszcie ruszył.

W przedziale byłem sam. Na tych terenach wtedy były wagony dla Polaków, ale ja wsiadłem do wagonu dla Niemców, bo w tych wagonach dla Polaków były częste kontrole. Niedługo jednak jechałem sam, bo już na następnej stacji za Włocławkiem drzwi do przedziału się otworzyły i zobaczyłem w nich oficera „SS” z trupa czaszką na czapce, z małą walizeczką, który uprzejmie mnie zapytał czy może usiąść w przedziale. Oczywiście powiedziałem, że tak i że będzie mi „miło”. Siadając przy oknie naprzeciw bardzo szybko rozpoczął ze mną rozmowę. Ja na samym początku tej rozmowy przeprosiłem go za moją słabą znajomość niemieckiego języka. Powiedziałem, że jestem tzw. volksdeutschem (pochodzenia niemieckiego), moja matka jest Niemką i teraz intensywnie uczę się niemieckiego, a byłem z wizytą u ciotki w Berlinie. Zapytał ile mam lat. Powiedziałem zgodnie z prawdą, że 17,5 roku, a on na to, że wkrótce na pewno pójdę do wojska, może nawet do „SS” tak jak on, a tam na pewno szybko nauczą mnie dobrze mówić po niemiecku. Zresztą uprzejmie przyznał, już mówisz (zaczął mi mówić per ty) zupełnie nieźle, może akcent tylko trochę polski albo nawet galicyjsko-austriacki. Całe szczęście, że zaraz na drugiej stacji wysiadł, bo mógł zacząć mnie podejrzewać.

Do Krośniewic dojechałem pod wieczór, ale jeszcze było widno. Wyszedłem z dworca na ulicę, pamiętam jakoś rzadko zabudowaną, na której było stosunkowo pusto. Spotkałem tylko dwie dziewczynki w mundurach Hitler-Jugend, które powiedziały mi „heil Hitler” i poszły dalej.

Zacząłem się rozglądać i zastanawiać gdzieby tu można było, w miarę bezpiecznie, przenocować. Idąc

tak zwróciłem uwagę na raczej zaniedbany dom, walącą się chyba stajnię albo stodołę i poruszającą się na podwórku młodą kobietę z małym dzieckiem na rękę. Zdało mi się i miałem rację, że nikogo więcej tam nie ma. Postanowiłem więc zaryzykować i wejść na podwórko. Uważałem też, że na tak zaniedbanym obejściu mogą mieszkać tylko Polacy, a nie Niemcy. Wszedłem na podwórko i po niemiecku poprosiłem kobietę o szklanek wody. Zaskoczona powiedziała po polsku: „ja nie mówię po niemiecku, jestem Polką, a pan chyba chciał wody” pokazała przy tym ręką jakby picie. Oczywiście zacząłem z nią rozmawiać po polsku. Chyba szybko zorientowała się, że ja mogę być w jakiejś trudnej sytuacji i zaprosiła mnie do mieszkania, dała kubek wody, o którą prosiłem i zaraz zapytała czy ja nie jestem głodny. Ona ma tylko co prawda, gotowaną marchewkę (zasmażaną) z groszkiem, ale może bym zjadł z chlebem. Chętnie się zgodziłem, bo jak wspominałem, przeszło dwa dni nic zupełnie nie jadłem. W czasie jedzenia powiedziałem jej prawdę, jaka jest moja sytuacja i poprosiłem o zgodę na nocleg w stodole na sianie lub słomie. Nawet chętnie się zgodziła, zażądała tylko abym nie później jak o godzinie 6 rano opuścił stodołę i sobie poszedł.

Wytłumaczyła mi przy tym którądy mam iść tak aby ominąć Kutno i dojść do granicy między Generalną Gubernią a Reichem, oczywiście na przełaj, mało uczęszczanymi drogami i ścieżkami polnymi. Do dzisiaj jestem wdzięczny tej zacnej, dobrej, młodej kobiecie, której do tej pory w życiu nie spotkałem, chociaż usiłowałem. Obiecałem jej oczywiście, że skoro świt opuszczę stodołę i udałem się spać. Prawie natychmiast zasnęłem (poprzedniej nocy nie spałem w ogóle). Około godziny 7 rano mąż mojej dobrej gospodyni pociągnął mnie za nogę, obudził i wyraził swoje niezadowolenie, że zastał mnie jeszcze śpiącego pomimo obietnicy danej jego żonie. Przeprosiłem go jak mogłem, szybko otrzepałem się z siana, doprowadziłem do względnego porządku i wyszedłem przez ogród. Miałem przed sobą ok. 15-20 km drogi do granicy. Z tego pośpiechu zostawiłem na sianie przedwojenną mapę Polski, którą dał mi na drogę mój towarzysz niedoli Edek, o którym już wspominałem. Szkoda mi było tej mapy, ale przede wszystkim miałem wyrzuty sumienia z tego powodu, bo gdyby przez przypadek mapę tę znalazł ktoś, jakiś zły człowiek albo nie daj Boże Niemiec to moi dobroczyńcy, którzy mnie przenocowali mogli mieć kłopoty z tego powodu. Niestety nie mogłem już nic poradzić.

Szło mi się dość dobrze, bardzo dokuczał mi tylko głód. Po drodze trafiłem na zagon marchewki, wyrwałem kilka i zjadłem. Trochę się lepiej po tym poczułem. Z wodą nie miałem kłopotu pijąc wprost z napotkanych strumyków czy kanałów melioracyjnych. Po południu idąc przez łąkę zacząłem bardzo uważać, bo spodziewałem się, że gdzieś już blisko powinna być granica. W pewnym momencie zobaczyłem pasące się krowy i stojącego przy nich pastucha. Pomyślałem, że Niemiec czy nawet tzw. Volksdeutsch nie pasie krów i że musi to być Polak. Zacząłem do niego iść i zobaczyłem, że jest to starszy człowiek, nabrałem więc większej odwagi, bo w razie czego dałbym mu radę, a w każdym razie byłbym w stanie uciec. Poza tym, w pobliżu, w zasięgu mojego wzroku nikogo nie było.

(c.d.n.)

Franciszka Grodecka (Kanada)

(ur. 4.4.1900 r. we Lwowie)

Motto:

„Historię swoją piszcie sami, bo inaczej napiszą ją za was inni – i źle.” Józef Piłsudski

Wspomnienie, to moje jedyne bogactwo, jakie posiadam.
Jurkowi Mama

Lwów – Rok 1939

Zrujnowani śmiercią obojga moich Rodziców wyjechaliśmy na czterotygodniowe wakacje na wieś.

Wróciliśmy do domu 30 sierpnia, a 1 września rano wybrałam się z dziećmi do Janki Mańkowskiej, chrestnej moich dzieci, zamieszkałej w Zamarstynowie przy ul. Ogrodniczej 6.

Zachwycaliśmy się ogromem kwitnących krzewów i kwiatów w ich ogrodzie. A lato tego roku było słoneczne, piękne, bez chmur, bez szelestu, ciche jak przed burzą.

I burza ta spadła właśnie w piątek, dnia 1 września pierwsze niemieckie bomby spadły na Lwów.

Nie można było pojąć tego co się stało. Nie mogłam uwierzyć, gdy służąca Janki, dowiedziawszy się od tramwajarzy, powiedziała, że przy ulicy Gródeckiej zbombardowane są domy.

Grom z jasnego nieba, przecież nie było wypowiedzenia wojny? To pewnie nasze ćwiczenia samolotowe? Wracamy do domu.

A jednak straszna, okrutna prawda... to niemieckie bomby

Radio nadaje sygnały: Uwaga... Uwaga... Nadchodzi... Nadchodzi...

Rzucamy wszystko i biegniemy do piwnicy. Irmusia pierwsza ubrana woła: prędeż, prędeż, już bomba leci... i naprzód biegnie z lalką, ostatni idzie ojciec. A w piwnicy płacz dzieci, modlimy się żarliwie, śpiewamy przez łyzy pieśni nabożne. Czynimy śluby. Jednego razu podczas takiej sceny mówi mąż: wołałbym być na froncie, aniżeli patrzeć na rozpacz dzieci.

Chodzimy do biura, z nieopisanym strachem zostawiamy dzieci w domu ze służącą.

Na dobytek złego otworzyła mi się rogówka skaleczona-go przed dwoma laty prawego oka. Musiałam codziennie pod gradem kul, bywać u lekarza, ale zabierałam z sobą dzieci.

Opuściła nas służąca. Na zaproszenie dyrektora Wodociągów, inż. Bogdana Benedyktowicza przeniosłam się dnia 9 września z dziećmi i siostrą do schronu wodociągów.*

Będąc jeszcze w domu patrzyliśmy na nędzę naszych żołnierzy ślązaków i górali, którzy mieszkali w korytarzach i bramach domu, karmiliśmy ich jak mogli.

Wojna w całej pełni, po kilkanaście ciężkich nalotów dziennie, śmiercionośne ptaki na tle błękitnego nieba. Grzechot dział z Cytadeli i wybuchy.

Broni się Westerplatte i Hel.

Nad miastem naszym dymy, to pali się skład spirytusu Baczewskiego na Żółkiewskim i dworzec Podzamcze. Dymy stoją w powietrzu jak zaczarowane, nie ma ani krzty wiatru.

Zjeżdża masa uchodźców, bo tu bezpieczniej na wschodzie, mamy przecież z Sowietami pakt nieagresji. Wszystkie pociągi są bombardowane.

Bomby zrzucone na miasto powodują pęknięcia rur wodociągowych, woda z nich zalewa ulice i domy. Ponieważ nie było możliwości przewożenia robotników na miejsca

robót, gotowano obiady w schronie i dowożono im. Zajmowałam się więc tą kuchnią i biurem.

Naloty nie ustają, a pogoda też nieustanna. Ulice zawalone gruzami i szkłem.

Niemcy już pod Jarosławiem. Mąż odwiedza nas, pocieszając jak mógł, choć sam w to co mówił nie wierzył.

Gdy nasze wojska rozpaczliwie broniły granic Lwowa w nierównej, śmiertelnej walce – nagle jak grom z jasnego nieba pada potworna wieść, że Sowiety przekroczyły granicę. A zatem nóż w plecy...

Zaczęliśmy na gwałt robić barykady przed wodociągami dla powstrzymania czołgów.

22 września wkroczyli do Lwowa, od rogatki Zielonej czołgi jadą i jadą...

Co się działo, co za rozpacz, nie do opisania. Nigdy nie zapomnę tego obrazu, gdy nasi żołnierze i oficerowie, przy tych barykadach składali broń, dosłownie płakali śpiewając: Jeszcze Polska nie zginęła... a my z nimi. Gdy stałam wraz z kolegami w bramie dziedzińca podbiegł do nas młody oficer z dużym, wspaniałym wilczurem i błagał, aby się opiekować tym psem, bo on musi uciekać. Przyjęła go koleżanka Irena Szulcowa.

Nie da się opisać co się działo... Przybiegł mąż, byliśmy razem w schronie. Nasza policja jechała samochodami w górę do rogatki Zielonej jedną stroną, a drugą walili bolszewicy. I tak przez trzy dni i noce sowieckie czołgi zalewają miasto. Ulice puste. Na rogatce delegacja Żydów witała bolszewików kwiatami. Miasto zamarło. Naloty ustały. Wodociągi nieczynne, ludność zaopatruje się w wodę ze studni ulicznych, a że ich niewiele, więc w ogonku dzień i noc.

Na podwórzu wodociągowe zjeżdżają ciężarowymi autami młokosi żydowscy, potem bolszewicy bardzo nędźnie ubrani, brudni. Kazano nam wszystkim wyjść ze schronu, ręce podnieść do góry, rewizja. Widzę do dziś Jurka i Irmę jak trzymają rączki w górze i płacząc tulą się do mnie. Ktoś strzelał w ogrodzie, okazało się potem, że to Ukraińcy. Dowiadujemy się, że został zastrzelony dyrektor elektrowni miejskiej i to w biurze, za co, nie wiemy.

Na drugi dzień wracamy do domu, okna wybite, zimno straszne. Wszystkie pamiątki, dokumenty, książki traktujące o komunizmie pochowałam na strychu naszym pod belkami. Niestety pozostały tam, nie miałam sposobności, by je wydostać. Ponieważ budynek nasz przylegał do budynku sądowego, rozlokowali się w nim bolszewicy.

Mąż rozpoczął pracę robotnika wodociągowego w stacji pomp przy ulicy Janowskiej, pracuje na zmianę. Przygotowuje mnie codziennie na najgorsze, błagając o odwagę.

Rozlepiono afisze na murach wzywające do oddania broni, a oficerów do rejestracji.

Zjawili się o oznaczonej godzinie na placu Bernardyńskim, przed gmachem D.O.K. Otoczyło ich wojsko bolszewickie ukryte w domach bocznych ulic, załadowano w auta i jako pierwszych wywieziono w głąb Rosji. Na pewno lasek katyński stał się ich grobem.

W porozumieniu z Niemcami władze sowieckie pozwalają uchodźcom wracać do domów, przez dwa dni tylko. Ulice zmieniły się w przeciągu krótkiego czasu zupełnie.

Sklepy przeważnie zamknięte, bolszewicy rozbierali je i zabierali z nich wszystko co było, zrywali nawet podłogi, lustra, klamki z drzwi, nie mówiąc o towarach. Rzeczy te ładowali na ciężarowe auta i wywozili do Rosji. A tymczasem rodziny sowieckie masowo zjeżdżały. Kobiety z niemowlętami na rękach pootulonymi w brudne kołderki i

szmaty. Starsze dzieci szkolne rozchukane, wrzaskliwe, dzieki, czepiające się wozów tramwajowych, wszyscy bardzo nędznie ubrani. Ludność sowiecka przedstawiała się w pożałowania godnym stanie. Patrzyliśmy na nich z lękiem.

Sowiecka milicja już czynna.

Po przyjeździe do Polski zapytywali o odwieszanie, których u nas nie było. Dziwili się naszej niskiej kulturze: „kaka to u was kultura?”. Skarżyli się, że misa klozetowa za mała, za niska, że woda prędko ucieka, nie można się umyć. Rosjanki nie mogły się napatrzeć i nadziwić naszym ubiorem, na ulicy dotykały naszej odzieży, jakby to były rzeczy nieprawdziwe. Zdziwione pytały, czy te rzeczy były u nas do nabycia. Rosyjskie gazety pisały, że wszędzie za granicami ich kraju jest bieda, nędza, ludzie nie mają ani co zjeść, ani się w co ubrać. Tylko w sowieckim kraju jest wszystko.

Zaczęły się aresztowania, czasem na ulicy, a najczęściej w nocy po domach.

U nas NKWD przeprowadziło pierwszą rewizję. Przeszukano wszystko. Znalazł żołnierz nóż harcerski Jurka i tryumfalnie wniósł go do kuchni, pokazując oficerowi. Ale ten się tylko uśmiechnął.

Właściciele wszystkich większych firm aresztowani. Radzą mi moi koledzy, aby mąż uciekał za granicę. Dają mi pieniądze. Prosiłam, błagałam, ale on stale powtarzał, że jak on ucieknie, to mnie aresztują, a co wtedy z dziećmi się stanie? I dalej pracował.

Wielka była opieka Boża nad nami. W czasie naszej nieobecności w domu, jakiś kolega męża zostawił skórzaną teczkę, którą siostra położyła za maszynę do szycia w kuchni. Po raz drugi tego samego dnia przeprowadzało NKWD drugą, jeszcze dokładniejszą rewizję, bo dosłownie wszystko wyrzucili z szaf, łóżek i szuflad. Podczas gdy rewizję przeprowadzali żołnierze, oficer pilnował nas w kuchni, oparty o tę właśnie maszynę. Niczego nie znaleźli, ale zabrali męża. Dzieci szalenie rozpaczaly.

Po ich wyjściu mówi siostra do mnie: popatrz co jest w tej teczce. Gdzie mi to było w głowie, ale ona otworzyła. Nogi wryły mi się w ziemię na widok trzech rewolwerów i naboji. Co za szczęście, że tego nie zobaczyli, co by się z nami stało? W nocy dwa wyrzuciłam przez okno na ogród gimnazjalny, a jeden do klozetu. W czasie rewizji u nas, kolega ten był u sąsiadów i rozpaczaly, że tak nas naraził. Nam nie pokazał się nigdy i nie wiemy kto to był.

Na trzeci dzień mąż powrócił.

Chodziliśmy do pracy, pozostawiając dzieci z dziewczynką, którą wyrzucono z klasztoru, nie mogła się dostać do domu na prowincji.

Tak było do 5 października 1939 r. W dniu tym przyszedł mąż rano z pracy, zjadł śniadanie i mówi do mnie, że spać nie będzie, a pójdzie do miasta, może kupi kołnierzyk futrzany do nowego płaszczka Irmusi, bo potem może nie będzie. Ja poszłam do biura. Nie zastałam go w domu, w strasznej rozterce przeżyłam noc. Ranek wypędził mnie do pracy.

I tak... był to ostatni dzień, kiedy widzieliśmy się... Rozpacz.

Szukałam po wszystkich więzieniach, wszędzie odpowiadają, że go tu nie ma.

Życie nasze obraca się koło największego nieszczęścia. Staramy się dowiadywać o losie naszych najdroższych, wyczekując pod zaśniętym niebem od godziny 3-ciej w nocy przed sądem, który urządował w Hotelu Krakowskim. Po kilkugodzinnym wyczekiwaniu, dostawszy się przed oblicze bolszewika, dowiadujemy się, że sprawa się toczy, odbywają

się przesłuchiwanie, a wyrok daleki. Taka była odpowiedź dla zrozpaczonej żony i dzieci.

Powstało wiele sklepów komisowych. Ludzie zaczynają sprzedawać bieliznę, ubrania, futra, kosztowności, meble, dywany itp. Sowietci rzucili się na wszystko. Rosjanki nie wiedziały jak się z kupioną rzeczą obchodzić, toteż jedwabne nocne koszule ubierały na zabawę. Wykupili wszystkie zegarki.

Wojskowi sowieccy chodzą zgarbieni. Na ulicy zachowują się poprawnie.

Kościółów nie zamknęli, tylko nałożyli olbrzymie podatki, ale ofiarność parafian wielka. Księża chodzą po cywilnemu, bo ich wyłapują. Klasztory rozpędzone. W Sacra-Coeur balet z Kijowa. U Karmelitanek Bosych – szpital. Benedyktynki Łacińskie i Urszulanki jeszcze się trzymają. Nie pozwolono uczyć religii i historii. Na czele stoi żydowsko-komunistyczna komisja. Dla młodzieży są przymusowe antyreligijne zebrania, a potem dyskusja.

Do 7-mej klasy przyszedł sowiecki lotnik i opowiadał, że latał wysoko pod niebiosy i że nigdy Boga nie widział, bo Boga nie ma, nie było nigdy i nie będzie, a wy polskie dzieci jesteście głupie i w błędzie. A na to 14-letni chłopak odpowiedział: Powiem ci, że ty jesteś w błędzie, spadnij... a zaraz zobaczysz Boga, który był, jest i będzie. Autentyczna odpowiedź.

Do kościołów uczęszczają sowieccy żołnierze, stojąc w ciemnych kątach. Było też kilka ślubów, członków baletu kijowskiego. Na ulicach, kamienicach, w teatrze porozwieszano tzw. „łozungi” z napisami „Haj żywe Stalin, Haj żywe Sowiecka Republika” itp. Wzdłuż Wałów Hetmańskich ustawiano słupy, a na nich wypisane urywki z sowieckiej konstytucji. Na placu Mariackim zbudowano pomnik. Figury gipsowe przedstawiały postacie odrzucające kajdany z rąk i nóg. Figury były pomalowane jaskrawą farbą, którą zmywał deszcz tworząc obrzydliwe plamy.

Szukałam mego biedaka wszędzie, codziennie popołudniami od więzienia do więzienia. Wreszcie jakiś uczciwy żołnierz w gmachu Polskiej Policji Państw., powiedział mi, że jest. Podałam czystą bieliznę. Gdy przyszedłam po kilku dniach już go tam nnie było. I znowu wędrówka...

Rozpisano plebiscyt – wybory. Wynik z góry przesądzony. Każdy musiał głosować, jeśli się do 2-giej w nocy nie zgłosił przynoszono mu w nocy urnę do domu. Istna komedia, nie plebiscyt. Po tej komedii ogłoszono, że zgodnie z wolą ludu oswobodzone tereny zostają przyłączone do Związku Socjalistycznych Republik Rad jako „Zachodnia Ukraina”. Co za perfidia. Co za rozpacz dla nas.

W tym samym dniu po południu znalazłam męża w wojskowym więzieniu przy ulicy Zmarstynowskiej. Przed dowiedzeniem się pytało mnie czy głosowałam, musiałam powiedzieć gdzie.

W przedsionku więziennym spotykałam wiele znajomych, także Jankę Dziedzic, podawałyśmy bieliznę w tym samym dniu. Można było podawać tylko dwa razy w miesiącu w dniu oznaczonym na literę nazwiska. Przy odbieraniu rzeczy żołnierze NKWD odcinali sprzączki, tasiemki, sznurówki, ręczniki przecinali na pół, aby nie były za długie. Tytoń wysypywali do koszul i chusteczek. Nie do uwierzenia, jak strasznie zawszawioną odbierałam bieliznę, nie było co prać. Otrzymywałam na kartce podpis. Jednego razu pod podpisem przeczytałam: „pieniądze w atlasie”. Były to 3-miesięczne pobory jego, które wypłacił pracownikom państwowym Rząd Polski, niemal w ostatnim dniu przed inwazją.

* Zakład / Biura Wodociągów Miejskich przy ulicy Zielonej □

Wojewoda Wrocławski

Szanowny Pan
Zbigniew Grata
Prezes Oddziału
Towarzystwa Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo - Wschodnich
w Brzegu

Szanowny Panie Prezesie,

Proszę o przyjęcie moich serdecznych podziękowań za zaproszenie do udziału w obchodach dziesięciolecia Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo - Wschodnich.

Jako że obowiązki służbowe nie pozwoliły mi osobiście wziąć udziału w spotkaniu, pragnę tą drogą przekazać Państwu moje najlepsze gratulacje.

Państwo, którzy w swojej pamięci nosicie wspomnienie i miłość do Ziemi, z której się wywodzicie, jesteście wielkim wzorem patriotyzmu dla współczesnego pokolenia. Stanowicie jedną rodzinę, która poprzez swoją działalność promuje i ciągle ożywia bliską nam przecież tradycję i kulturę Lwowa.

Życzę Państwu wiele zdrowia i sił do dalszej aktywności. Nie mam wątpliwości, że to dzięki Waszemu zapałowi kultura lwowska i kresowa na stałe wpisała się w historię Dolnego Śląska.

Z wyrazami szacunku

Wojewoda Wrocławski

Witold Krochmal

Wrocław, wrzesień 1998

UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLiKPW

Remigiusz Węgrzynowicz

Kresy Południowo-Wschodnie kresom Północno-Zachodnim

10 lat TMLiKPW w Szczecinie

W ubiegłym roku obchodziliśmy osiemdziesiąt rocznicę uzyskania niepodległości. Niełatwo było zamknąć granice II RP. Wymagało to najwyższej ofiary i krwi ojców naszych. Dla nas, kresowiaków, walka o granice wschodnie była szczególnym wydarzeniem.

Obrona Lwowa – trzy tygodnie walki w odosobnieniu, w której również brały udział dzieci i kobiety (244 dzieci do lat 14, 1139 do lat 17). Cmentarz Obrońców Lwowa to sanktuarium Polski – to również szczątki w Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie. To niestety temat tabu przez 44 lata.

W wyniku przemian społecznych i politycznych przed 10 laty powstał TML. W pierwszym posiedzeniu w Szczecinie uczestniczyło 780 osób. Nie był to tylko głos sentymentu, ale również wyraz szacunku do tego, co stanowiło treść naszego dzieciństwa, co kształtowało nasze umysły i charaktery. Był to również objaw potrzeby manifestacji prawdy zakazanej przez lata. Wynikał on ze świadomości, że tylko koegzystencja narodów wolnych jest gwarantem pokoju. Jest to szczególnie istotne w tym regionie Europy, gdzie zmiany granic po II wojnie światowej są znaczne, a historia naszego pokolenia niewłaściwie interpretowana przez lata może utrudniać proces integracyjny.

O przeszłości mówiliśmy przez wiele lat, historię dostosowując do ideologii. Z tej przyczyny historia wywołuje u wielu, szczególnie u młodych, znaczną powściągliwość i zrozumiałą nieufność. Obowiązkiem pokolenia najstarszego jest zachowanie historii opartej na faktach, jakie pozostały w naszej pamięci, bez komentarza i retuszu historyka.

Przemiany społeczne i polityczne w Europie Środkowej i Wschodniej w latach '90 spowodowały, iż dzisiaj możemy bez ograniczeń snuć retrospekcje nie tylko ostatniego półwiecza i naszej obecności tutaj, na Kresach Zachodnich, ale sięgać głębiej w przeszłość narodu, również do Kresów Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej, gdzie tkwią korzenie współkonstruktorów życia gospodarczego, społecznego i politycznego III Rzeczypospolitej, również Ziemi Szczecińskiej.

„... Gdy myślimy – Polska, staje nam przed oczami ten świat materialny i duchowy zarazem, w którym od wieków żyli Polacy, kształtując go sobie w sposób właściwy...”. Z tego lapidarnego sformułowania Suchodolskiego wynika, że świadomość narodowa jest najistotniejszym elementem istnienia ojczyzny. Bez świadomości nie ma narodu. Dzięki świadomości naród nasz nie zginął w niewoli. Aby świadomość była pełna, konieczna jest retrospekcja. Zacieranie bowiem historii (czego świadkami byliśmy przez wiele lat) jest objawem patologicznym i źle służy integracji narodów.

Dorobek kultury narodów należy pielęgnować, ponieważ jest własnością całej ludzkości. Należy przekazywać go pokoleniom nie zafalszowany. Falszerstwo historii występuje wówczas, gdy konstrukcja społeczna nie opiera się na trwałych podstawach, gdy psychosfera społeczna ulega zakłóceniu. Z nadzieją, że obecne przemiany demokratyczne zmierzają do zachowania równowagi w Europie, TMLiKPW dąży do ocalenia naszej przeszłości od zapomnienia, zachowania bogatego dorobku kultury narodowej, rozwija działalność charytatywną dla ludności polskiej zamieszkującej Kresy Wschodnie II RP.

Przed 50 laty, kiedy Ziemia Zachodnie zasiedlało nasze pokolenie (obecnych seniorów) organizacja życia społecznego, gospodarczego i politycznego była możliwa dzięki temu, że przybysze wysiedleni ze Lwowa, Wilna, wielu miast, miasteczek i wsi polskich, przywieźli ze sobą oprócz skromnych zasobów materialnych, potężny kapitał społeczny, kwalifikacje, wykształcenie i zapał do pracy. Na Kresach Wschodnich otrzymaliśmy edukację, wartości, które mogliśmy wykorzystać tutaj – na Kresach Zachodnich. Do Kresów Wschodnich sięgają nasze korzenie gdzie tysiące naszych rodaków wspólnie z innymi narodami (Rusinami, Żydami, Ormianami, Niemcami, Tatarami i innymi) tworzyli kulturę o charakterze mieszanym, zachowując własne, wysokie wartości narodowe.

Od zarania dziejów na Ziemi Czerwieńskie zasiedlane przez Słowian zachodnich – Polan (zwanych Lendzionami, później Polakami) migrowali mieszkańcy Rusi – Słowianie wschodni (dzisiaj Rosjanie, Białorusini, Ukraińcy) nękani przez ludy Azji – Mongołów, Tatarów i innych. Również migracja Wołoska w poszukiwaniu terenów do wypasu zwierząt zasiedlała Karpaty tworząc kulturę huculską.

Dwa rozwijające się kręgi kultury chrześcijańskiej, rzymskiej i bizantyjsko-prawosławnej spotkały się na Podolu. Za światem bizantyjsko-prawosławnym panował orient, świat islamu. Stosunki polityczno-ekonomiczne między tymi trzema „światami” określały losy ludzi, wsi i miast tej krainy. Rola historyczna tej ludności kresowej była źródłem ich nieustannych cierpień.

Wiele czynników kształtowało przez stulecia antropologiczny i psychiczny typ kresowianina, dynamicznego, pełnego fantazji lwowianina. Profesor Czekanowski pisał o ludności kresowej: „rozmaite odmiany roślin i zwierząt, a więc i rozmaity człowiek szedł ze wschodu i zachodu, osiadłszy na podglebiu lwowskim, stał się jednym ze składników rasy lwowskiej: gamma – typ sarmacki – ambicja, rozmach, sportretawczość, alfa – typ północnoeuropejski – wytrwałość, zawzięty. Zastrzyki ormiańskie i grecko-turecko-tatarskie w



Szczecin, 14.XII.1998 r. X-cio lecie TMLiKPW w Szczecinie. Na podium zespół uczniów S.P. Nr 13 im „Orląt Lwowskich” Szczecin-Wielgowo. Przy mikrofonie Tońcio i Szczepcio z Wielgowa.



Szczecin, 4.XI.1998 r. Ks. prałat Kustynowicz w rozmowie z prezesem Szczecińskiego Oddziału TMLiKPW p. prof. Remigiuszem Węgrzynowiczem w czasie otwarcia wystawy.



Szczecin, 14.XII.1998 r. X-cio lecie TMLiKPW w Szczecinie. Przemawia ks. Arcybiskup Diecezji Szczecińsko-Kamieńskiej Marian Przykucki.



Szczecin, 4.XI.1998 r. Ostatni żyjący w Szczecinie obrońca Lwowa z 1918 r. p. Wiktor Drecher (96 lat) na wystawie „Leopolis S.F.”

P.S. Czytaj – Drecher – nie mylić z b. kom. chorągwi Lwowskiej ZHP – Drechslerem.



Szczecin, 4.XI.1998 r. Wystawa – przemawia b. prezydent Szczecina p. Bartłomiej Sochański. W tle ks. prał. Kustynowicz oraz v-ce prezes Oddziału TMLiKPW p. Władysław Pelczerski.



Szczecin, 4.XI.1998 r. Na otwarciu wystawy kol. St. Najda łamie się chlebem „kulikowskim” z Piekarni i Cukierni „Lwowskiej” p. L. Płonki.



Szczecin, 14.XII.1998 r. Poczet sztandarowy i sztandar S.P. Nr 13 im. „Orląt Lwowskich” na uroczystej Akademii X-cio lecia TMLiKPW w Szczecinie.

ciągu ośmiu wieków stworzyły skomplikowany aliaż. Przypadek z Niemiec nie tylko nie zgermanizowali nikogo, ale sami ulegli polonizacji.

Dzisiaj powinność wobec przyszłych pokoleń nakazuje zachować w pamięci narodowej wkład naszych przodków w rozwój narodu, bez względu na to, czy mieści się on w granicach obecnej Rzeczypospolitej. Ojcowie nasi tworzyli podwaliny gmachu, który nazywa się Polska. Budowali naszą pozycję w świecie. O ile wzbogaciliśmy dorobek Ojców, a ile zmarnowaliśmy jako ich kontynuatorzy, również na tych ziemiach, oceniać przysze pokolenia.

Należymy do generacji, która współdziałała w organizowaniu życia tutaj, na tej ziemi. Wielka migracja naszego narodu ze wschodu na zachód po zakończeniu II wojny światowej, jak dobrze pamiętamy, była wynikiem decyzji 4 mocarstw zwycięskiej koalicji, do której należeliśmy również, od pierwszego do ostatniego dnia wojny. Na wielu frontach, na lądzie, morzu i powietrzu walczyliśmy o wolność wszystkich narodów. Po zakończeniu wojny pozostaliśmy zwycięzcami zwyciężonymi. Rozmiar migracji był niespotykany w dziejach naszego państwa. Zasięgiem swoim obejmował ponad 1/3 naszego terytorium, na którym mieszkało 8-9 milionów ludności.

Do zasiedlania otrzymaliśmy znacznie mniejszy obszar na zachód od granic z 1939 roku, na ziemiach należących do zakończenia II wojny światowej do państwa niemieckiego. Przed wojną obszar naszego kraju wynosił 388,6 tys. km kw, po wojnie natomiast 312,7 tys. km kw.

W okresie PRL stabilność naszych granic obejmowała terytorium podporządkowane jednemu mocarstwu i jednej ideologii. Zamknięto w tych granicach również historię i kulturę naszego narodu. Bogaty kapitał narodowy, nie tylko materialny, ale przede wszystkim intelektualny, znajdujący się poza granicami wyznaczonymi w Poczdamie, uważano za tabu, którego wspomnianie było zakazane.

Migrację kresową ze wschodu na zachód uzupełniała migracja z centralnych obszarów kraju, jak również więźniowie z obozów z ZSRR i Niemiec, jeńcy wojenni oraz żołnierze Armii Polskiej walczącej na wschodzie i na zachodzie. Ogółem, do roku 1949, na Kresach Zachodnich osiedliło się ok. 4,5 miliona ludności. Ten konglomerat ludności polskiej o różnych zwyczajach i tradycjach kulturowych, posługujący się językiem polskim w różnych dialektach, odcieniach mowy, intonacji i słownictwa, rozpoczął wspólne życie pionierskie w zupełnie innych warunkach niż te, do których przywykł przez lata. Powstała konieczność koegzystencji rodaków o różnych zwyczajach i obyczajach na ziemi, która przez wieki była w nieco inny sposób zagospodarowywana niż nasze kresy wschodnie.

Bardzo znaczne zniszczenia wojenne, a później dewastacja dokonana przez „armię sojuszniczą” przy dzielnym współudziale rodzimych szabrowników tworzyły pełny obraz tego, co otrzymaliśmy do zasiedlenia, do zbudowania warunków bytowych.

Organizacja życia społecznego wymagała nie tylko zapału i dobrych chęci, ale przede wszystkim umiejętności; dzięki tym predyspozycjom pionierów olbrzymie potrzeby społeczne mogły być przynajmniej w części zaspokajane. W wielu dziedzinach życia mogliśmy być partnerami narodów cywilizowanych. Czym dysponowaliśmy na Kresach Wschodnich, że potencjał ludzki adaptowany do nowych warunków pobudził tempo życia społecznego w bardzo krótkim czasie?

Lwów – miasto, z którego pochodzę, gdzie skończyłem szkołę i studia, w którym pozostawiłem, jak wielu, dom rodzinny i groby najbliższych. Miasto polskie od XIII wieku. Przed II wojną światową liczyło 360.000 mieszkańców, 44 szkoły średnie, w tym żydowskie, niemieckie, ukraińskie, 5 uczelni wyższych o światowej renomie. Uniwersytet Jana Kazimierza z kilkoma pokoleniami sławnych uczonych, wśród których byli m. in. Benedykt Dybowski – powstaniec, sybirak, zoolog, Jan Kasprzowicz – poeta, Władysław Abraham – profesor prawa kanonicznego, Wilhelm Bruchnalski – profesor literatury polskiej, Andrzej Gawroński – językoznawca (znał około 60 języków), astronom Marcin Ernst, historyk Stanisław Lempicki, botanik Stanisław Kulczyński, geograf Eugeniusz Romer, chemik Stanisław Tołłoczko, kompozytor Ludomir Różycki. Politechnika Lwowska – jedna z najlepszych w świecie szkół matematycznych, z profesorem Bartlem – premierem, Hugo Steinhausem, Sierpińskim, Banachem, Plamicerem i innymi. Medycyna: Popielski – farmakolog, sławni chirurdzy – Rydygier, Schram, Ostrowski, ortopeda – Gruca, urolog – Laskownicki, interniści – Dobrzaniecki, Rencki oraz położnik Bocheński i inni. Funk – odkrywca witamin. Trudno najlucidarniej ująć sylwetki uczonych z kresów, którzy naukę polską rozstawiali po świecie. Należeli do nich również profesorowie Akademii Medycyny Weterynaryjnej, która zajmowała jedną z najwyższych lokat na świecie i w której miałem zaszczyt studiować. Profesor Moraczewski – dr medycyny, weterynarii i filozofii władający 17 językami, profesor Trawiński prowadzący równocześnie z lwowskim zakład naukowy w Monako, profesor Olbrycht, profesor Szczudłowski, Markowski, Poluszyński, Zakrzewski i wielu innych.

Wychowankowie szkół lwowskich, stanisławowskich, tarnopolskich, samborskich, stryjskich i wielu innych mieli znaczny udział w organizacji życia społecznego na zachodzie. Województwem szczecińskim przez wiele lat władał wojewoda Lempicki, brat jego był profesorem PAM-u, a drugi wieloletnim dyrektorem Centralnego Zarządu Aptek. Wywodzą się oni z rodziny zasłużonej nauce polskiej i tworzeniu państwowości w okresie I wojny światowej. Byli wnukami historyka Stanisława Lempickiego, wybitnego działacza w Komitecie Narodowym, z którym miała zaszczyt współpracować moja matka. Wysokie stanowiska nauczelników wydziałów UW piastowali m. in. Wacław Wódkiewicz i dr Stanisław Swiba. Teatr Polski w Szczecinie tworzyli m. in. lwowiacy: dyrektor Czosnowski, a także znani aktorzy Młodnicki, Młodnicka, Czosnowska i inni. Śpiewacy operetki i muzycy Broszniowska, Maślowski, dr Habela, Wesołowski, Czopko, Martyniuk, Pfefer, Foksa, Kotwiński i wielu innych. Wychowankowie lwowskich uczelni współtworzyli kadre naukowe uczelni szczecińskich. Godność rektorów pełnili Krechowicki, Kubasiewicz, Zalewski, Węgrzynowicz. Liczna kadra profesorów: Czykowski, Mazaraki, Eisner, Niezabitowski, Słowik, Nagay, Fryze, Żuk i inni. Do pionierów ochrony zdrowia w Szczecinie należy niewątpliwie dr Habela, Mucha, Rzepka, Licht, Dąbrowski, Tadlewski, Danyluk, Litwin, Świątkiewicz i inni.

Grono kresowiaków lekarzy wet., którzy organizowali służbę weterynaryjną to doktorzy: Sokołowski, Bałko, Malinowski, Bobako, Czarnocki, Mazur, Skórski, Niedbał, Borsukiewicz, Jaworski, Kmiecik, Krokosz, Sell, Gosławski, Węgrzynowicz i inni.

W roku 1945 kapłani rzymskokatoliccy przejęli 243 świątynie. Ponad 1300 świątyń nie zostało przyjętych do kultu. W roku 1945 było tylko 60 kapłanów diecezjalnych i 68 zakonnych. Ci nieliczni, którzy kładli fundament pod wielkie dzieło kościoła na ziemiach zachodnich to również kresowiacy: ksiądz Jan Kalub, ks. Stanisław Rut, ks. Michał Kaspruk, ks. Franciszek Morawski i wielu innych. Wśród znakomitych kresowiaków jest sprawujący do dzisiaj godność proboszcza katedry ks. Stanisław Skorodecki.

Spośród kresowiaków pamiętamy postać pana Czyżewskiego, działacza sportowego, popularnie nazywanego „Muchą”, dawnego gracza lwowskich „Czarnych” i współorganizatora szczecińskiej „Pogoni”. Nierozłączna z miastem postać znana powszechnie to inż. Biłobran, wybitny specjalista z dziedziny chłodnictwa, wielki przyjaciel świata zwierzęcego i całej przyrody, współorganizator TOZ w roku 1949.

Trudno po 50 latach życia miasta oddzielić to, co było zasługą kresowiaków. Możemy stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że mają oni znaczny udział w organizowaniu życia społecznego tej ziemi. Pamięć o tych, którzy nas wychowali i wykształcili, abyśmy mogli służyć narodowi, jest naszą powinnością.

Dwie narodowości oprócz polskiej dominowały na kresach wschodnich – Rusini i Żydzi. Rusini po rozpadzie imperium pozostali naszymi sąsiadami na wschodzie. Żydzi żyją we własnym kraju. Obydwa narody przeżywają okres niepodległości w specyficznych warunkach – na tle układów geopolitycznych, racji historycznych i realiów sytuacji międzynarodowej kształtuje się postawa tych narodów wobec

innych. Utrzymujemy poprawne stosunki z obydwoima państwami, chociaż nie zawsze jest to łatwe, szczególnie w kontekście przywoływanych bolesnych wspomnień z minionej przeszłości. Różnie jest dzisiaj interpretowana pomoc Polaków Żydom w czasie II wojny światowej. Również różnie interpretowana jest przeszłość stosunków polsko-ukraińskich. Nie chodzi o odbliźnianie starych blizn, ani o drażnienie ambicji narodowych. Zwycięstwo i klęska to dwa nierozzerwalne zjawiska w zmaganiach ludzkości od zarania dziejów. Nie ma wiecznych zwycięzców i wiecznych zwyciężonych. Koła historii toczą się, a miarą dojrzałości narodów jest dążność do kompromisów. W okresie lawinowo rozwijającej się technizacji spory spowodować mogą kataklizm całej ludzkości. Niestety niektóre narody nie potrafią zapomnieć klęski. Chęć odwetu utrzymuje się od wielu lat. Bolesnym przykładem jest Katyń w odwecie za zwycięstwo nad Wisłą, niszczenie Cmentarza Orląt itp. Czyn Orląt Lwowskich jest dla nas przejawem bohaterstwa i poświęcenia dla ojczyzny. Przejdzie on do ideowej historii Polski w aureoli, jak niegdyś obrona Jasnej Góry. Dzisiaj do Szwedów z tego okresu nie czujemy żadnej dziejowej abominacji. Czyn Orląt to ważny moment wychowawczy dla całych pokoleń. Naszym obowiązkiem jest utrzymanie Cmentarza Orląt – to sanktuarium, to polska Skałka.

Zdajemy sobie sprawę, że przyszłość należy budować na fundamentach historii eksponując wszystko, co nas łączy. Zmierzamy do Europy bez granic, zachowując jednocześnie tożsamość narodową. Kresowiacy wyrosli na glebie współistnienia wielu narodów, są elementem stymulującym proces przekształceń społecznych. □

Tadeusz Kukiz

Z dziejów Ziemi Radziechowskiej

Zbierając materiały do dziejów Ziemi Radziechowskiej wiele uwagi poświęcam pochodzącym stamtąd ludziom, zwłaszcza tym, którzy przekroczyli próg przeciętności. Dawni mieszkańcy powiatu radziechowskiego na ogół wiedzą, że w Łopatynie spoczywa generał Józef Dwernicki i że w Pawłowie tworzył i jest pochowany autor „Chorału” Kornel Ujejski; już zapewne mniej osób będzie wiedziało, że w Dmytrowie urodził się wybitny poeta i prozaik, Józef Wittlin. A to tylko paru spośród wielu stamtąd, którzy zaznaczyli się na różnych polach działalności.

Okolice Radziechowa i ludzie stamtąd

Nie jest pewne, od kiedy Suszno (10 km na północny zachód od Radziechowa) należało do Komorowskich. Według miejscowych przekazów, miało to być już w XVI w., heraldycy jednak wymieniają je jako wieś dziedziczną tej rodziny dopiero przy nazwisku Jana Komorowskiego (zm. w 1700 r.), właściciela również pobliskich Niestanic; on też, jak się zdaje, wybudował w Susznie obronny zameczek. Jego wnuk Jakub (1724-1781), starosta nowosielski, drogą ożenku i dziedziczenia dobra te powiększył. W latach 70. osiemnastego wieku głośna była w Polsce, a nawet w Europie, sprawa zabójstwa najstarszej córki Jakuba Komorowskiego, Gertrudy (ur. ok. 1754 r.)

Około 25 km na zachód od Suszna, w widłach Bugu i Solokiji, leży Krystynopol (obecnie Czerwonohrad), niegdyś siedziba jednej z gałęzi Potockich z tzw. linii hetmańskiej. W 1692 r. hetman Feliks Potocki nadał osadzie pra-



wa miejskie, a nazwę od imienia swej żony Krystyny. Jego wnuk Franciszek Salezy Potocki (1700-1772), wojewoda kijowski, dzięki spadkom i małżeństwom wszedł w posiadanie olbrzymiej fortuny (70 miast i kilkaset wsi!).

Nie wiadomo, w jakich okolicznościach jedyny syn wojewody, głośny później targowiczanie, Stanisław Szczęśny Potocki (1752-1805), poznał Gertrudę; czy przy okazji wizyty Komorowskich w Krystynopolu, czy też – „zapędzony podczas polowania burzą do dworu suszniańskiego i mile, jako przybysz, przywitany”. Pewne jest, że się zakochał i odtąd starał się jak najczęściej u niej bywać; on

również nieobojętnym był Gertrudzie. Komorowski uśmiechała się nadzieja wydania córki za jednego z najbogatszych młodzieńców w Polsce, nie czynili więc przeszkód w tych spotkaniach. Ojciec Szczęsnego wiedział, zdaje się, o wyjazdach syna do dworu suszneńskiego, ale nie przywiązywał do tego większej wagi, sądził, że syn wkrótce „ostygnie w afektach”. Taki stan rzeczy trwał od maja 1770 r., Gertruda podobno zaszła w ciążę i wojewódzic, jak stwierdzał później Komorowski, sam nalegał na ślub, bez porozumienia jednak z rodzicami, gdyż obawiał się z ich strony sprzeciwu; udzielił go 26 grudnia – w obecności zaledwie kilku osób – ksiądz unicki w cerkiewce w Niestanicach.

Kiedy wieść o ślubie dotarła do Potockich, podjęli działania dla unieważnienia małżeństwa: Szczęsnego zmuszono do wystąpienia o rozwód i wysłano za granicę, a Gertrudę – za radą Amelii Mniszchowej z Dukli, planującej wydać za niego swoją córkę – postanowiono porwać, umieścić w klasztorze i w tym czasie doprowadzić do rozwodu. Komorowski, powiadomiony o tym, zdecydował ukryć Gertrudę we Lwowie; po drodze zatrzymali się w Nowym Siole i tam 13 lutego 1771 r. napadli ich ludzie Potockiego, porywając ją. Nieubraną wlekli po śniegu i rzucili na sanie pod poduszki i pierzyny, żeby nie było słychać wołania o ratunek, a gdy po drodze napotkali karawanę pojazdów, przydusili jeszcze mocniej; kiedy minęli karawanę i odsłoniли Gertrudę – już nie żyła. Zaskoczeni, nie wiedzieli, co począć z ciałem; postanowili zatopić je i wrzucili do przerebli – nie jest pewne gdzie: w Bugu czy w którymś z jego dopływów. Na wiosnę 1771 r. zwłoki podobno zostały wyłowione z Bugu. Istnieją różne wersje co do tego, kto i w którym miejscu miał je wyłowić; nie wiadomo też, czy zostały zidentyfikowane.

W tym czasie, kiedy Potoccy prowadzili proces rozwodowy, Komorowski czynił poszukiwania córki, a gdy nie dały one wyniku, oddał sprawę do sądu sejmowego, wyrokiem którego (z 21 października 1774 r.) kilku uczestników napadu zostało skazanych na karę śmierci (nigdy nie wykonanej, gdyż wszyscy zbiegli), a Szczęsny Potocki – rodzice jego już nie żyli – miał zapłacić Komorowskiemu cztery tysiące grzywien. „A że w kasie krystynopolskiej nie stało gotówki”, w styczniu 1777 r. między stronami została zawarta umowa, w której Szczęsny oddał Komorowskiemu swe dobra: miasteczko Witków Nowy z włościami Witków Stary, Płowe i Obrotów, przylegające do majątku suszneńskiego.

Potomni ocenili jednoznacznie głównych bohaterów tej ponurej historii jako ludzi małych i przewrotnych, może tylko z pewną wyrozumiałością dla młodziutkiej Gertrudy (miała wówczas około 16-tu lat), chociaż i jej nie oszczędzono za zgodę na potajemny ślub. Ale czyż w tamtych czasach dziewczyna miała cokolwiek do powiedzenia?

W roku 1906 do znanego ówczesnie lwowskiego publicysty i historyka Józefa Białyni Chołodeckiego dotarła wiadomość, że w podziemiach poaugustiańskiego kościoła w Witkowie Nowym obok zwłok zakonników znajdują się szczątki osób świeckich, m. in. Gertrudy z Komorowskich Potockiej. 14 lipca tego samego roku udał się on tam wraz z wybitnym lwowskim muzealnikiem dr. Aleksandrem Czołowskim. Zdając sprawę z pobytu w Witkowie, Chołodecki napisał m. in.: „Najbardziej bezsprzecznie interesującym jest kościotrup trzeci, (...) W trumnie pustej obok stojącej, widnieją litery: ...TRU... KOMOROWSK...



Fot. T. Kukiz

Kaplica grobowa Komorowskich w Witkowie Nowym (stan w 1988 r.)

(Gertruda Komorowska) i w niej to miały pierwotnie spoczywać zwłoki Gertrudy dotąd tak dobrze zakonserwowane”.

Informacja ta budzi wątpliwości. Edmund Rabowicz, autor hasła „Gertruda z Komorowskich Potocka” w „Polskim słowniku biograficznym” pisze: „Za podstawę identyfikacji zwłok Potockiej służył (...) fragment napisu: -TRU- (GerTRUda), który raczej należało odczytać jako -TKO-, co by prowadziło do Heleny z Rostowskich, macochy Jakuba, i w tym dopiero wypadku sensowne stałoby się idące dalej nazwisko: KOMOROWSKA” (gdyż Gertruda po zamążpójściu powinna nosić nazwisko Potocka – T. K.).

Ale pewnie nikt wówczas nie podważał opinii znanych we Lwowie historyków. Kiedy w roku 1909 Stefan hr. Badeni został właścicielem dóbr witkowskich, polecił „wzniesć opodal kościoła kapliczkę z napisem: „Pamięci Gertrudy z Komorowskich Potockiej”. Przed ołtarzem spoczyły trzy metalowe trumny, każda ze szklanym wiekiem, w nich zwłoki Gertudy i jej rodziców”.

Sprawa Gertrudy była przedmiotem studium historycznego Józefa Ignacego Kraszewskiego – „Starościna bełska” (urząd starosty bełskiego sędował na Szczęsnego ojciec); pracę na ten temat opublikował wspomniany J. Białynia Chołodecki, a wiele miejsca poświęcił Jan Czernecki w książce „Mały król na Rusi i jego stolica Krystynopol”. Historia Gertrudy stała się też bardzo popularnym wątkiem fabularnym podejmowanym w twórczości literackiej, operowej i malarskiej; najbardziej znanym jest poemat Antoniego Malczewskiego „Maria” (będący też podstawą libretta dla co najmniej ośmiu oper) i „Wacław” Juliusza Słowackiego. Maria Pomezańska napisała powieść pt. „Gertruda Komorowska”; powstało też kilka

imaginowanych portretów Gertrudy malowanych przez różnych artystów.

W wieku XIX Suszno kilkakrotnie zmieniano właścicieli; kiedy około 1903 r. nabył je Władysław Krański, dokonał przebudowy zameczka na dwór. W 1911 r. dobra suszneńskie kupiła Olga z Żelechowskich Rostworowska i przekazała swemu synowi, Janowi. W Susznie urodził się jej wnuk, Mikołaj Rostworowski (1925-1984), poeta i publicysta związany ze środowiskiem „Paxu”.

W przylegającym do Witkowa Nowego, Witkowie Starym, urodził się Rudolf Wacek (1883-1956), organizator życia sportowego, wydawca i dziennikarz sportowy we Lwowie, autor kilku książek m. in. wspomnień myśliwskich „W polskich kniejach” i „Wspomnień sportowych”.

Nieopodal Suszna i Witkowa, we wsi Pawłów, wiele lat spędził wybitny poeta Kornel Ujejski (1823-1897), autor niegdyś szeroko znanego i śpiewanego często jako hymn narodowy „Chorału”, zaczynającego się od słów „Z dymem pożarów...”. Zamieszkał tam po ślubie (w 1849 r.) z Henryką Komorowską, wnuczką brata Gertrudy. Tym razem niechętni małżeństwu byli Komorowscy, ostatecznie jednak ojciec Henryki wyraził zgodę, ale nie dał posagu, tylko przekazał młodym ziemię w dzierżawę. Brak doświadczenia w gospodarowaniu i nieporozumienia z teściem doprowadziły w 1853 r. do wyjazdu poety z Pawłowa; mieszkał tam jeszcze w latach 1883-1890 i od 1893 do śmierci, ale już u swego młodszego syna Romana, który odziedziczył dobra pawłowskie.

Podczas pierwszego pobytu w Pawłowie Ujejski wystawił na rozstaju wiejskich dróg nieduży pomnik (w kształcie piramidy) upamiętniający zniesienie pańszczyzny; podczas drugiego – jego staraniem w Pawłowie założono park, a miejscowy cmentarz otoczono murem, festo-



Brama cmentarna w Pawłowie (przed 1939 r.)

nowym ogrodzeniem z okazałą bramą, na której poeta chciał umieścić ewangeliczny napis „Spoczną i wstaną”. Kiedy Kornel Ujejski zmarł i wieść o tym dotarła do Krakowa, nadeszła stamtąd propozycja pochowania go na Skałce, jednak wyrażanym nieraz jego życzeniem było spocząć na miejscowym wiejskim cmentarzu, w pobliżu chłopskich mogił.

Po latach synowie położyli na jego grobie sarkofag z monolitu piaskowca, z odpowiednią inskrypcją; obok znajduje się nagrobek żony. W 1997 roku, w stulecie zgonu poety, staraniem Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oba nagrobki odrestaurowano (zespół doc.

Janusza Smazy z ASP w Warszawie) i we wrześniu na pawłowskim cmentarzu odbyła się rocznicowa uroczystość z udziałem przedstawicieli Rady, Zarządu Głównego i Stołecznego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oraz okolicznej ludności.

Kilkanaście kilometrów na północny wschód od Radziechowa znajdują się wsie Sieńków i Wolica Baryłowa. Obie należały niegdyś do jednej z galicyjskich linii Dąbskich, wywodzących się z Lubrańca na Kujawach; Sieńków posiadali co najmniej od 1780 r., Wolice nabyli nieco później. W obu miejscowościach mieli siedzibę: w Sieńkowie dwór, w Wolicy okazały, dwukondygnacyjny pałac. Z pałacem tym związane są dzieje trochę dziś zapomnianej galerii obrazów, tworzonej na początku XIX w. przez Łukasza Dąbskiego z myślą o społeczeństwie. Składała się z blisko trzystu dzieł: starych kopii największych malarzy XVI i XVII w. oraz oryginalnych prac tzw. małych mistrzów XVII, XVIII i początku XIX w.

Zbiór ten początkowo znajdował się w mieszkaniu Łukasza Dąbskiego we Lwowie (ale udostępniony był publicznie), a po jego śmierci został w 1829 r. oddany w depozyt Zakładowi Narodowemu im. Ossolinskich. Wobec sporu, kto ma pokrywać koszty przechowywania obrazów, Tekla Dąbska zabrała je do Wolicy Baryłowej, gdzie w tamtejszym pałacu pozostawały przez 22 lata (1832-1854). Później opiekę nad galerią przejęły inne galicyjskie linie Dąbskich, wciąż jednak nie znaleziono dla niej stałego miejsca przechowywania: do końca XIX w. była w krakowskich Sukiennicach, następnie w rzeszowskim ratuszu. W 1929 r. zbiór przekazano Ossolineum na własność. Nie miało ono jednak warunków na rozmieszczenie całego zbioru i przybyły do Rzeszowa dr Mieczysław Gębarowicz zdecydował o zabranii do Lwowa około stu najbardziej wartościowych obrazów, resztę pozostawił w depozycie na miejscu; po wojnie przejęło ją rzeszowskie Muzeum Okręgowe. Natomiast lwowska część kolekcji Dąbskich uległa rozproszeniu w różnych muzeach Ukrainy (kilka płócien widziałem w Lwowskiej Galerii Obrazów). Wrocławskie Ossolineum podejmowało i kontynuuje starania o zwrot swoich zbiorów pozostałych we Lwowie, w tym części Galerii Dąbskich, ale jak na razie, bez skutku.

Pamiętką po czasach, kiedy kolekcję przechowywano w Wolicy Baryłowej, był obraz madonny, który Tekla Dąbska wyłączyła ze zbioru i zawiesiła w kaplicy wystawionej w 1854 r. w Sieńkowie. Pisał o nim w swych wspomnieniach spowinowacony z Dąbskimi, a po wojnie mieszkający w Opolu i tu pochowany, Stanisław Wasylewski (niestety, obraz ten, zabrany z Sieńkowa przez ks. Kutrowskiego, zaginął).

Może warto jeszcze wspomnieć o położonym ok. 20 km na południe od Radziechowa, Toporowie; tu w pierwszych dniach sierpnia 1649 r. stanął obozem król Jan Kazimierz, idący z odsieczą wojskom oblężonym w Zbarażu. Literacką wersję tych wydarzeń przedstawił Henryk Sienkiewicz w „Ogniem i mieczem” („We dworze toporowskim, w bawialnianej komnacie, siedziało wieczorem trzech panów...”). □



*Krzyż na miejscu kościoła w Hucie Stepańskiej,
postawiony w roku 1997.*

nych przez bolszewików mieszkańców miasteczka. Na pewno byli wśród nich też Polacy.

Hutę Stepańską w pow. kostopolskim na Wołyniu zamieszkiwało do 1939 r. 186 rodzin polskich, 6 rodzin żydowskich i 1 niemiecka. Wieś była zasobna. Mieszkańcy wybudowali piękny Dom Ludowy, murowaną piętrową 7-klasową szkołę, we wsi stanął duży drewniany kościół, którego proboszcz ks. Teodor Czaban był odkrywcą złóż borowiny we wsi i budowniczym uzdrowiska tzw. „Słonego Błota”. Dzięki niemu zbudowano w Hucie zakład kąpielowy, a w ślad za nim domy dla kuracjuszy przyjeżdżających tu z całej Polski. Ranga wsi dzięki uzdrowisku wzrosła, na miejscu była poczta, policja państwowa, restauracja, sklepy, mleczarnia, 2 młyny i Kasa Stefczyka. działalność prowadziło Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej i Męskiej, ZHP, Związek Strzelecki. W budowie był nawet szpital. Dziś nie ma już Huty Stepańskiej – wsi z aspiracjami, które dzisiaj określa się jako „europejskie”. Pierwszy napad UPA na tę wieś miał miejsce 10 lutego 1943 r. Zginęli Polacy. Po tej zbrodni ks. dr Bronisław Drzepecki, ówczesny proboszcz w Hucie, kierownik szkoły Wł. Kurkowski i komendant Strzelców Hieronim Konwerski zorganizowali w Hucie Samoobronę. Broniła ona wsi ponad pół roku. 16 lipca 1943 r. oddziały UPA (kureń Rubaszenki) rozpoczęły generalny atak na Hutę, gdzie schroniło się kilkanaście tysięcy Polaków z okolicznych wsi. Rozpaczliwą obroną kierował z ramienia AK kapitan Wł. Kochański. Jednak grupa upowców przedarła się do centrum wsi i rozpoczęła się rzeź kobiet, dzieci i starców. Po 32 godzinach walki ranny kapitan Kochański zdecydował się przebić przez pierścień upowski. Wczesnym rankiem 18 lipca dzięki bardzo gęstej mgłę, niecelnym ogniom ukraińskim i bohaterskiej postawie obrońców kolumna wozów dotarła do Wydymeru, polskiej kolonii pod Włodzimierzem. Stąd część Polaków udała się głównie do Sarn, Kowla i Przebraża. Kilkadziesiąt osób, które zostały w Wydymerze zostało w sierpniu 1943 r. wymordowanych przez UPA.

W czasie walk o Hutę Stepańską zginęło około 340 Polaków, UPA zniszczyła we wsi wszystko co polskie. Nie oszczędzono kościoła ani zabudowy uzdrowiska. Opierając się ogniomu szkołę rozebrano.

Do rzymsko-katolickiej parafii w Hucie należało przed II wojną światową 21 wsi z 3500 wiernymi. Parafialny cmentarz po masowych mordach w okolicznych wsiach polskich już na wiosnę 1943 roku stał się zbyt ciasny i kolejne ofiary mordów zaczęto chować na wiejskim boisku sportowym, który został poświęcony jako nowy cmentarz. Pochowano tam do 18 lipca 1943 roku ponad 250 polskich ofiar, przeważnie w zbiorowych mogiłach.

W Hucie Stepańskiej z polskich czasów zachował się jedynie teren starego cmentarza, bardzo zdewastowany i zarosnięty. Cmentarz na dawnym boisku sportowym został zabudowany domami i budynkami gospodarczymi przez ukraińskich mieszkańców – pracowników kołchozu. Na kościach ofiar wyrosły drzewa owocowe.

Dawni mieszkańcy Huty nie zapomnieli o rodzinnej wsi. Od momentu kiedy stało się to możliwe jeździli i jeżdżą tam, ale wieś nie przypomina zupełnie dawnej kwitnącej i zadbanej polskiej Huty. Efekt tych wyjazdów okazał się wielce budujący. Po przeprowadzeniu niełatwych rozmów z miejscowymi władzami przez p. Edwarda Kwiatkowskiego (mieszka w Lubiniu Legnickim) i kilku dawnych Hucian, w jesieni 1994 r. powstał Społeczny Komitet Upamiętnienia Ofiar w Hucie Stepańskiej. Prace ruszyły i wkrótce był gotowy projekt symbolicznej mogiły pomnika poświęconego pamięci pomordowanych Polaków z Huty i okolicznych wsi. Autorem całej kompozycji był dr inż. Cz. Piotrowski, autorem wizji plastycznej krzyża artysta rzeźbiarz p. Kazimierz Danilewicz – projektant warszawskiego pomnika 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK.

Potężny monument z umieszczoną u dołu bazaltową płytą i dwujęzycznym napisem „Pamięci Polaków z Huty Stepańskiej i okolicy, zmarłych i zamordowanych przed 19 VII 1943 r.” stanął na terenie starego cmentarza w Hucie 14 czerwca 1996 r. Z Polski i USA przybyło na tę uroczystość ponad pół setki b. mieszkańców Huty i okolic. W nabożeństwie i poświęceniu krzyża wzięło udział 3 księży katolickich oraz 3 prawosławnych popów. Uczestniczyli w nim również ukraińscy chłopcy – było ich kilkuset.

W następnym roku staraniem tegoż Komitetu ustawiono metalowy krzyż w miejscu spalonego kościoła. Nie wszędzie na Wołyniu Ukraińcy zachowywali się tak godnie jak w Hucie uczestnicząc w nabożeństwie i poświęceniu krzyża upamiętniającego polskie ofiary mordów UPA. W Janowej Dolinie pow. kostopolski, miejscu jednej z najstraszniejszych zbrodni UPA, gdzie 23 kwietnia 1943 r. zginęło 600 Polaków, miejscowi nacjonaliści z organizacji „Ruch” nie dopuścili do poświęcenia 18 lipca 1997 r. bazaltowego krzyża-pomnika z ocenionym napisem „Pamięci Polaków z Janowej Doliny” (bez daty!).

Prezydent Kwaśniewski zapewnił prezydenta Kucznię podczas ostatniego spotkania, że Polska będzie popierała starania jego państwa o uzyskanie statusu kraju stowarzyszonego z Unią Europejską. Ale z tej okazji należy również nie zapomnieć o takich „drobnych szczegółach” jak torpedowanie przez władze Lwowa odbudowy cmentarza Orląt i upamiętnienia miejsc mordów Polaków przez UPA na b. Kresach Południowo-Wschodnich i Wołyniu bo o ściganiu żyjących jeszcze sprawców tych mordów, jak do tej pory, zupełnie głucho w trakcie dyplomatycznych rozmów na wysokich szczeblach. □

Warszawa, dnia 12 lutego 1999 r.

Drodzy Lwowiacy i Kresowianie!

Piszę ten list otwarty jako Wasz duszpasterz. (Chcę to wyraźnie podkreślić na wstępie: piszę nie jako członek Zarządu Głównego TMLiKP-W, ani jako prezes zarządu Oddziału Stołecznego – lecz jako ogólnopolski kapelan, z własnej inicjatywy, bez porozumienia z ww. zarządami).

Od lat patrzę z bólem na rozłam i nieporozumienia między Oddziałami, Klubami, a nawet poszczególnymi członkami naszego Towarzystwa. Różne były przyczyny tego rozdarcia, nie czas je przypominać. Myślę, że grała tu również rolę urażona ambicja oraz nietolerancja dla przekonań innych.

Porzućmy swary i animozje. Zbliża się rok 2000. Ojciec Św. woła o jedność wszystkich wierzących.

Jakże nie mamy się jednoczyć my kresowiacy, kochający własne ojcowizny?

Często przypominam sobie strofy wiersza Mariana Hemara:

„Śmierć na obczyźnie nas wymiata
Jak pajęczyny w kącie
Coraz nas mniej z naszego świata
Co się oddala i odlata
I tylko po nim dzwony dzwonię.

Coraz tu ktoś upada obok.
Coraz topnieją rzędy
I dawnej słyhać krzyk komendy:
„Szlusuj!”
I ścieśnia się czworobok
I zamykają się szeregi”

Zdajemy sobie z tego wszyscy sprawę, że jest nas coraz mniej. Śmierć bezlitośnie nas wymiata. Topnieją nasze rzędy. I dlatego trzeba nam „szlusować”, trzeba koniecznie „ścieśniać nasz czworobok”, zewrzeć szeregi. Apeluję do wszystkich: wyciągnijmy do siebie ręce, podajmy dłonie w serdecznym braterskim uścisku.

Nie chodzi o jakiekolwiek przeproszanie. Chodzi o zapomnienie doznanych przykrości, o szczere chrześcijańskie przebaczenie – by wspólnie iść w dalszą drogę, wspólnie przekroczyć próg tysiąclecia.

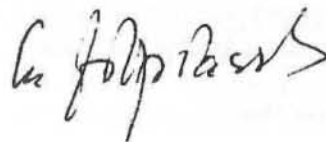
Proponuję:

1. Wyrazić chęć jedności - pisemnie – listy (czy karty) zebrane razem, zostaną wręczone Ojcu św. podczas Jego pobytu w Polsce.
2. Zgłosić (oddzielnie) udział w „Pielgrzymce Jedności Lwowiaków i Kresowian do Matki Boskiej „Żołnierskiej” (cudowny Obraz Matki Boskiej z Żółkwi, którego kopię przewieziono 1,5 roku temu do Żółkwi), znajdujący się w kościele OO. Dominikanów na Służewcu w Warszawie, w niedzielę 22 sierpnia 1999 r.

Listy proszę łaskawie przesyłać na mój adres.

Pozdrawiam serdecznie wszystkich. Niech Pani Łaskawa, bł. Jakub Strzemię i wszyscy Święci Patronowie Kresów uproszą nam łaskę jedności.

Wasz
Ks. Janusz Popławski
Laski – Zakład
05-080 Izabelin



Helena Wiewiórska

Polacy w Szkocji

Semper Fidelis... zawsze wierni swojej Ojczyźnie

Polacy w Szkocji to w większości byli żołnierze armii polskiej w Wielkiej Brytanii wywodzący się w większej mierze z kresów południowo-wschodnich. Los wojny rzucił ich na szkocką ziemię, a po wojnie nie było im dane wrócić do Ojczyzny, o której wolność walczyli na wielu frontach – osiedlili się więc na ziemi szkockiej, tu założyli rodziny, a swą tęsknotę i miłość do Ojczyzny przekazywali dzieciom i wnukom.

Głównymi ośrodkami Polonii Szkockiej są Edynburg i Glasgow, gdzie działają organizacje polonijne takie, jak:

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów

Stowarzyszenie Kobiet Polskich

Polski Klub Społeczny „Ognisko Polskie” w Edynburgu

Polsko-Szkockie Towarzystwo Kulturalne w Edynburgu

Polskie Towarzystwo Społeczno-Edukacyjne w Glasgow

Stowarzyszenie Polskich Filatelistów w Edynburgu

Zespół Pieśni i Tańca „Ojczyzna” w Edynburgu

Zespół Pieśni i Tańca „Rysy” w Glasgow

i podobne do ww. w innych ośrodkach polonijnych takich, jak: Perth, Aberdeen, Dundee, Falkirk, Kirkcaldy, Invergordon, Galashiels i mniejszych.

Wszystkie te stowarzyszenia, z Konsulatem Polskim w Edynburgu na czele, mają na celu umacnianie więzi z krajem ojczystym, podtrzymywanie i przekazywanie młodym pokoleniom tradycji polskich i miłości do Polski, a także pomoc w różnych sprawach. Takie również zadanie miała GAZETA – The Polish GAZETTE – kwartalnik wydawany w Edynburgu od 1995 r. dzięki ogromnemu zaangażowaniu wspaniałej Polki młodszego pokolenia – Pani Marii Rayskiej, która potrafiła zachęcić Polaków nie tylko w Szkocji, ale w całej Wielkiej Brytanii, a także spoza Oceanu i Polski, aby pisali o swoich korzeniach i wojennych losach. Z GAZETY, chociaż pisanej w języku angielskim, emanuje patriotyzm i polskość, których trudno się doszukać w wielu czasopiśmie naszego rynku prasowego. W Gazecie Szkockiej prócz wielkich, patriotycznych artykułów, można znaleźć również informacje o wydarzeniach kulturalnych w Polsce i Wielkiej Brytanii dotyczące Polski, ogłoszenia i informacje z wielu dziedzin życia pomagające Polakom, reklamy i informacje biur turystycznych ułatwiających kontakt z krajem, jak najłatwiej odbyć podróż do Polski i dalej na kresy wschodnie, np. artykuł „Lwow is waiting for tourists” – „Lwów czeka na turystów” – GAZETA Nr 5 April-June 1996, informacje o wymianie wakacyjnej młodzieży, o obozach harcerskich w Szkocji i Polsce, a także o kursach języka polskiego (również przy uniwersytecie w Edynburgu) bardzo ostatnio popularnych wśród trzeciej generacji, która chce odwiedzać Polskę, doskonalić tutaj język, prowadzić interesy. Również ogłoszenia Brytyjskiego Czerwonego Krzyża o poszukiwaniu zaginionych w czasie II wojny światowej, głównie z kresów wschodnich, uwieńczone wieloma sukcesami – p. artykuł w GAZECIE – „Never lose hope of finding Your family” – Nigdy nie trać nadziei na odnalezienie

swojej rodziny – GAZETA Nr 11 Dec 1997.

Wydawca GAZETY, Pani Maria Rayska, zadała sobie wiele trudu, aby przypadkiem znaleziony list swojego ojca datowany 20.X.1942 r. do kolegi w obozie jenieckim, a cofnięty przez cenzurę niemiecką, doręczyć osobiście adresatowi – Panu Bogdanowi Kalusińskiemu w Krośniewicach koło Kutna po 55 latach. Pani Maria opisuje swoje zakończone sukcesem poszukiwania obecnego miejsca zamieszkania adresata, swoją podróż do Krośniewic, spotkanie z przyjacielem ojca i jego rodziną, w bardzo ciepłych słowach w artykule „Censored wartime correspondence delivered 55 years later” – GAZETA Nr 12 Jan.-March 1998.

Będąc w Edynburgu we wrześniu ubiegłego roku miałam okazję spotkać znajomych z GAZETY w kościele polskim oraz Klubie Polonii, gdzie miałam przyjemność poznać osobiście p. Izabellę Brodzińską – przewodniczącą Polsko-Szkockiego Towarzystwa Kulturalnego, która z pomocą uczynnych ludzi organizowała pomoc materialną do Polski – między innymi bardzo cenny sprzęt dla oddziałów noworodków w szpitalach w Ustrzykach Dolnych i Katowicach. Pani Brodzińska również czynnie odpowiedziała na apel pomocy dla „Dzieci Gorszych Ulic” w Łodzi – Domu Opieki prowadzonym przez dwie siostry Urszulanki, które borykają się z ogromnymi trudnościami materialnymi dokonując „cudów”, aby biedne dzieci miały lepsze życie.

Jadąc z północy Szkocji do Edynburga przejeżdżałam przez Perthshire, gdzie między wzgórzami w zamku Taymouth w Kenmore nad rzeką Tay w czasie II wojny światowej mieścił się Szpital Polski dla rannych żołnierzy, marynarzy i lotników przywożonych z frontów.

Na cmentarzu w niedalekim Perth na polskie groby wojenne co roku w Dzień Święta Zmarłych zjeżdżają się Polacy z Aberdeen, Dundee, Falkirk, Glasgow, Edinburgh – przedstawiciele konsulatu polskiego, władze miasta, weterani ze sztandarami, rodziny z dziećmi i wnukami, aby uczcić pamięć polskich żołnierzy, którzy walczyli za wolność „naszą i waszą” i już do wolnej Polski nie wrócą... GAZETA zatytułowała artykuł o tym dniu – SCOTLAND’S most important day – Remembrance at Polish war graves” – Najważniejszy dzień Szkocji – uczczenie polskich grobów wojennych (The Polish Gazette – Jan.-March 1998).

W mojej powrotnej podróży do Polski na trasie Edynburg-Londyn spotkałam bardzo sympatycznych, młodych ludzi, pracowników uniwersytetu w Edynburgu jadących do Polski. Pani mgr Elżbieta Majocha, która z zapałem uczyła w Edynburgu języka polskiego, a którą znałam z GAZETY, jechała z mężem do Krakowa, aby tam pracował na U.J. i doskonalił swój język polski. Pani Elżbieta pomimo ogromnego zmęczenia pakowaniem na roczny pobyt prowadziła ze mną długą „nocną rodaków rozmowę” o Szkocji, Polakach i ludziach z GAZETY. To było cudowne – wspaniały kontakt pokoleń. Myślę, że o wielu wspaniałych ludziach z GAZETY będę miała jeszcze okazję napisać.

W Edynburgu od roku 1990 mieszka i pracuje Tomasz Borkowy – odtwórca głównej roli – Andrzeja Talara w popularnym serialu telewizyjnym „Dom”. Tomasz Borkowy czuje się lepiej w Szkocji niż w Anglii (gdzie mieszkał 5 lat), ma tutaj dużo przyjaciół, a na spotkaniach towarzyskich występuje w kontuszu aby podkreślić swoją polskość. □

Władysław Dziemiańczuk

40-lecie założenia Związku Ziem Wschodnich RP w Toronto

(Przedruk: „Głos Polski” 17-24 listopada, Nr 46, Toronto)

Wśród Polonii kanadyjskiej, gdzie działa kilkadziesiąt organizacji i stowarzyszeń skupiających rodaków według różnorodnych zainteresowań, zamiłowań i poglądów, działa w Toronto już od 40 lat grupa Kresowiaków w Związku Ziem Wschodnich RP w zgodzie z prawdą i honorem dla zachowania wartości najwyższej, jaką jest niepodległość Rzeczypospolitej.

ZZWRP jest organizacją opartą na deklaracjach ideowych emigracji niepodległościowej. Trzon jej członków stanowią polscy wygnańcy i potomkowie wygnańców z terenów wschodnich II Rzeczypospolitej: Ziemi Czerwieńskiej, Ziemi Lwowskiej, Podola, Wołynia, Polesia, Grodzieńszczyzny i Wileńszczyzny.

W czasopiśmie polonijnych wychodzących w Toronto pod datą 28 sierpnia 1958 r. znajdujemy wzmiankę, że zostało powołane Koło Toronto Związku Ziem Wschodnich RP z Zarządem Głównym w Londynie. Była to reakcja na postanowienia i porozumienie „wielkiej trójki” w Teheranie i Jałcie. W wyniku tych bezprawnych i nieuznawanych przez legalny emigracyjny Rząd Polski aktów, utraciliśmy Wschodnie Ziemie Kresowe.

U podstaw inicjatywy utworzenia Koła w Toronto leżał ambitny cel wypełnienia luki w życiu Polonii kanadyjskiej i stworzenia ośrodka specjalnie oddanego sprawie naszych Ziem Wschodnich. Znakomita większość społeczności polskiej w Kanadzie, która przybyła bezpośrednio po II wojnie światowej pochodzi z Kresów Wschodnich RP. Celem działania ZZWRP jest obrona dziedzictwa duchowego i kulturowego na zdradziecko zrabowanych Ziemiach Kresowych RP oraz pomoc rodakom żyjącym tam w bardzo trudnych warunkach. Zadaniem ZZWRP – Koło Toronto jest informowanie społeczeństwa kanadyjskiego o nieprzedawnionych prawach Polski do Ziem Wschodnich i o roli Polski w zapewnieniu pokoju i bezpieczeństwa dla wolnego świata.

Z powodu braku konkretnej wiedzy, nieznaności realiów panujących na Kresach i w Polsce, odsuwa się na dalszy plan zagadnienie grabieży naszych Ziem Wschodnich. Kształtowanie opinii publicznej przez specjalistów rządowych z Unii Wolności i wrogich Polsce utopistów jest niekorzystne dla Polski. Smutne to, że dawna czerwona nomenklatura usprawiedliwiając się i przepraszając sąsiadów akceptuje pojałtański porządek w naszej części Europy. Nie wystarczy głos tego czy innego publicysty w obronie drogich nam Ziem Wschodnich RP. Oczekujemy obrony polskich spraw na Kresach ze strony polskiego rządu i parlamentu.

Zanim Koło ZZWRP powstało, 19 sierpnia 1958 r. powołano Komitet Organizacyjny w składzie: M. Bojner, A. Budrewicz, płk. B. Kiersnowski, Cz. Kobyłański, M. Poprawa, R. Rodycz, R. Romanowicz, Dr T. Rosol, B. Sokołowski.

Koło ZZWRP rozwinęło bardzo ożywioną działalność; dnia 23 listopada 1958 r. Koło zorganizowało w sali Gminy 1-szej ZNP, uroczysty obchód 40-lecia Obrony Lwowa, pod honorowym protektorem gen. dyw. Michała Karaszewi-

cza-Tokarzewskiego, który przybył z Londynu. Była to pierwsza tego rodzaju manifestacja polonijna w Kanadzie.

W dniach 7 i 8 maja 1960 roku delegaci Koła wzięli udział w zjeździe nadzwyczajnym Polonii Kanadyjskiej, zwołanym do Toronto dla omówienia obchodu 1000-lecia Polski Chrześcijańskiej. Zjazd na wniosek delegatów Koła jednogłośnie uchwalił, aby włączyć do ogólnego obchodu Millenium obchód tysiąclecia przynależności do Polski Ziemi Czerwieńskiej. Uchwała ta „włożona do szuflady” przez ówczesny zarząd Kongresu Polonii Kanadyjskiej i przemilczana przez organizacje polonijne, pokrywała się z milczeniem w tej sprawie w PRL.

Dnia 12 listopada 1960 r. Koło ZZWRP zorganizowało w sali gminy 1-szej Związku Narodowego Polskiego konferencję pod nazwą „Freedom for Middle Eastern European Nations”. Głównym mówcą był generał Michał Karaszewicz-Tokarzewski bawiący w tym czasie w Kanadzie.

W konferencji wzięli udział przedstawiciele grup etnicznych: czechosłowackiej, węgierskiej, litewskiej, łotewskiej, estońskiej, korespondenci prasy anglojęzycznej oraz zainteresowanych grup etnicznych. Uchwaloną rezolucję przesłano premierowi Kanady Johnowi G. Diefenbakerowi.

W dniu 26 lutego 1962 r. zarząd ZZWRP – Koło Toronto powołał Komitet Uczczenia Pamięci Ofiar Zbrodni Katyńskiej. W skład Komitetu wszedł powyżej wymieniony zarząd in gremio, przedstawiciele Komitetu Obywatelskiego „Pomóż Sprawie Polskiej”, a także Koło Żołnierzy P.S.Z. w Toronto. Skład Komitetu był następujący: Antoni Budrewicz (ZZWRP), płk. Juliusz Hoffman (ZZWRP), płk. Bohdan Kiersnowski (Koło Żołn. PSZ), Czesław Kobyłański (ZZWRP), Jan Kwaczek (Kom. Ob.), Antoni Małatyński (ZZWRP), Stefan Pieczora (Koło Żołn. PSZ), Mieczysław Poprawa (ZZWRP), Roman Rodycz (ZZWRP), Dr Tadeusz Rosol (ZZWRP), Bronisław Sokołowski (K. Żołn. PSZ), mec. Józef Żalutyński (Kom. Ob.).

Na przewodniczącego honorowego Komitetu wybrano płk. dypl. Jerzego Grobickiego głównego świadka zbrodni w dochodzeniach Specjalnej Komisji Kongresu Stanów Zjednoczonych w roku 1952.

Prasa kanadyjska i polska w Kanadzie i w wolnym świecie szeroko omówiły manifestację zorganizowaną przez Związek Ziem Wschodnich w dniu 7 kwietnia 1962 r. w 22 rocznicę zbrodni katyńskiej. Manifestację poprzedziła konferencja prasowa, na której informacji udzielał płk. dypl. Jerzy Grobicki, jeden ze świadków przed Komisją specjalną dla zbadania mordy katyńskiego, powołaną przez Kongres Stanów Zjednoczonych. W dniu 8 kwietnia 1962 r. w auli Katedry św. Kazimierza odbyła się wielka akademii żałobna. Z ramienia premiera Kanady J. Diefenbakera w akademii wziął udział poseł konserwatywny Arthur Malloney, przywódca Partii Demokratycznej Donald Mac Donald i przywódca Partii Liberalnej, późniejszy premier Kanady Lester Pearson. Uchwalona rezolucja wzywająca rząd Kanady do poruszenia sprawy ludobójstwa na forum ONZ została przesłana do Ottawy. Canadian Polish Research Institute w pu-

blikacji „Half a Century of Canadian Polish Congress” z kwietnia 1996 r. nie podaje pełnej, rzetelnej informacji o zorganizowaniu przez ZZWRP w 1962 akademii katyńskiej. Pomysł budowy pomnika katyńskiego w Toronto został wysunięty przez członka ZZWRP z Thornhill, Alberta, dra Emila Kozorowskiego na forum Kongresu Polonii Kanadyjskiej w Vancouver w październiku 1976 r. Projekt pomnika został zrealizowany przez Polonię kanadyjską we wrześniu 1980 r.

Cztery koła ZZWRP w Kanadzie, odległe od siebie o tysiące kilometrów, w porozumieniu wzajemnym, zorganizowały manifestację Tygodnia Ziemi Wschodnich RP. W czterech wielkich miastach: w Toronto, Montrealu, Vancouver i w Edmonton – od 19 do 26 września 1965 r. odbyły się Msze św. i modły za poległych i pomordowanych obrońców i synów Ziemi Wschodnich RP. Zorganizowano także zebrania-akademie z aktualnym programem w 26 rocznicę oderwania Ziemi Wschodnich od Rzeczypospolitej.

Związek Ziemi Wschodnich RP w Toronto ostro zaprotestował listem z dn. 31 maja 1990 r. na oświadczenie Ministra Spraw Zagranicznych K. Skubiszewskiego, podczas wizyty w Londynie, że Rząd RP nie rości pretensji do ziem na wschodzie.

Związek w 1991 r. wystosował list do prezydenta RP L. Wałęsy z żądaniem od Rosji zastosowania polityki w sprawie granic – analogicznej do rosyjskiej polityki w sprawie Litwy. Chodzi o unieważnienie Traktatu Ribbentrop-Mołotow z 1939 roku i umowy jałtańskiej z 1945 r., będącej przy pieczętowaniu tego traktatu.

Ważną akcją polityczną tegoż roku było wysłanie 17 grudnia listu do premiera Kanady B. Mulroney’a i członków w jego rządzie do poparcia polskich starań o przyjęcie do NATO. Podczas wizyty prezydenta RP L. Wałęsy w Toronto 10 września 1994 r. wręczono rezolucję Koła w spra-

wie powrotu Polaków z Kazachstanu do ojczyzny. Pani Maria Bieniasz reprezentowała Związek na Walnym Zjeździe KPK w Thunder Bay w październiku 1994. Na 9 wniosków Komisji do Spraw Polskich, 4 dotyczyło Polaków w byłym ZSRR. Wnioski te w pełnym brzmieniu podał jedynie „Głos Polski” nr 41 z 15 października. Od Zjazdu w Thunder Bay minęło 4 lata. Zarząd naszego Związku jest zainteresowany, które z zatwierdzonych wniosków zostały spełnione, lub wzięte pod uwagę, w pracach Zarządu Głównego KPK. Wiemy, że powstała przy ZG KPK Komisja Łączności ze Wschodem. Niestety, oprócz tego, że powstała, nie słyszemy nic więcej o jej działalności. Na tegorocznym zjeździe KPK w Edmonton w październiku Związek nasz będzie reprezentował Zbigniew Dąbrowski.

Zgodnie z postanowieniem Konferencji Księży na Wschodnią Kanadę ZZWRP zorganizował dnia 6 i 13 września coroczną zbiórkę pieniężną na pomoc Polakom na Kresach i terenach byłego Związku Radzieckiego. Powiadamy, że przy Credit Union św. Stanisława i św. Kazimierza otwarte jest specjalne konto „Fundusz Kresowy” nr 56967.

W roku 1993 została wydana przez ZZWRP książka w języku angielskim „Ethnic Cleansing of Poles in Volhynia and Eastern Galizia (1942-1946)”, przedstawiająca zbrodniczą działalność OUN-UPA na Wołyniu i Małopolsce Wschodniej podczas II wojny światowej. W roku 1996 została opracowana przez Władysława Dziemiańczuka i wydana przez ZZWRP w Toronto książka w języku polskim „Wybaczyć nie znaczy zapomnieć” omawiająca stosunki polsko-ukraińskie podczas II wojny światowej, w oparciu o relacje świadków. Książka ta jest już do nabycia w polskich księgarniach.

Tego roku z okazji 40 rocznicy powstania ZZWRP – Koło Toronto została wydana publikacja w języku angielskim pt. „Our Story”, której tematem jest historia, cele działania i program tej organizacji. □

AKTUALNOŚCI

Janusz Kotlarczyk

Szanowny Panie Przewodniczący, Szanowni Panowie Prezesi Organizacji, Drodzy Rodacy, Najmilsi Kresowianie!

Zabieram głos, jako osoba niezwiązana formalnie z żadną organizacją kresową. Występuję jako Polak, który widzi ciężki los współrodaków za wschodnią granicą, a w szczególności fatalny kierunek rozwoju stosunków polsko-ukraińskich. Konstatuję równocześnie niemoc organizacji kresowych, niechęć władz państwowych do tego środowiska i równocześnie nieporadność tych władz w załatwianiu spraw dla honoru i losu Polaków priorytetowych.

Z niepokojem obserwuję rosnące z roku na rok rozzu-chwalenie wojujących działaczy ukraińskich – w tym także naszych współobywateli, którzy łatwo dyskонтują łatwowierność Polaków, spolegliwość oraz błędne założenia władz państwowych i lokalnych.

Przyczyną tej sytuacji jest bez wątpienia **rozbięcie środowiska kresowego w Polsce**.

Nad tym rozbięciem każdy rzetelny Polak musi zapłakać serdecznie i musi zapytać: jaką cenę za to rozdarcie zapłaci Polska i Polacy w bliższej i dalszej przyszłości?

Już dziś można to przewidzieć prawie z całkowitą pewnością.

Nie będzie realizacji postulatów Memoriałów Federacji Organizacji Kresowych.

Nie będzie napisu „Obrońcom Lwowa”, ani żadnego tego typu na Cmentarzu Orłąt.

Nie będzie zwrotu majątku „Ossolineum”.

Nie będzie fakultetów języka polskiego w szkołach ukraińskich.

Nie będzie nowych szkół polskich.

Nie będzie Stacji Naukowej PAN we Lwowie.

Nie będzie cmentarzy we wszystkich zmasakrowanych wioskach na byłych Kresach RP.

Nie będzie napisów na miejscach zbrodni.

Nie będzie zgody na odwiedzanie grupowe istniejących paru cmentarzy¹⁾.

Nie będzie krzyży na grobach pomordowanych, gdyż nie będzie nawet tych grobów (napływają informacje, że kości są przemieszczane w nieznane miejsca).

Czy któraś z organizacji kresowych, w tym kombatanckich, może dać na to przyzwolenie?

Tymczasem w Polsce zaistniała pełna asymetria w analogicznych sprawach.

– Postawiono, przeważnie niezgodnie z prawem, 106 upamiętnień UPA i tzw. ofiar „Akcji Wisła” w 87 miejscowościach, a z woli naszych władz pomnik w Jaworznie.

– Zezwolono na umieszczenie na grobach upowców, walczących krwawo o oderwanie wschodniej części pojałtańskiej Polski, napisu „Poległ za Wolną Ukrainę”.

– W kościele Bazylianów w Warszawie wmurowano tablicę ku czci przywódców UPA w Polsce.

– W miejscach upamiętnień odbywają się zgromadzenia z udziałem umundurowanych weteranów UPA, m. in. pod nielegalnie postawionym w Hruszatykach pod Przemyślem i symbolicznym pomnikiem chwały 4 kureni „Zakerzon”.

– W Kętrzynie i innych miejscowościach obchodzono (18.X.98) uroczyste święto 56 rocznicy powstania UPA i wręczono zagraniczne odznaczenia jej weteranom, mimo nieuznania przez Polskę i europejskie stowarzyszenie kombatanów tej formacji, ani także mimo nieuznania UPA przez władze niepodległej Ukrainy za stronę wojującą w II wojnie światowej.

– Dla około 300-tysięcznej mniejszości powstało i pracuje kilka liceów i wiele szkół ukraińskich, do których nb. brakuje chętnych.

– W roku ubiegłym przeprowadzono około 30 dużych ukraińskich imprez kulturalnych.

– Instytucje polskie zasypywane są roszczeniowymi memoriałami i żądaniami mniejszości ukraińskiej, a polskie prokuratury prowadzą śledztwa w sprawie o zbrodnię Polaków i Wojska Polskiego na ludności narodowości ukraińskiej.

– Prasa ukraińskojęzyczna jak „Nasze Słowo”, „Watra” i in. prowadzi systematyczną, jętrzącą akcję polityczną, daleko odbiegającą od celów statutowych prasy mniejszościowej i w tym różniącą się zdecydowanie od charakteru gazet polskich na Ukrainie.

Spolegliwość władz polskich w tych i wielu innych sprawach nie posunęła jednak ani o krok załatwienie polskich postulatów na Ukrainie. Również próby uzgodnień ważnych spraw ogólnych kończą się fiaskiem bądź z poważnym uszczerbkiem dla polskiej strony (por. kasację komisji podreżnikowej w roku ubiegłym).

Fakty te, a także liczne wypowiedzi działaczy ukraińskich utwierdzają mnie w przekonaniu, że wszelkie ustępstwa w kontaktach z nieprzychylnie ustosunkowaną do Polaków stroną ukraińską są **całkowicie daremne i bezowocne**.

Odmowne wobec polskich starań stanowisko ukraińskich władz państwowych i samorządowych motywowane jest często naciskiem oddolnym organizacji nacjonalistycznych, a nawet społeczeństwa ukraińskiego.

Wyrażam przeto głębokie przekonanie, że jeśli podobnie nasze władze nie odczują **zgodnego nacisku zjednoczonych środowisk kilku milionów Kresowian** to nigdy nie będą stanowcze w domaganiu się realizacji obopólnych porozumień, układów, umów i prawa międzynarodowego.

Za pierwszą sprawę nie cierpiącą zwłoki należy uznać jednomyślnie przedstawienie Panu Prezydentowi RP stanowiska Kresowian w sprawie „Cmentarza Orląt”. Jak wiadomo ogłoszono w mediach ukraińskich²⁾ decyzję naszego Prezydenta, iż na odnowionym Cmentarzu Orląt **nie będzie żadnych napisów** obrażających rzekomo honor Ukraińców – typu „Obrońcom Lwowa”, gdyż to Polacy byli okupantami. Wydaje się nieprawdopodobnym, iżby Kresowianie i w ogóle Polacy mogli zaaprobować takie ustalenie – inicjaty-

wa zapobiegnięcia takiemu rozwiązaniu winna wyjść przede wszystkim ze strony Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Na początku wystąpienia podkreśliłem także **tragiczny wpływ rozbicia środowiska kresowego** na aktywność i nastopliwość poczynąń działaczy Związku Ukraińców w Polsce³⁾ i związanej z nimi prasy.

Poróżnienie środowiska kresowego pozwoliło im wykorzystać ten fakt w liście redaktora „Naszego Słowa” do Ks. Prymasa i Marszałków Sejmu i Senatu, bezprzykładnie i kłamliwie ingerującym w sprawę oddania w Przemyślu czci ofiarom OUN-UPA w 55 rocznicę tragedii Kresowian.

„Nasze Słowo” rozdziela pochwały i nagany według własnych celów. Wyrażało niejednokrotnie zadowolenie, iż „Kresowianom brakuje jedności” (np. nr 32 (98)) i chwaliło FOK za to, iż „działa bez politycznego ukierunkowania” (nr 31), napadało prowokująco na przemyskie organizacje patriotyczne, pielęgnujące polskość tych ziem, które oni uważają, zresztą błędnie, za odwiecznie etnicznie ukraińskie, itd., itd. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że ocena dobra jest stała. Wystarczyło kilka piosenek o polskim Lwowie na festiwalu w Mrągowie (odbyty pod patronatem FOK), by tygodnik ten pośpieszył z cenzurką: „fałszywa nuta kresowych westchnień” (nr 35). Jak widać nawet westchnienie im przeszkadza. Swymi ingerencjami „Nasze Słowo” dąży do sparaliżowania nawet najogólniejszych wypowiedzi. Smutne to, iż niektóre organizacje kresowe podporządkowują się tym ingerencjom.

Działacze ukraińscy nie znoszą krytyki, sami zaś w swoich gazetach i wydawnictwach chłoszczą i wyszydają Kresowian i patriotów polskich, stawiają zarzuty polskim sądom i prokuratorom, ingerują w treść konferencji naukowych i tematykę rozpraw doktorskich, zgłaszają pretensje do polskich uniwersytetów i akademii, oskarżają polską hierarchię kościelną i Główną Komisję Badania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu, pouczają polskich ministrów, wojewodów i burmistrzów, pokrzykują na Sejm oraz na polskich posłów i senatorów, grożą donosami na Polskę do organizacji europejskich, szantażują i szczują⁴⁾, przeinaczają historię i kłamia, sieją nienawiść do Polski i Polaków w młodym pokoleniu Ukraińców. Wywołują i podsycają w ten sposób niechęć Polaków, przeciwdziałają zbliżeniu i pojednaniu obu naszych narodów, które jest dla nas niezbędne. Nie czas tu na udokumentowanie tych stwierdzeń. Zwróć uwagę na jeden z przykładów sprzed miesiąca.

W 51 nr. „Naszego Słowa” (z dnia 20.12.98) zamieszczono znamiennej fotografię dokumentującą występ kabaretu z Przemyśla na już „22 Jarmarku Młodzieży Ukraińskiej” w Sopocie w dniu 14.11.98 r. Redakcja uznała za najcelniejszy „żart”, prezentowaną przez kabaret, wizyjną mapę wschodniej Europy i postanowiła ją rozkolportować w środowisku ukraińskich czytelników „Naszego Słowa” w całej Polsce.

„Żart” zawiera się w podziale terytorium dzisiejszej Polski na 4 części. Najmniejsza, wtulona w zakole Wisły, to „Wielkie Księstwo Kielecko-Radomskie” ze stolicą w Warszawie, część zachodnia, rozciągająca się między miastami „Danzig” i „Legnitz” zajęta jest przez „Namaków”, zaś na wschód od Wisły leżą „Prusy” i ciągnąca się od Podlasia po Karpaty z „Peremyszlem” – „ZAKERZONNJA”. Na wschód od „Zakerzonni” – na całym obszarze Ukrainy zaznaczono tylko jedną (!) miejscowość. Jest to HUMAN – miasto symbol ludobójstwa w 18 wieku! Młodzież ukraińska, wychowana na Hajdamakach Szewczenki (ale również

i polska) doskonale rozumie jakie treści chce przekazać mapa. Wszak to „od Kyjewa po UMAN ljahli Ljachy trupom” a „ziemia horyt krow’ju pidplywaje”! Gdyby ktoś miał trudności ze zrozumieniem mapy-rebusu to rozwiewa je postać kozaka przed mapą, odrabującą „Zakerzonie” szabłą od terytorium zachodniej części zminiaturyzowanej „Polski”. Bardziej uświadomieni przypominają sobie i rozumieją, dlaczego jeden z nadrejonów OUN w ziemi przemyskiej nosił od 1945 r. nazwę „Chołodnyj Jar”, czyli nazwę wioski pod Czechryniem, z której Żeleźniak poprowadził swoich hajdamaków na Humań, a także dlaczego na północ od Przemyśla operował kureń „Żeleźniak”, czczony dziś w Hruszatykach. Treść przekazu kabaretu oddaje dosłownie postulat głoszony do dziś przez skrajnie nacjonalistyczne organizacje na Ukrainie – „Pamiętaj Lasze, że po Wisłę nasze”. To rewizjonizm czystej próby. Czy można to ważyć lekce? Czy jest to temat do śmiechu? Czy organizacje kresowe nie powinny napiętnować **jednomyslnie** tych tzw. „żartów” z przelanej krwi Kresowian? Wszak Humań na mapie symbolizuje także Hutę Pieniacką, Przebraże i tysiąc innych miejscowości o tym samym losie – zagłady totalnej Polaków. „Nasze Słowo” podnosi na duchu rewizjonistów, za dobry żart uważa rzeź humańską i nowy rozbiór Polski, wieszczy sposób odzyskania „Zakerzonii”. Postawcie wreszcie temu **wspólnie** tamę. Ten krzyk wyśmiewanego Humana i wołającego o pamięć i modlitwę symbolicznego „Wołynia” to ostatnie wezwanie do zjednoczenia Kresowian. Nie dajcie go w sobie zagłuszyć personalnymi uprzedzeniami! Pamiętajcie też o tym, że do rzeczywistego pojednania z narodem ukraińskim niezbędna będzie jedna dłoń.

Przypisy

1) Doświadczili tego kombatanCI 27 Dywizji AK w roku ubiegłym.

2) Jak donosi Mirosław Łewyckij w Nr. 41 Naszego Słowa (z 11.10.98), konsul polski ze Lwowa „był zmuszony oświadczyć przedstawicielom mass mediów Ukrainy, że na

nagrobkach memoriału nie będzie napisów, jakie mogłyby obrazić narodowe poczucie Ukraińców... Fakt, że na odnowionym memoriale nie będzie napisów na kształt „Obrońcom Lwowa”, co może wywołać niezdrowe insynuacje wśród części polskiego społeczeństwa co do swojego Prezydenta, jest jeszcze jednym świadectwem tego, że prezydent Polski z powagą podchodzi do ukraińskiego Kolegi. Przecież przy zachowaniu tych napisów Leonid Kuczma nie miałby co ofiarować Haliczanom za poparcie w prezydenckich wyborach. Stąd są wszelkie podstawy by uważać, że ugaszono kolejne napięcia wokół Cmentarza Łyczakowskiego”.

3) Bardzo ogólnie opisuje tę sytuację A. Zięba

„Większość liderów ukraińskich w Polsce, mimo deklarowanej lojalności wobec idei współpracy polsko-ukraińskiej, w istocie rzeczy reprezentuje bardzo egocentryczny i roszczeniowy program polityczny, obliczony wyłącznie za zadośćuczynienie swych krzywd historycznych. Prasa tej grupy koncentruje się na problemach konfliktowych... Prezentacja kultury... zajmuje marginalne miejsce w działaniach podejmowanych przez organizacje ukraińskie w Polsce”. (Arcana, Nr 20, 2 (1998))

4) Zwróciła na to uwagę nawet Greko-Katolicka Metropolia w Przemyśle w piśmie do Redaktora Naszego Słowa (zamieszczonym w Nr. 12 z 22.03.98): „Z wielkim niesmakiem i zdziwieniem odbieramy, ..., pewne publikacje zamieszczone na stronicach kilku ostatnich numerów waszego Tygodnika ... Czy redaktor „NS” życzy sobie, żeby jeden biskup krytykował Polaków, a drugi Ukraińców? Dokąd nas to doprowadzi Panie Redaktorze? Czy dziennikarze czekają na sytuację konfliktu, żeby przyjechać do Przemyśla?”

Od Redakcji: referat wygłoszony w dn. 6.II.1999 r. w Warszawie na zebraniu Ogólnopolskiego Komitetu Obchodów 55 Rocznicy Zbrodni Nacjonalistów Ukraińskich na Wschodnich Terenach RP

Zbigniew Umański

Kronika Kresowa

Do 2001 roku

W ciągu trzech lat mają być rozstrzygnięte i załatwione kwestie związane z polskimi miejscami pamięci na Ukrainie i ukraińskimi w Polsce – taki protokół podpisali 13 marca br. w Warszawie: min. Wołodmyr Husakow, w imieniu ukraińskiej Państwowej Komisji ds. Upamiętnienia Ofiar Wojen i Represji Politycznych oraz min. Andrzej Przewoźnik, w imieniu Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.

Prace nad tym protokołem trwały od ub. roku, gdy lwowskie władze wstrzymały odbudowę Cmentarza Orląt. Jest to pierwszy dokument wypracowany przez instytucje odpowiedzialne – w imieniu rządów obu państw – za problemy grobów, cmentarzy wojennych i miejsc pamięci. Nakłada na obie strony konkretne zobowiązania: konsultowania się cztery razy do roku, wymianę informacji na temat zmian w prawodawstwie. Na rozstrzygnięcie kwestii upamiętnienia ofiar wojen i represji na Ukrainie i w Polsce protokół daje czas do 2001 roku.

Polskie sprawy na Ukrainie wyszczególnione w dokumencie to: Cmentarz Łyczakowski we Lwowie (upamiętnienie polskich powstańców 1831 i 1863 r.); upamiętnienie i

uporządkowanie kwater i grobów żołnierzy polskich poległych w walce z bolszewikami w 1920 r. (Rudnia Baranowska, Nowy Dorohiń, Brody, Cmentarz Janowski, Stryj, Równe, Zdobudów, Ostróg, Radziwiłłów); uporządkowanie grobów żołnierzy WP i Polaków poległych w 1939 r. (Zboiska, KOmarno, Dublany, Burgthal, Morańce); uporządkowanie masowych mogił ofiar pomordowanych w latach 1943-44 na Wołyniu (Przebraże, Ostrówki, Wola Ostrowiecka, Poryck, Zagaje, Orzeczyn), w obwodzie lwowskim (Hanaczów, Huta Pieniacka), tarnopolskim (Kołodno); upamiętnienie miejsc ofiar zbrodni NKWD, m.in. w Charkowie i Bykowni.

Strona ukraińska zamierza zająć się uporządkowaniem grobów Ukraińców zmarłych po 1920 r. w obozach, odszukaniem i upamiętnieniem poległych w latach 1944-46 oraz miejsc pochówku ludności cywilnej, która zginęła w wyniku akcji odwetowych w latach 1945-46.

Na konferencji prasowej min. Husakow nie ukrywał, że będą problemy z realizacją porozumienia, szczególnie z odbudową Cmentarza Orląt i ta sprawa wymaga dodatkowego, oddzielnego rozstrzygnięcia. Min. Przewoźnik powiedział „Życiu”: – Nie możemy się zgodzić na pomysły strony ukraińskiej zawężenia prac, ingerencji w architekturę. Niektóre ukraińskie żądania zmierzają wręcz do zafałszowania historii. Obaj jednak ministrowie mają nadzieję, że protokół podpisany w Warszawie pomoże w rozstrzygnięciu konfliktu.

tu wokół tego cmentarza. Min. Husakow poinformował, że w ciągu miesiąca będzie można ponownie rozpocząć przewrany prace na Cmentarzu Orłąt. Zapytany przez dziennikarza, czy będzie odbudowany do 13 maja, jak ustalili prezydenci Ukrainy i Polski, na ich spotkanie we Lwowie? – odpowiedział: – Jako budowlaniec mogę jedynie powiedzieć, że nawet gdyby prace rozpoczęto w ubiegłym miesiącu, realna data zakończenia ich to nie maj, ale koniec roku...

Czy my, pamiętający jeszcze Cmentarz Orłąt, doczekamy się jego odbudowy?

Forum Organizacji Kresowych

W Warszawie odbyło się 6 lutego br. Forum Organizacji Kresowych działających w kraju. Obradom przewodniczył Jan Niewiński. W imieniu organizatorów spotkania referat pt. „Ruch kresowy i perspektywy jego rozwoju” wygłosił Jan Engelgard, a prof. Janusz Kotlarczyk wezwał do zjednoczenia Kresowian. Forum podjęło uchwałę o powołaniu Rady Konsultacyjnej Istniejących i Autonomicznych Organizacji Kresowych i Kombatanckich. Radę tworzą przedstawiciele tych organizacji. Rada będzie mogła reprezentować uzgodnione ze swoimi organizacjami stanowisko wobec władz i instytucji w Polsce.

Forum upoważniło Ogólnopolski Komitet Obchodów 55 Rocznicy Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów na Ludności Polskiej do kontynuowania prac organizacyjnych do czasu ukonstytuowania się władz Rady Konsultacyjnej. Uczestnicy Forum uchwalili jednogłośnie apel do parlamentarzystów RP o zadośćuczynienie wysuwany od lat postulatom środowisk kresowych i nazwanie z trybuny sejmowej zbrodnią okrutne mordy dokonane przez Ukraińską Powstańczą Armię na ludności polskiej na Wołyniu, Podolu, nad Sanem i na Lubelszczyźnie. Ukrywanie, przemilczanie i zamazywanie udokumentowanej prawdy o tym ludobójstwie – winno być uznane za współdziałanie ze sprawcami tych zbrodni.

Sygnatariusze apelu w pełni poparli Apel 95 deputowanych parlamentu Ukrainy z sierpnia 1996 r. (publikowaliśmy w „SF” – przyp. red.) o potępienie zbrodni OUN-UPA i powołanie międzynarodowej komisji, której decyzje mogłyby powstrzymać dalszy rozwój działalności spadkobierców OUN-UPA.

„Nie my – to oni”

Na łamach „Rzeczpospolitej” ukazał się wywiad z przewodniczącą Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Kongresu Ukraińskich Nacjonalistów Sławą Stećko, mieszkającą obecnie w Kijowie. S. Stećko była żoną Jarosława Stećko, bliskiego współpracownika Stefana Bandery i jego następcy na stanowisku szefa OUN, przebywającego po wojnie w Niemczech. Po śmierci męża Sława Stećko została szefem OUN. W 1991 r. wróciła na Ukrainę, gdzie objęła funkcję, powstającą z inicjatywy OUN, Kongresu Ukraińskich Nacjonalistów.

Na pytanie dziennikarza „Rzeczpospolitej”: skąd problem Cmentarza Orłąt, skoro stosunki polsko-ukraińskie są dobre? Czemu doszło do aktów wandalizmu na polskim cmentarzu wojskowym we Lwowie? odpowiedziała: – Lwów to „Piemont” ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego i dlatego cała wroga niepodległej Ukrainie agentura została skierowana właśnie tam... Właśnie tam koncentruje swe wysiłki w celu osłabienia i rozbicia ukraińskich nacjonalistów. Myślę, że rosyjskiemu wywiadowi nie podoba się rozwój do-

brych stosunków między Polską i Ukrainą. Dlatego Rosjanie próbują prowokować. To na pewno była prowokacja...

Dziennikarz „Rz” zapytał jeszcze: – Przed waszą siedzibą, a mieści się ona naprzeciwko polskiej ambasady, demonstrowała w ub. roku UNA-UNSO (radikalna ukraińska organizacja – przyp. red.) domagając się oddania Ukrainie Przemysła i Chełma? Przewodnicząca OUN odpowiedziała: – Nie słyszałam o tym! My z OUN nie mamy z tym nic wspólnego. Myślę, że ktoś ich prowokuje...

Oczywiście nie widzieli, nie słyszeli, ale wiedzą: zrobili to „oni”...

Będzie muzeum J. Słowackiego

Polsko-ukraińska fundacja „Most”, działająca pod patronatem premierów Polski i Ukrainy, zajmie się ratowaniem zabytków na Kresach – to jedno z najważniejszych postanowień spotkania polskich i ukraińskich konserwatorów zabytków, które odbyło się w Kijowie. Polska i Ukraina wymieniły listy intencyjne w tej sprawie.

Jeszcze w tym roku powstanie muzeum Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu. W dworku, gdzie urodził się nasz wielki poeta. Obecnie mieści się w nim biblioteka jego imienia – będzie przeniesiona w inne miejsce. Pomoc w urządzeniu muzeum w zabytkowym dworku – o co zabiegali od lat miejscowi Polacy – zadeklarował warszawski Instytut Dróg i Mostów. Delegacja polska przeprowadziła w Kijowie także wstępne rozmowy w sprawie otwarcia innych jeszcze muzeów. Chcemy, aby w Berdyczowie, gdzie urodził się i spędził dzieciństwo Józef Korzeniowski powstało muzeum Josepha Conrada, a w Drohobyczu – muzeum poświęcone pamięci Brunona Schulca.

Jednym z najcenniejszych zabytków Kamieńca jest most rzymski – najdalej położona na wschód Europy konstrukcja tego typu. Most zbudowano w średniowieczu, wymaga remontu. Zajmie się tym fundacja „Most”, także innymi zabytkami w Kamieńcu.

Dobrze służy parafianom...

... Parafialny Dom Polski w Stanisławowie, wzniesiony dwa lata temu dzięki ofiarności obecnych i byłych mieszkańców grodu Rewery przy kościele p.w. Chrystusa Króla. Mieszczą się tu pięcioklasowa szkoła polska, bogata biblioteka, sala, w której organizowane są występy artystyczne i wystawy. Działa fakultet j. polskiego. Czynna jest tu także apteka oraz przychodnia zdrowia, którą zorganizowali członkowie przyparafialnego Koła Lekarskiego, powstałego w grudniu ub. roku. We wtorki, środy i czwartki od godz. 17 lekarze-parafianie przyjmują parafian, którym coś dolega. Porad lekarskich udzielają, badają p. Zdzisława Kozak, doktor-ginekolog p. L. Ryszko. W gabinecie stomatologicznym przyjmują p. Irena Remacka-Stefaniuk, p. Danuta Turozmanowicz oraz studiująca na Akademii Medycznej w Lublinie p. Irena Kozak.

Od 1 lutego br. działa tu Polska Wspólnota Katolicka im. F. Karpińskiego. Ma powstać Koło Nauczycielskie, galeria Sakro-Art, a przy niej Koło Bractwa Miłośników Sztuki, które poprowadzi artysta plastyk Michał Dejnego. Parafialny Dom Polski w Stanisławowie jest placówką otwartą – przyjmuje każdego, kto chce uczestniczyć w jego działalności, zarówno Polaków jak i Ukraińców.

W tym roku parafia p.w. Chrystusa Króla będzie obchodzić 10-lecie powstania. Proboszcz ks. Kazimierz Halimurka może być dumny co zrobiono w tym okresie w parafii – dla parafian.

Przyjaciel lwowiaków

Nie jest lwowiakiem, ale sercem i duszą oddany jest wrocławskiej lwowskiej hebrze, a Klub Muzyki i Literatury we Wrocławiu, któremu dyktuje od 35 już lat, jest dla nich zawsze gościnnie otwarty. Tu od lat odbywają się lwowskie „opłatki”, kolędowania, wieczory autorskie i koncerty kresowych poetów i bardów, konkursy,

wystawy, degustacje itp., organizowane wspólnie przez dyr. Stefana Placka i Koło Nauczycielskie TMLiKPW. Zawsze wśród kwiatów, blasku świec i starych instrumentów muzycznych. W takiej też scenerii obchodzono 70-lecie Stefcia.

Dołączamy się do serdecznych życzeń i „Stu lat”. Daj Ci Boży zdrowi!

Halina Bogucka

Bliżej Mickiewicza

Impreza została zorganizowana przez nasz Oddział i Wojewódzką Bibliotekę Publiczną im. J. Lelewela w Koszalinie i obejmowała konkurs ze znajomości utworów A. Mickiewicza i Wystawę Pomników Wieszczów. Wybrane przez nas 50 fragmentów dzieł opublikowała miejscowa prasa. Należało podać tytuły wierszy, z których pochodziły urywki. Wpłynęło 250 rozwiązań, w tym 75 prawidłowych. 20-go listopada 1998 w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej odbył się finał konkursu. W dodatkowym sprawdzianie pisemnym i odpowiedziach ustnych wyłoniono laureatów w dwóch kategoriach: szkół podstawowych i ponadpodstawowych.

Równolegle w hallu Biblioteki była czynna wystawa „Pomniki Wieszczów”, przygotowana przez H. Bogucką. Kolorowe i czarno-białe fotografie 30-stu pomników – głównie z Kresów – wraz z opisami zostały wyeksponowane w gablotach. Wystawa wzbudziła zainteresowanie młodzieży i nauczycieli, którzy opiekowali się uczniami podczas imprezy. Zwiedzającym najbardziej podobał się nasz lwowski „Pan Adam” – niektórzy widzieli go po raz pierwszy. Wy-

stawa była jedyną prezentacją pomników Wieszczów w Roku Mickiewiczowskim na terenie Koszalina.



Fot. T. Zawadzki

Przed konkursem: w środku: H. Bogucka, z prawej i lewej – organizatorki z ramienia Biblioteki.

WŚRÓD KSIĄŻEK

*** Nowość wydawnicza ***

Biblioteka „Wołania z Wołynia” t. 6

Tadeusz Kukiz,

„Wołyńskie Madonny

i inne obrazy sakralne z diecezji łuckiej”,

Biały Dunajec 1998



„Sanktuaria Maryjne w Polsce i na Ukrainie oraz w wielu innych krajach są żywym pomnikiem wiary, nadziei i miłości do Matki Boga i ludzi. Wiele takich miejsc było i na Wołyniu. Dlatego kolejny tom Biblioteki „Wołania z Wołynia” poświęcamy Wołyńskim Madonnom i innym obrazom sakralnym pochodzącym z diecezji łuckiej

Dziękujemy dobremu Bogu, że po tylu latach prześladowań, zniszczeń i programowej ateizacji odradza się Kościół rzymskokatolicki na Ukrainie. Nowe życie rozpoczęły sanktuaria w Latyczowie i Berdyczowie. Katedra w Łucku ma nareszcie swego Biskupa. Odradza się poszczególne parafie. Wiele jednak świętych miejsc, sanktuariów, zostało bezpowrotnie zniszczonych.

Większość przedstawionych przez Autora obrazów została w wyniku dramatycznych wydarzeń wojennych wyrwana z ich naturalnego środowiska, jakim była Ziemia Wołyńska. Ufam, iż opowieść o poszczególnych obrazach, ich historii i obecnym oddziaływaniu oddstawi nam przebogata i piękna kartę z naszych dziejów” - czytamy w przedmowie ks. Witolda Józefa Kowalowa.

„Wołyńskie Madonny” to swego rodzaju przewodnik po dawnych sanktuariach Wołynia, ubogacony 62 ilustracjami, bibliografią oraz skorowidzami nazw osobowych i geograficznych. Całość pracy obejmuje 212 stron tekstu.

Książkę „Wołyńskie Madonny” można nabyć (w cenie 15,- zł + porto) zamawiając pod adresem:

Ośrodek „Wołanie z Wołynia”, skr. poczt. 9, 34-520 Poronin

*** Nowość wydawnicza ***

Biblioteka „Wołania z Wołynia” t. 7

Ks. Witold Józef Kowalów,

„Zmartwychwstały Kościół”, cz. 1

Biały Dunajec 1998



Kolejna pozycja z serii Biblioteka „Wołania z Wołynia” stanowi wystąpienie, nieco poszerzone i wzbogacone 94 fotografiami, wygłoszone na sympozjum „Polacy i Kościół rzymskokatolicki na Wołyniu w latach 1918-1997”, które w dniach 9-10 grudnia 1997 roku odbyło się na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Organizatorami tego sympozjum byli: Katedra Historii Kościoła XIX-XX w. KUL, II Katedra Historii Nowożytnej KUL, Towarzystwo Przyjaciół Krzemienia i Ziemi Wołyńsko-Podolskiej, Towarzystwo Miłośników Wołynia i Polesia, Stowarzyszenie „Civitas Christiana” Ośrodek Wschodni i Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” Oddział w Lublinie. Sympozjum towarzyszyła wystawa zorganizowana wspólnie z Biblioteką Uniwersytecką KUL pt. „Wołyn - ocalić od zapomnienia”.

Ks. Witold Józef Kowalów w wzięty sposób ukazał odrodzenie Kościoła Rzymskokatolickiego w obecnym dekanacie rówieńskim (diecezja łucka na Ukrainie). Pierwszą parafią odrodzoną w diecezji łuckiej w 1989 roku, po latach prześladowań wiernych i niszczenia świątyni, była wspólnota w Ostrogu nad Horyniem. Dziś w samym dekanacie rówieńskim jest...czternaście parafii.

W zakończeniu swej książki ks. Kowalów dokonał oceny sytuacji religijno-pastoralnej w diecezji łuckiej. „Perspektywy rozwoju i pracy Kościoła Rzymskokatolickiego na Wołyniu są ogromne, ale niestety bardzo ograniczone (...). Ufam, iż przedstawione fakty i liczby obrazujące obecną sytuację Kościoła na Równieżczyźnie, już wkrótce będą nieaktualne. Życie dopisze nowe wydarzenia i przyniesie nową treść” - pisze wołyński duszpasterz.

Książkę „Wołyńskie Madonny” można nabyć (w cenie 10,- zł + porto) zamawiając pod adresem:

Ośrodek „Wołanie z Wołynia”, skr. poczt. 9, 34-520 Poronin

Jerzy Petryński

W ubiegłym roku ukazał się drugi tom autobiograficznej opowieści **Mieczysława Waclawskiego pt. „LIBERKA”**. Przypomnijmy, że w pierwszym tomie tej książki autor opisał swoje dzieciństwo we Lwowie w czasach przedwojennych oraz pod okupacją sowiecką i niemiecką, a następnie swój wyjazd do Niemiec i brawurową nocną ucieczkę przez jezioro Bodeńskie do Szwajcarii, skąd udało mu się przedostać do Włoch i wstąpić w szeregi 2 Polskiego Korpusu pod dowództwem gen. Andersa. Po zakończeniu wojny przenieśli go do Wielkiej Brytanii, gdzie uzupełnił swoje wykształcenie i z której wrócił do rodziny w Polsce w 1948 roku. I tu zaczyna się opowieść o jego dalszych losach w PRL, zawarta w drugim tomie. Opisuje szczegółowo swoje

ryzykowne perypetie z władzami komunistycznymi, a co dla nas najbardziej interesujące – swoje dwie wyprawy do rodzinnego Lwowa. Wręcz sensacyjna jest relacja z jego wyjazdu do Ameryki na początku 1982 roku, a więc w czasie trwania stanu wojennego. Nie mając ani ważnego paszportu, ani amerykańskiej wizy, dzięki własnej pomysłowości, sprytności i elokwencji przeszedł wszystkie kontrole graniczne bez jakichkolwiek adnotacji w paszporcie ważnym jedynie na kraje europejskie.

Książka daje równocześnie obraz naszej powojennej historii aż do czasów „Solidarnościowej” niepodległości. Napisała ją dobrą językiem, akcje toczą się wartko. Do czytania „jednym tchem” – starszym dla przypomnienia, młodszym dla nauki.

(Mieczysław Waclawski: „LIBERKA 2”, 1988)



Marcin Tchórzewski

Ks. Zygmunt Hałuniewicz, Zostaje tylko pamięć... Listy z łagrów 1947-1953. Opracowanie, wstęp, przypisy, indeksy oraz wybór fotografii Józef Wołczański, cz. 1: Lwów-Kraków 1998, ss. 398 + 1 fotografia + facsimile listów; cz. 2: Lwów-Kraków 1999, ss. 223 + 1 fotografia + facsimile listów. WYDAWNICTWO BŁ. JAKUBA STRZEMIĘ ARCHIDIECEZJI LWOWSKIEJ OB. ŁAC.

W nurcie literatury poświęconej historii martyrologii Polaków z rąk sowieckich na Kresach Wschodnich po II wojnie światowej ukazała się dwuczęściowa publikacja źródłowa, przynosząca kilkadziesiąt listów pisanych przez rzymskokatolickiego kapłana polskiej narodowości z łagrów sowieckich. Ks. Zygmunt Hałuniewicz (1889-1974) był kancleżem Kurii Metropolitalnej ob. łac. we Lwowie w latach 1921-1945. Aresztowany przez NKWD 26 XI 1945 r. we Lwowie, po męczącym śledztwie i marionetkowym procesie sądowym został skazany na 10 lat łagrów, 5 lat pozbawienia praw publicznych oraz konfiskatę mienia. Karę odbywał w Donbasie, Karelii oraz Jarosławskiej obłasti, pracując m. in. w kamieniołomach, pracowni szewskiej, dozoru magazynu żywności itp. Zwolniony z łagrów 29 IV 1955 r. powrócił do Lwowa, pełniąc do śmierci posługę duszpasterską wśród katolików obrządku łacińskiego i grekokatolickiego. Po śmierci został pogrzebany na Cmentarzu Janowskim we Lwowie.

Przez dziesięć lat odosobnienia w łagrach jedyną formą kontaktu ze światem były dla ks. Hałuniewicza listy. Wytrzymała i pełna poświęcenia korespondentką okazała się jego kuzynka Wanda Kurkowska zamieszkała we Lwowie, która wyprawiając najbliższą rodzinę do Polski pozostała świadkiem w tym mieście po 1945 r. w celu niesienia pomocy krewniakowi. Równolegle z listami organizowała wysyłkę paczek żywnościowych, dzięki którym zesłaniec przetrwał gehennę łagrów.

Publikowane listy ks. Hałuniewicza do Wandy Kurkowskiej (niestety, nie zachowała się odwrotna korespondencja) stanowią prawdziwy unikat w literaturze historycznej. Przynoszą bowiem zawaalowany wprowadzić skutek obozowej cenzury ale wyraźnie czytelny obraz rzeczywistości łagrowej, widzianej oczyma katolickiego kapłana. Zasadniczy zrab owych dokumentów stanowią prozaiczne acz o pierwszorzędnej wadze dla egzystencji zesłańcy problemy aprowizacji, odzieży i najbardziej niezbędne przedmioty codziennego użytku, za które dziękował lub o które prosił ks. Hałuniewicz Wandę Kurkowską. Nie mniej czytelny wątek listów traktuje o sytuacji duchowo-religijnej skazańcy, jego nadziejach i zwątpieniach, marzeniach o wolności przeżywaną w ukochanym Lwowie wśród bliskich, reakcjach na piękno budzącej się z okowów północnej zimy przyrody na wiosnę, reminiscencjach dawnych przeżyć rodzinnych i religijnych. Z pozostałych dziś kart listów wyłania się sylwetka znękanego przez niespodziewane doświadczenie człowieka, który choć przeżywa rozterki i chwilowe utraty nadziei, to jednak zachował niezłomne przekonanie o celowości znoszenia cierpienia z motywów nadprzyrodzonych. Głęboka religijna wiara w Boga pozwoliła mu ocalić własne człowieczeństwo i szanować je we współwyznaniach. Przez swoją postawę wyrozumiałości, altruizmu i cierpliwości wywoływał wśród otoczenia pragnienie niesienia mu pomocy oraz głęboki szacunek.

Planowana część trzecia publikacji przyniesie – obok ostatniej partii listów – bardzo bogaty wybór fotografii zarówno z życia ks. Hałuniewicza, jak innych osób duchownych i świeckich występujących na kartach książki.

Kolportaż drogą pocztową prowadzi: Wydawnictwo bł. Jakuba Strzemię Archidiecezji Lwowskiej ob. łac., ul. Kanoniczna 13, 31-002 Kraków, tel 0/12 411 37 40.



Jerzy Petryński

„LWÓW” – pierwszy polski statek szkolny

*Jedyn lwowski majtyk bajtłował dziwczyni,
Ży jak pud żaglami „LWÓW” wychodził z Gdyni
Tu taki mu wiatyr
Dmuchał na farwatyr,
Ży w jednyj chwyleczy znalaz si w Lundyni!*

Niemal natychmiast po odzyskaniu niepodległości rząd przystąpił do organizowania polskiej żeglugi morskiej. Zacząć trzeba było od zera, gdyż nie było ani floty, ani ludzi morza. Nie zwlekając, marynarka wojenna pod kierownictwem admirała Kazimierza Porębskiego otworzyła Szkołę Morską w Tczewie. Wykładowców Polaków ściągnięto z państw ościennych; większość z

nich zgłosiła się zresztą ochoczo sama. Musieli oni wziąć na siebie ciężar nauczania w języku polskim, którym nie władali perfekcyjnie i w którym brak było polskiej terminologii morskiej, a do tego jeszcze trzeba się było przyzwyczajać do własnej tożsamości w nowej dla nich rzeczywistości polskiego państwa. Że nie było to łatwe, niech świadczy przykład oficera Polaka po carskiej szkole morskiej w Petersburgu, który tak przemawiał do adeptów: „Polska, ojczyzna nasza, była dotąd podzielona na trzy nierówne połowy; jedną wzięli Niemcy, drugą Austriacy, a trzecią – my.” Niezależnie od tego, byli to świetnie wyszkoleni fachowcy, jako że carska szkoła morska w Petersburgu była uczelnią na wysokim poziomie.

Pierwszym dyrektorem Szkoły Morskiej w Tczewie został inż. Antoni Garnuszewski, który zaczął się rozglądać za jakimś szkolnym okrętem niezbędnym dla przygotowania przyszłych polskich załóg. W lipcu 1920 roku kapitan Gustaw Kański znalazł taki okręt w Holandii. Uznano, że po pewnych przeróbkach będzie on odpowiadał potrzebom Szkoły, a i jego cena nie przekraczała możliwości finansowych marynarki wojennej. Była to trzymasztowa fregata o żelaznym kadłubie, zbudowana w 1868 roku w angielskiej stoczni G. R. Clover Co. w Birkenhead. Pierwotnie nosiła nazwę „CHINSURA” i pod banderą angielską przewoziła towary i pasażerów do Indii i Australii. W 1915 roku przeszła pod banderę holenderską zmieniając nazwę na „LUCCO”, a następnie „NEST”.

Po sfinansowaniu transakcji fregatę wyremontowano w rotterdamskiej stoczni i przebudowano na statek szkolny, m. in. usuwając reje z tylnego masztu i wbudowując dwa pomocnicze silniki napędowe. I tak powstał okazały żaglowiec z głównym masztem wysokim na 42 metry.

Ten pierwszy polski statek szkolny otrzymał nazwę „LWÓW”.

Sprowadzono go do Gdyni, gdzie na redzie podniesiono i poświęcono polską banderę. Przypisany został do portu w Gdańsku.

Pierwszym kapitanem „LWOWA” został Tadeusz Ziółkowski (1920-1923), po nim dowództwo objął Mamert Stankiewicz (1923-1927), a trzecim i ostatnim był Konstanty Maciejewicz (1927-1930).

Tu warto przypomnieć, że w okresie dowodzenia „LWO-WEM” przez kpt. Mamerta Stankiewicza (autora książki „Z floty carskiej do polskiej”) jednym z marynarzy na tym statku był Karol Olgierd Burhardt, późniejszy I oficer na „DARZE POMORZA” i autor znanej powieści morskiej „Znaczący kapitan”. Jego kajuta zachowała się w oryginale na „DARZE POMORZA” zamumowanym w Gdyni przy Nabrzeżu Kościuszkowskim jako statek-muzeum.

W 1922 roku „LWÓW” wyruszył w swoją pierwszą szkolną podróż wioząc pełny ładunek drzewa do Birkenhead – miejsca swoich narodzin. Ten rejs zapoczątkował szereg dalszych podróży szkolno-handlowych do portów Bałtyku, Morza Północnego, Śródziemnego, Czarnego i Atlantyku.

Najbardziej jednak znaczącą podróż odbył „LWÓW” pod dowództwem kpt. Ziółkowskiego, mianowicie 23 maja 1923 roku wyruszył przez Atlantyk do Brazylii. Wiózł tam polskie towary (m. in. sławne wódki Baczewskiego) którymi opiekował się pan Jawec, uprzedni pracownik Targów Wschodnich we Lwowie. Pokonując na oceanie i ciszę i sztorm „LWÓW” jako pierwszy w historii statek pod polską banderą przekroczył równik i 7 września zacyumował w Rio de Janeiro. Cała podróż trwała 70 dni. Ogromna była radość i duma polskiej kolonii w Brazylii, a pod względem propagandowym trudno to wydarzenie przecenić.

W drodze powrotnej na wysokości Kanału Angielskiego (który Francuzi z uporem maniaków nazywają La Manche) „LWÓW” przetrwał zwycięsko jeden z najcięższych sztormów. Do Gdyni jednak nie dotarł z powodu zamarzniętego Bałtyku i musiał przezimować w Cherbourgu. Po remoncie w tamtejszej stoczni dowództwo objął kpt. Mamert Stankiewicz.

Po tej historycznej podróży „LWÓW” służył jeszcze przez siedem lat jako okręt szkolno-handlowy, szkoląc kolejne roczniki polskich marynarzy i przepływając w czasie swej służby ponad 63 000 mil morskich.

W 1930 roku nadszedł nieuchronny kres. Statek miał już 62 lata i trzeba go było z żalem oddać na złom. Zastąpiła go Biała Fregata – „DAR POMORZA”. Ale „LWÓW” był pierwszy! □

Henryk Stanisław Hordt

Pierwsza okupacja sowiecka we Lwowie (c.d.)

Życie codzienne było pełne stresów, przede wszystkim z powodu obawy przed niespodziewanym aresztowaniem lub przed wywózką na Wschód. Z żalem przypominam sobie piętnastoletniego, dobrze znanego mi kadeta Władysława Ostaszewskiego, który za jakąś błahostkę został aresztowany, pobity i w końcu zamordowany. Takich przypadków było mnóstwo. Z przerażeniem dowiadywaliśmy się o zesłaniach naszych znajomych, zwłaszcza żon oficerów. Kiedy w nocy przejeżdżało jakieś auto, szybko podchodziłem do okna, aby sprawdzić, czy zatrzyma się przed domem. Zdaje mi się, że przed wywózką ochroniła nas nasza córka, sześciolatek wówczas dziecko. Kiedyś przyszedł do nas późnym popołudniem jakiś facet w cywilnym ubraniu, o dość przyzwoitej powierzchowności z zapytaniem, czy może z nami porozmawiać. Przeczując kto to jest i po co przyszedł, zaprosiłem go do stołu, a żona podała coś do przekąszenia i wódkę. Spędził u nas długi czas wypytyując o różne rzeczy, co utwierdziło mnie w moim podejrzeniu co do celu tej wizyty. Córka bardzo odważnie z nim rozmawiała, co nas niezmiernie zadziwiło, bo nie spodziewaliśmy się, że tak dobrze zna

język rosyjski. Bawił się z nią zabawkami, a ona wypytywała go, czy ma dzieci itp. Powiedział, że ma też córkę w jej wieku, ale nie może z nią przyjść, bo ona mieszka bardzo daleko. Na pożegnanie powiedział: „No to żywotie spokojno”. Pytałem znajomych Żydów, co o tym sądzą. Uspokoili mnie mówiąc, że jego słowa znaczą, że mogą spać spokojnie. Mimo to miałem pod fortepianem trzy walizy wypełnione ubraniami, środkami żywności, dokumentami i przybarami fotograficznymi.

Utrapieniem były długie kolejki ustawiające się przed sklepami. Ażeby kupić bochenek chleba, trzeba było stać nieraz kilka godzin w zimie na mrozie. Tak samo było z zakupem mąki, cukru itp. W dalekich okolicach ZSRR po buciki trzeba było stać w kolejce w dzień i w nocy przez kilka dni, a po materiał na ubranie czy płaszcz przez kilka miesięcy.

Jeszcze z początkiem wojny były nasze sklepy i magazyny doskonale zaopatrzone we wszelkiego rodzaju towary, ale wraz ze zjawieniem się Sowietów wszystko zaczęło szybko znikać. Magazyny opustoszały, bo żołnierze sowieccy kupo-

wali wszystko, co się dało; zanosili naręczami towary do domu i natychmiast szybko wracali do sklepów po nowe zakupy, podczas gdy my ze zdziwieniem i dezaprobatą przypatrywaliśmy się temu, zamiast pójść w ich ślady. Widziałem kiedyś w sklepie z obuwiem korpulentną żonę pułkownika, która przymierzała buciki. Po zdjęciu walonek i onuc zakupiła meszciki nr 35. W naszym sąsiedztwie mieszkała jakaś rosyjska lekarka – wracz – która początkowo chodziła w bluzie wojskowej, ale granatowa spódnica uszyta była z samych łąt, dosłownie łąta była na łącie. Sowieccy komandirzy (oficerowie) zaczęli chodzić w polskich eleganckich mundurach z sowieckimi dystynkcjami i orderami – dopóki nie nadszedł rozkaz zabraniający im tego.

Raz i mnie udała się gratka. W późne popołudnie szedłem ulicą Kętrzyńskiego do rodziców. Nagle zobaczyłem w bocznej ulicy przed sklepikiem z towarami spożywczymi kilkusobową kolejkę. Podeszedłem i pytam: „co tutaj dają?” Odpowiedziano mi, że cukier. Nie uwierzyłem, póki nie sprawdziłem. Kupiec sprzedawał go po 15 dekagramów w torebkach zwiniętych w trąbkę z gazety i nie interesował się tym komu sprzedaje. Przesypywałem go do większego worczka i w ten sposób uezbrałem kilka kilogramów cukru, którym podzieliłem się z rodzicami. Był to mój największy wyczyn kupiecki za sowieckich czasów.

Po wyjeździe bratowej do Generalnego Gubernatorstwa zarząd budynków dokwaterował do mego mieszkania kobietę, która podawała się za profesora języka ukraińskiego Uniwersytetu Lwowskiego. Ze zdziwieniem dowiedziała się, że Polacy mają swoją historię, a w klęskę sowietów w 1920 roku pod Warszawą nie chciała wierzyć. Ponieważ zachowywała się skandalicznie, więc wymówiłem jej mieszkanie. Na jej miejsce przysłano majora Seniutę, starszego, bardzo kulturalnego człowieka, który doskonale znał literaturę polską i bardzo dobrze mówił po polsku. Często z nim rozma-

wiałem, ale bardzo ostrożnie. Prawdopodobnie był enkawudzystą.

W początkowych miesiącach władzy sowieckiej miałem prawie codzienne, nachalne wizyty oficerów NKWD, którzy chcieli ażebym się przeprowadził, bo to mieszkanie jest im koniecznie potrzebne. Wiedziałem, że mnie, jako pracującego nauczyciela nie mogą z mieszkania ruszyć, więc niewiele sobie z nich robiłem. Wreszcie przyszedł do nas jakiś inteligentniej wyglądający mężczyzna, też w sprawie mieszkania. Podczas rozmowy przyjrzał mi się uważnie i powiedział, że widział moją fotografię na kilku tableau w radzieckiej szkole oficerskiej (w dawnym Korpusie Kadetów). Byłem zdziwiony jego spostrzegawczością, więc przyznałem, że rzeczywiście uczyłem tam matematyki jako nauczyciel cywilny. Porozmawialiśmy chwilę, pożegnał się bardzo uprzejmie, ale najciekawsze było to, że od tej pory nikt już nie nagabywał mnie o mieszkanie.

Takie było codzienne życie we Lwowie w czasie między początkiem wojny polsko-niemieckiej w 1939 roku, a sowiecko-niemieckiej w 1941.

W ostatnich dniach czerwca, już po rozpoczęciu działań wojennych Niemców przeciwko Związkowi Sowieckiemu szedłem wieczorem do domu na skróty od ulicy Pełczyńskiej przez ugory u podnóża starego cmentarza stryjskiego w kierunku ulicy Herburtów, a stąd miałem już kilka kroków do domu. Nagle wyskoczył zza drzewa jakiś krasnoarmiejec i z pistoletem na mojej piersi krzyknął po rosyjsku: „Stać! Ręce do góry! Dokąd idziesz?” Powiedziałem kim jestem i dokąd idę, więc puścił mnie. Dowiedziałem się, że w jednej z will przy ulicy Herburtów zamieszkał z początkiem wojny Chruszczow, który był wówczas sekretarzem Komunistycznej Partii Ukrainy.

Kilka dni później miałem przy skroni pistolet gestapowca. □

ZASŁUŻENI KRESOWIANIE

Wojciech Fuliński

Profesor Jacek Fuliński (1915-1998)



28 października 1998 r. zmarł we Wrocławiu prof. dr hab. inż. arch. Jacek Fuliński. Urodził się 6 stycznia 1915 r. we Lwowie, w rodzinie profesora Politechniki Lwowskiej Benedykta Fulińskiego. W latach 1921-1925 ukończył 4 klasy znanej szkoły powszechnej im. Marii Konopnickiej, mieszczącej się przy ul. Zielonej we Lwowie. Tamże w latach 1925-

1933 uczęszczał do 8-klasowego matematyczno-przyrodniczego I gimnazjum im. M. Kopernika przy ul. Kubali (boczna Piłsudskiego) we Lwowie. Wydział Architektury Politechniki Lwowskiej ukończył na wiosnę 1940 r. W okresie okupacji sowieckiej od 1940 roku pracował w wydziale architektury urzędu wojewódzkiego we Lwowie. Jacek Fuliński

był w 1939 i 1940 r. dowódcą małej grupy kurierów, przechodzących granicę rumuńską w rejonie miejscowości Kut, do ambasady polskiej w Bukareszcie. Była to informacyjna służba na trasie Lwów-Bukareszt. Niestety przed zajęciem przez Sowiety rumuńskiej Besarabii i Bukowiny w czerwcu 1940 r. na skutek dużej koncentracji wojsk sowieckich w rejonie Kut, dwaj jego kurierzy dostali się w ręce NKWD. Jeden z kurierów nie wytrzymał tortur. W wyniku tego Jacek Fuliński w listopadzie 1940 r. został aresztowany, ale szczęśliwie w czasie transportu na przesłuchanie zdołał uciec. Ukrył się w miejscowości powiatowej Bóbrka koło Lwowa w domu krewnej swego ojca.

W marcu 1941 r. przeniósł się do Lwowa, gdzie został ukryty na strychu domu swoich rodziców przy ul. Tarnowskiego 82. Z ukrycia wyszedł po zajęciu Lwowa przez Niemców 1 lipca 1941 r.

W okresie okupacji niemieckiej był naprzód ślusarzem budowlanym, a potem od wiosny 1942 r. dyrektorem technicznym wiedeńskiej firmy budowlanej Franz Karl Birchmann, mieszczącej się przy ul. Batorego 34. Jest w stałym

kontakcie z szefem wywiadu Okręgu Lwowskiego AK kpt. pilotem Mieczysławem Borodejem. Po ponownym zajęciu Lwowa w lipcu 1944 r. przez Sowiety, Jacek Fuliński jest znowu poszukiwany przez ten sam oddział wywiadu sowieckiego, co w okresie 1940-1941. Musi opuścić Lwów. Wyrabia sobie w komórce legalizacyjnej AK kenkartę (dowód osobisty z terenu GG) na nazwisko Jan Skuratowski (panieńskie nazwisko jego prababki) i w sierpniu 1944 r. ucieka do Przemyśla. Stamtąd już wiosną 1945 r. przenosi się na Górny Śląsk do Zabrza. Pracuje jako technik w firmie budowlanej inż. Edward Komarnicki (późniejszy profesor Akademii Rolniczej w Krakowie). W kwietniu 1946 r. Jacek Fuliński osiedla się na stałe we Wrocławiu już pod własnym nazwiskiem. W latach 1946-1948 jest kierownikiem działu budowlanego przedsiębiorstwa Polska Żegluga na Odrze. Odbudowuje wiele obiektów przemysłowych i mieszkalnych we Wrocławiu. Jednocześnie w okresie 1947-1948 jest starszym asystentem na Wydziale Architektury Politechniki Wrocławskiej. W latach 1948-1952 obejmuje stanowisko dyrektora technicznego, a później naczelnego, Biura Projektów Przemysłu Roszarniczego. Stuosobowy zespół tego biura odbudowuje i buduje kilkadziesiąt nowych fabryk przemysłu lekkiego, głównie na Ziemiach Zachodnich i Północnych Polski.

W 1952 r. J. Fuliński powraca do działalności naukowo-dydaktycznej jako adiunkt Wydziału Melioracji Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu. Wykłada geometrię wykreślną dla wszystkich oddziałów Wydziału Melioracji. W 1959 r. nostryfikuje na Politechnice Gdańskiej dyplom Politechniki Lwowskiej z 1940 r. Stopień doktora nauk technicznych uzyskuje w 1960 r. na Wyższej Szkole Rolniczej we Wrocławiu. Stopień doktora habilitowanego nauk technicznych uzyskuje w 1958 r. na wydziale Architektury Politechniki Wrocławskiej. Tytuł naukowy profesora otrzymał w 1985 r.

W działalności dydaktycznej zajmował stanowiska: w latach 1947/1948 starszego asystenta Politechniki Wrocław-

skiej, w latach 1952 r. do 1970 r. adiunkta Akademii Rolniczej we Wrocławiu, w okresie 1972 do 1984 docenta AR Wrocław, w latach 1972-1975 prodziekana Wydziału Melioracji Wodnych AR we Wrocławiu, w 1985 r. profesora nadzwyczajnego AR Wrocław.

Prof. Jacek Fuliński był kontynuatorem lwowskiej szkoły geometrii wykreślanej i teorii architektury. Jego działalność naukowa koncentruje się w trzech kierunkach.

1. Studia geometryczne poświęcone morfologii budownictwa wodnego.

2. Studia geometryczne nad morfologią przykryć powłokowych i prętowych.

3. Studia teoretyczne poświęcone wielościanom.

Prof. Jacek Fuliński jest twórcą nowej naukowej dyscypliny, którą nazwał „morfologią budownictwa”, czyli nauki o kształtowaniu przestrzeni. Ogłosił drukiem ponad 50 prac naukowych.

Prof. Jacek Fuliński podejmował szereg inicjatyw społecznych. Był w Komitecie organizacyjnym konferencji naukowej „Politechnika Lwowska Macierz Polskich Politechnik” i współautorem dwóch referatów na tej konferencji. Był współorganizatorem wielu zjazdów architektów wychowanków Politechniki Lwowskiej w różnych miejscach w Polsce. Był członkiem Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego, Polskiego Związku Inżynierów i Techników Budownictwa, Stowarzyszenia Architektów R.P., Polskiego Towarzystwa Geometrii i Grafiki Inżynierskiej.

Odnaczony był Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Złotą Odznaką Związku Nauczycielstwa Polskiego, Medalem Komisji Edukacji Narodowej. Został również wyróżniony tytułem honorowym Zasłużony Nauczyciel R.P.

Odszedł od nas Człowiek skromny, pogodny, wrażliwy, wybitny uczony i pedagog, wychowawca młodzieży akademickiej i kadry naukowej.

Pochowany został na cmentarzu parafialnym św. Rodziny we Wrocławiu. □

Kazimierz Rozmiłowski

Prof. Antoni Żebracki (1914-1998) Wspomnienie



W dniu 29 stycznia br. minęła pierwsza rocznica śmierci prof. dr. hab. Antoniego Żebrackiego, wielce zasłużonego nestora polskiej medycyny weterynaryjnej.

Postać Profesora tak opisuje jego uczeń prof. dr. hab. Tomasz E. Janowski: „Prof. A. Żebracki był człowiekiem nieprzeciętnym o niezwykle barwnej osobowości. Był człowiekiem o różnorodnych zainteresowaniach, wysokiej kulturze, nienagannych manierach, erudycji i

wspaniałym poczuciu humoru. Radością życia i optymizmem imponował do końca swoich dni, czym przyciągał do siebie wiele osób i wzbudzał podziw wszystkich, którzy go znali. Pogodę i hart ducha potrafił zachować, mimo ciężkich tragedii osobistych jakie go nie ominęły oraz licznych trudności zawodowych wynikających z nieakceptowania przez Profesora porządku społeczno-politycznego, jaki panował w kraju do 1989 roku. W pamięci współpracowników, studentów i licznych rzesz lekarzy weterynarii zapisał się jako wspaniały nauczyciel, człowiek o dobrym sercu, ceniący takie cechy jak odwaga, lojalność i prostolinijność. Najbliższych współpracowników nauczył odwagi naukowej, otwartości na świat oraz dążenia do ciągłego doskonalenia się. Potrafił przy tym stworzyć w zespole ciepłą atmosferę koleżeństwa, sympatii i przyjaźni przekraczającą znacznie granice życia zawodowego.”

Prof. A. Żebracki urodził się 22 września 1914 r. w Sanoku. Do szkoły powszechnej i gimnazjum uczęszczał w

Kołomyi, gdzie w 1934 r. zdał maturę. Czynną służbę wojсковą odbył w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim, kończąc ją w stopniu kapra-la podchorążego.

W 1935 r. rozpoczął studia w Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie kończąc czwarty rok studiów w czerwcu 1939 r.

1 września 1939 r. został zmobilizowany z przydzia-łem do 11 PAL w Stanisławowie, a 10 września przenie-siono go do Ośrodka Artylerii Nr 6 we Lwowie. Brał udział w obronie miasta do chwili poddania go przez gen. W. Langnera Sowiecom, tj. do 22 września 1939 r. W tym dniu został wzięty do niewoli sowieckiej i pędzony na wschód. W miejscowości Winniki udało mu się uciec i powrócić do Lwowa.

W czasie okupacji sowieckiej kontynuował studia w re-aktywowanej lwowskiej uczelni. Skierowano go do pracy w Sanitarно-Bakteriologicznym Instytucie Bioferma w Re-menowie k. Lwowa, gdzie prowadził produkcję surowic leczniczych na koniach dla ludzi. W okresie niemieckiej okupacji pracował do 1944 r. w firmie „Bayer”. W tymże roku wraz z rodziną opuścił Lwów i osiedlił się we wsi Sietesz w powiecie Przeworsk, gdzie pracował jako wolno praktykujący lekarz weterynarii.

W okresie okupacji należał do polskich organizacji konspiracyjnych ZWZ i AK.

W związku z burzliwym okresem wojennym Prof. A. Żebracki zdobywał trzykrotnie dyplom lekarza weteryna-rii: po raz pierwszy po ukończeniu studiów w czasie oku-pacji sowieckiej, po raz drugi na tak zwanych „Fachkurse” we Lwowie oraz po raz trzeci na Wydziale Weterynaryj-nym Uniwersytetu Wrocławskiego.

Działalność naukową rozpoczął Prof. A. Żebracki już w czasie studiów jako wolontariusz w Zakładzie Badania Środków Spożywczych Zwierzęcego Pochodzenia Akade-mii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie pod kierunkiem prof. Alfreda Trawińskiego.

W 1944 r. włączył się do organizacji Wydziału Wete-rynaryjnego powstającego w Lublinie Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej – początkowo jako asystent w zakła-dzie prof. A. Trawińskiego, a następnie jako starszy asy-szent Katedry i Kliniki Chirurgii tego Wydziału. W 1948 r. Prof. A. Żebracki został powołany na kierownika Kliniki i Katedry Położnictwa jako Zastępcę Profesora i funkcję tę pełnił do 1961 r. W tym okresie (1951 r.) po przeprowa-dzonym przewodzie otrzymał tytuł doktora nauk weteryna-ryjnych.

W latach 1958-1959 uzyskał stypendium na odbycie stażu naukowego w Klinice Położniczej Uniwersytetu Me-dycyny Weterynaryjnej w Wiedniu.

Od 1961 do 1969 r. prowadzi działalność dydaktyczno-naukową oraz kliniczną w Wydziale Weterynaryjnym Akademii Rolniczej we Wrocławiu, gdzie habilitował się pełniąc funkcję kierownika Zakładu Urologii i Sztucznego Unasienniania Zwierząt.

W 1969 r. Prof. A. Żebracki przeniósł się do Olsztyna, gdzie od podstaw zorganizował Katedrę Położnictwa i Kli-nikę Patologii Rozrodu na Wydziale Weterynaryjnym ów-czesnej Wyższej Szkoły Rolniczo-Technicznej.

Po piętnastoletniej działalności naukowo-dydaktycznej na tej uczelni przeszedł na emeryturę w 1984 r.

W okresie swej działalności naukowej współpracował

z uczelniami weterynaryjnymi Austrii, Niemiec, Czecho-słowacji, Węgier i Stanów Zjednoczonych.

Dorobek naukowy Prof. A. Żebrackiego jest bardzo duży, był autorem lub współautorem około trzystu prac na-ukowych, artykułów, ekspertyz, ocen, recenzji, opracowań, podręczników i skryptów.

Jako wieloletni nauczyciel akademicki trzech krajo-wych Wydziałów Weterynarii był opiekunem czterech przewodów habilitacyjnych, promotorem jedenastu dokto-ratów oraz wychowawcą kilku tysięcy lekarzy weterynarii.

Prof. A. Żebracki był stypendystą Ministerstwa Spraw Wojskowych, stypendium przyznano mu za bardzo dobre wyniki w nauce jako wyróżnienie.

Prof. A. Żebracki był zawsze aktywnym działaczem organizacji naukowych, zawodowych, społecznych jak Polskie Towarzystwo Nauk Weterynaryjnych, Izby Lekar-sko-Weterynaryjnej, dał się również poznać jako założy-ciel i organizator N.S.Z.Z. w Olsztynie.

W czasie studiów w Akademii Medycyny Weterynaryj-nej we Lwowie Prof. był wybierany do władz Stowarzy-szenia „Bratnia Pomoc” tejże uczelni, należał do korpor-a-cji akademickiej „Lutyko-Venedia” założonej w Dorpacie przez tamże studiującą młodzież polską na Uczelni Wete-rynaryjnej, a po pierwszej wojnie światowej przeniesionej do Lwowa.

Prof. A. Żebracki ożenił się w 1940 r. z p. Elżbietą Smolkówną, rodowitą lwowianką, z którą miał troje dzie-ci, dwóch synów Artura, Zbigniewa oraz córkę Barbarę. Owdowiał w 1979 r., powtórnie zawarł związek małżeń-ski z p. Danutą Maksay.

Z Towarzystwem Miłośników Lwowa i Kresów Połu-dniowo-Wschodnich był związany od czasu jego powsta-nia piastując funkcje w Zarządzie Oddziałów w Olsztynie i Lublinie, a na Krajowym Zjeździe Delegatów w 1996 r. został wybrany na członka Sądu Koleżeńskiego.

Był wielkim patriotą ukochanego miasta Lwowa, do którego stale wracał przynajmniej myślami, nie mógł zde-cydować się przez kilkadziesiąt lat na odwiedziny tego miasta. Namówiony przez przyjaciół wziął udział w wy-cieczce w czerwcu 1996 r. Odwiedził między innymi mury swojej uczelni przy ul. Kochanowskiego i Piekarskiej, ostatnie miejsce zamieszkania przy ulicy Stryjskiej 24 – wracając stwierdził, że może już spokojnie odejść z tego świata po wypełnieniu swego przyrzeczenia, czyli po od-wiedzinach w najdroższym dla jego serca mieście Lwo-wie.

Za działalność dydaktyczno-naukową i społeczną uhonorowano Go Krzyżem Kawalerskim Orderu Odro-dzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Ko-misji Edukacji Narodowej, Odznakami Zasłużony Pra-cownik Rolnictwa, Zasłużony dla Warmii i Mazur oraz innymi.

Prof. A. Żebracki pozostanie w naszej pamięci jako Wielki Patriotą, Wysokiej Klasy Nauczyciel Akademicki, Wzorowy Wychowawca i Przyjaciel Polskiej Społeczności Weterynaryjnej, Miłośnik Lwowa i Kołomyji.

Pogrzeb Profesora odbył się dnia 2 lutego 1998 r. Po uroczystym pożegnaniu w auli Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie oraz po koncelebrowanej Mszy Świętej w Jego kościele parafialnym został pochowany na cmentarzu komunalnym przy ul. Poprzecznej w Olsz-tynie. □

Bolesław Orlński – wielki Kresowiak

13 kwietnia br. mija 100 rocznica urodzin herosa polskiego i światowego lotnictwa Bolesława Orlńskiego.

Bolesław Orlński urodził się 13 kwietnia 1899 r. w majątku ziemskim rodziców Niwerka nad rzeką Zbrucz niedaleko Kamieńca Podolskiego. Lata dziecięce upływały Bolesławowi w romantycznym krajobrazie Podola, zamieszkałego przez ludność wielu narodów. Dzięki temu szybko opanował on w mowie i piśmie oprócz polskiego również języki rosyjski i ukraiński. Poznawał tamtejsze barwy, wielorakie zwyczaje. Matka Eufemia wieczorami grała na fortepianie. Bolesław i siostry: Jadwiga i Amelia kładły się pod nim i słuchały aż do zaśnięcia. Głównie dzięki temu Bolesław pokochał śpiew. Rosyjskie romanse towarzyszyły mu przez całe życie.

Od najmłodszych lat pasjonował się końmi. Miłość ta była tradycją rodzinną. Jego ojciec Włodzimierz, marszałek szlachty powiatu kamienieckiego, organizował społecznie różne mityngi konne. Podobnie jak większość synów lokalnego ziemiaństwa, już w czwartym roku życia czuł się dobrze i pewnie w siodle. W dziesiątym zaś prowadził zgrabnie czwórkę a nawet szóstkę konnego zaprzęgu. Rok 1910 zaważył na całym późniejszym życiu Bolesława. Wtedy to do Kamieńca Podolskiego zawitał rosyjski pilot Sergiusz Utoczkin, popularnie zwany „Ryż z Odessy”. Pod wpływem pokazu Utoczki na Farmanie 4 młody Bolek zapalił się do latania.

W roku 1916 siedemnastoletni młodzieniec postanawia uczestniczyć w zawierusze wojennej. Decyzji tej pomógł fakt, że poskramiający młodzieńczą werwę ojciec właśnie umarł, zaś matka, którą bardzo kochał, nie była w stanie ostudzić zapału syna, pragnącego zaciągnąć się do wojska.

Mając ukończone 6 klas prywatnej szkoły handlowej Mazinga w Kamieńcu Podolskim wstąpił 15 maja 1916 roku jako ochotnik do armii rosyjskiej. Przydzielony do 15 zapasowego baonu piechoty w Winnicy pod Kijowem („Och, jakże tam było ślicznie!” – powie Orlński po latach), służy jako tzw. szeregowiec jednoroczny do 20 grudnia tegoż roku w kompanii wartowniczej. Wraz z plutonem kawalerii zostaje wyznaczony do obrony lotniska w Winnicy. Jak historia później wielokrotnie udowodniła – droga przez kawalerię zaprowadziła niejednego młodego człowieka na próg lotnictwa. Stojąc na warcie patrzy na samoloty i marzy o lataniu. Myśli te potęguje poznanie tam słynnego rosyjskiego konstruktora Igora Sikorskiego, twórcy m.in. gigantycznego na owe czasy bombowca Ilia Muromiec i innych samolotów. Ich widok przyspiesza starania o przeniesienie do szkoły pilotażu. Spotyka się nawet z wielką życzliwością i pomocą ze strony rotmistrza Aleksandra Serednickiego, Polaka służącego w lotnictwie rosyjskim, późniejszego organizatora i dowódcę 3 Pułku Lotniczego w Poznaniu na lotnisku Ławica.

Niestety, okoliczności wojenne, szybki przebieg wypadków na froncie oraz interwencja matki spowodowała, że młody Bolek po przejściu kursu szkoły podoficerskiej znalazł się 5 stycznia 1917 roku w szkole chorążych w Żytomierzu. Pozostał tam jako kadet do 15 maja 1917 roku, kiedy to wysłano go na front północno – zachodni, do walki z Niemcami.

W lipcu 1917 r. bierze udział w wielkiej ofensywie na Wilno, prowadzonej z inicjatywy Aleksandra Kiereńskiego, w składzie 697 pułku piechoty. Pełni tu funkcję chorążego młodszego oficera konnej kompanii wywiadowczej do 7 grudnia 1917 roku.

Od sierpnia 1917 r. tworzy się na Białorusi I Korpus Polski. 18-letni Orlński wstępuje w jego szeregi w Mińsku z przydzia-

łem do konnego zwiadu 2 Legii Oficerskiej i pełni w niej służbę do 20 maja 1918 r.

Orlński bierze udział w zdobywaniu twierdzy Bobrujsk, dokąd zgłosił się jako ochotnik. Walczy też pod Jasienią i na tzw. „19 rozjeździe”.

21 maja 1918 roku I Korpus Polski został zdemobilizowany po ultimatum Dowództwa Wojsk Niemieckich na Wschodzie. Orlński wykazał wtedy brawurową odwagę. W nocy z 21 na 22 maja 1918 r. wraz z trzema innymi oficerami aresztuje niemieckiego oficera, przysłanego do nadzorowania demobilizacji (akcję tę opisał Bolesław Olechowski w książce „Legia Rycerska”). Jako jeden z pierwszych (i nielicznych), zgłosił się wkrótce na apel płk. Barth’y de Waygenthala do walki z Niemcami. Po rozbrojeniu korpusu wyjechał w tym celu na Ukrainę, pragnąc przystąpić do jeszcze nie rozbrojonych oddziałów polskich. Było to po proklamowaniu w dniu 29 kwietnia 1918 r. państwa ukraińskiego, tzw. Ukrajinskoj Derżawy, przez Pawła Skoropadskiego (wcześniej generała carskiego, następnie dowódcy tzw. Wolnego Kozactwa, obwołanego przez ukraiński Zjazd Chłopski hetmanem Ukrainy). Orlński początkowo ukrył się w Kijowie, następnie w majątku państwa Bydłowskich w Jackowicach pod Humanem. Potem był parokrotnie aresztowany. Zawsze jednak udawało mu się zbiec. Powraca do Kamieńca, starając się dokończyć tam przerwane studia handlowe. Niestety, po paru miesiącach nauki został zmobilizowany do ukraińskich wojsk atamana Semena Petlury i w stopniu oficerskim wcielony do dowództwa 12 dywizji kawalerii. Nie poczuwa się oczywiście do obowiązku walczenia za ideały ukraińskie. Po powstaniu niepodległego państwa polskiego, przedziera się przez front, do Polski. Droga przez Kowel dociera do Chełmu, gdzie 10 stycznia 1919 r. dołącza do oddziału jazdy (późniejszego 19 pułku ułanów wołyńskich) mjr. Feliksa Jaworskiego, który był jego starszym kolegą szkolnym. Ponieważ w czasie ucieczki, przed przekroczeniem granicy zniszczył wszystkie dokumenty, jak świadectwa z wojska rosyjskiego i szkoły oraz metrykę – rozpoczyna służbę w stopniu szeregowca.

Jako ułan oddziału mjr. Jaworskiego od 20 stycznia 1919 r. do 15 marca 1920 r. brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej w walkach pod Włodzimierzem, Równem, Dubnem i Łuckiem oraz, z chwilą przerzucenia na front litewsko-białoruski, pod Mozyrzem, Owruchem i nad Prypecią.

Wreszcie jego starania zawarte w raporcie przynoszą w efekcie przydział do wojsk lotniczych. Orlński dostaje się do 162 Eskadry Lotniczej Spadów w Warszawie, którą po wystąpieniu na front przemianowano na 19 Eskadrę Myśliwską, dowodzoną przez por. pil. Antoniego Mroczkowskiego. Eskadra ta należała do grupy kpt. pil. Antoniego Buckiewicza, jednego z najdzielniejszych wówczas lotników polskich. Orlński rozpoczyna w niej służbę jako kapral – pomocnik mechanika pojazdów. Przeszkala się w czynnościach kierowcy samochodu Dodge. Znowu zostaje wysłany na front, pod Borysów.

Tam właśnie Bolesław Orlński doznał po raz pierwszy w życiu szczęścia wzbicia się w powietrze. Podchorąży Łagoda, pilot 113 eskadry poznańskiej, lecąc na oblot samolotu produkcji niemieckiej DFW-CV (Deutsche Flug Werke) zabrał go w charakterze pasażera. Lot ten pozostał niezapomnianym do końca jego życia.

Podczas ofensywy bolszewickiej 1920 roku Orlński zachorował bardzo ciężko na tyfus. Będąc pewny, że umrze, napisał w



Po tryumfalnym powrocie z Tokio. 1926 r.

szpitalu mokotowskim listy pożegnalne do rodziny. Szczęśliwie po trzech tygodniach wyzdrowiał. Przebył pomyślnie badania lotniczo-lekarskie w Warszawie i 13 września 1920 roku został przyjęty jako uczeń do Niższej Szkoły Pilotów w Bydgoszczy. Mógł wreszcie rozpocząć naukę latania. Pod wytrawnym kierownictwem ppłk. pil. Jana Kieżuna i mjr. Garbińskiego czyni szybkie postępy i kończy szkolenie w czerwcu 1921 roku z odznaczeniem w postaci pochwały w rozkazie.

Od 12 września 1921 roku dostaje przydział do Wyższej Szkoły Pilotów w Grudziądzu. Stąd został odesłany do 6 eskadry II dywizjonu wywiadowczego, wchodzącego w skład II Pułku Lotniczego w Krakowie, celem dalszego przeszkolenia na cięższych samolotach. Orlński przybył tam 1 listopada 1921 r. jako plutonowy. Od 1 stycznia 1922 roku otrzymuje przydział do I Pułku Lotniczego w Warszawie, dowodzonego przez ówczesne-



1946 r.



Po tryumfie w Cleveland

go ppłk. pil. Camillo Periniego. 12 października 1922 r. Orlński na własną prośbę został przydzielony do III dywizjonu myśliwskiego, dowodzonego przez doskonałego pilota mjr. Jerzego Kosowskiego. Tu 23 listopada 1922 r. został mianowany podporucznikiem a 15 lutego 1923 r. porucznikiem I Pułku Lotniczego.

W czerwcu 1923 roku objął stanowisko instruktora akrobacji w Wyższej Szkole Pilotów w Grudziądzu.

Miało tam miejsce ciekawe wydarzenie. Orlński przyjął zakład, że wykona w jednym locie 100 pętli jedna po drugiej. W sumie, lecąc na Moranie, wykonał ich wówczas... 242. Więcej nie mógł zrobić wskutek awarii silnika, co było też przyczyną kapotażu przy lądowaniu. Zakład oczywiście wygrał.

Bolesław Orlński miał wśród kolegów i przełożonych opinię dobrego, ale i trochę ekscentrycznego pilota, którego wyczyny w akrobacji powietrznej nosiły nieraz charakter bardzo eksperymentalny.

23 maja 1924 r. utworzono 4 Pułk Lotniczy w Toruniu. Por. pil. B. Orlński został tam przeniesiony od dnia 24 czerwca 1924 r. na stanowisko pilota 42 eskadry I dywizjonu liniowego.

W Toruniu przebywa krótko. Z dniem 24 lipca 1924 roku zostaje przeniesiony w stan nieczynny na dwanaście miesięcy. 15 lipca 1925 roku stan ten przedłużono o dalszy rok. Było to związane z podjęciem przez Orlńskiego pracy pilota komunikacyjnego na liniach towarzystwa lotniczego „Franco-Roumaine”, które jako pierwsze w Polsce rozpoczęło regularną komunikację na trasie Warszawa-Paryż. Orlński latał na samolotach Berline-Spad, przeważnie na trasie Warszawa-Praga. Następnie w 1925 roku przez dwa miesiące na trasach towarzystwa „Aerolat” wylał 6000 kilometrów. 11 października 1925 r. za namową gen. bryg. Włodzimierza Zagórskiego wrócił do wojska otrzymując przydział do 11. Pułku Lotniczego w Lidzie.



W Kanadzie – jako pracownik Canadian Corps of Commissionaires w Toronto

Por. Bolesław Orliński jako instruktor wyróżniał się wyjątkowym kunsztem pilotażu. Zwrócił na siebie uwagę szefa Departamentu Lotnictwa, płk pil. inż. Ludomiła Rayskiego, który zaproponował mu wykonanie lotu dalekodystansowego do Tokio. Lot ten wykonany został przez B. Orlińskiego i mechanika sierż. Leonarda Kubiaka w 21 etapach (z tego 9 na trasie do Tokio i 12 w drodze powrotnej do Warszawy) w dniach od 27 sierpnia do 25 września 1926 r. na seryjnym samolocie francuskim Breguet XIX A2, dostosowanym do długotrwałych 12-godzinnych przelotów. Miał on odkryte kabiny, osłonięte tylko owiewkami. Nie był wyposażony ani w instalację tlenową ani w specjalne przyrządy do lotów bez widoczności. Lot obfitował w wiele dramatycznych momentów, zwłaszcza w drodze powrotnej. Gwałtowne załamanie pogody, huragany, burze, przebijanie chmur do wysokości 5200 m., awarie silnika, wreszcie uszkodzenie lewego dolnego płatu, śmigła i kołpaka przez gwałtowny i niespodziewany podmuch przedwieczornego wichru stepowego – oto niektóre tylko przypadki z tej trasy. Ostatnie 6680 km pokonane zostały na samolocie z obciętym o 60 cm lewym dolnym płatem, częściowo zdartym opłótnieniem dolnego płata prawego celem wyrównania siły nośnej z mocno „prychającym” silnikiem, napędzającym reperowane klejem i drutem śmigło. Orliński wraz z Kubiakiem w czasie 121 godz. 16 min. pokonali trasę długości 22600 km. Wartość tego przelotu lapidarnie i najcelniej oddają słowa gen. Stanisława Skalskiego: „(...) kiedy czytam wspomnienia Bolka, (...) przechodzą po mnie ciarki i ogarnia wzruszenie. Wspaniały wyczyn! Długo przetrwała sława kapitana (po locie awansował) Orlińskiego, a dla nas nastolatków (11-15 lat) była drogowskazem i wzorem, pragnieniem zdobycia, wydawało się, nieosiągalnej

sławy. To przecież oni, piloci z prawdziwego zdarzenia, popychali młodzież ówczesną i mnie na tę drogę, to oni byli katalizatorem mego przeznaczenia, w co do dziś wierzę, że byli moją busolą!”

Przelot ten odbił się szerokim echem w lotniczym świecie. Przyniósł sławę nie tylko B. Orlińskiemu i L. Kubiakowi, ale i młodemu państwu polskiemu, niepodległemu od zaledwie niespełna ośmiu lat.

Bolesław Orliński, wspominając po 50 latach ten przelot dzieli się taką refleksją: „(...) myślę, że duch od lat chłopięcych wyśnionego zrywu, wiara w ważność powierzonego zadania i poczucie obowiązku, które łącząc się w jedno i rodząc w człowieku optimum, które nazywamy determinacją – zdolne są pokonać dużo, zdawałoby się niemożliwych do pokonania, przeszkód fizycznych. Są one czasem silniejsze nawet od lęku przed Wielką Niewiadomą – śmiercią”.

W uznaniu wartości przelotu syją się odznaczenia: japońskie, polskie i francuskie. Firma Lorraine-Dietrich, produkująca silniki do samolotów Breguet ofiarowuje Orlińskiemu samochód. Napływają listy gratulacyjne od przywódców państw i koronowanych głów. Słowa uznania przesłali m. in.: król angielski i Benito Mussolini.

Wkrótce Orliński występuje w filmie „Orle” reżysera Wiktora Biegańskiego. Premiera odbyła się w Nowy Rok 1927 r. Kulminacyjną część filmu stanowiła długa, wirażowana sekwencja widoku Tatr, wykonana z samolotu pilotowanego przez Orlińskiego.

Jednakże na kpt. Orlińskiego czeka przede wszystkim Lida i samoloty eskadry treningowej: Morane-Saulnier 30, Hanriot-28, Fokker DVII oraz Balilla A.1., używane do szkolenia kandydatów na pilotów, zgłaszających się do lotnictwa z innych rodzajów broni. 25 października 1926 r. Orliński zostaje mianowany dowódcą 113 Eskadry Myśliwskiej. 8 sierpnia 1927 r. Orliński wraz z płk. Kossowskim i por. Aleksandrem Cichockim udał się na zawody lotnicze do Zurichu, w których startowali ponadto piloci ośmiu państw: Szwajcarii, Francji, Anglii, Niemiec, Włoch, Jugosławii, Czechosłowacji i Holandii. W tak doborowej stawce Polacy zdobyli dwie drugie nagrody za szybkość i przelot wokół Szwajcarii. Po zawodach Orliński wrócił do Lidy.

Pogodzenie stanu kawalerskiego ze służbą w wojsku nie było dla Orlińskiego sprawą prostą. Był bowiem zakochany w wzajemnością w pięknej, niezwykle zgrabnej tancerce z Warszawy Stanisławie Gomółce. Nie mając szans na zgodę przełożonych na ten związek, postanowił zrezygnować z kariery pilota wojskowego. 1 sierpnia 1928 r. kpt. B. Orliński zdał obowiązki służbowe dowódcy 113 eskadry lotniczej. Dzień później rozkazem Ministra Spraw Wojskowych został przeniesiony w stan nieczynny od 31 sierpnia 1928 r. na przeciąg 12 miesięcy, bez prawa do pobierania poborów z równoczesnym przeniesieniem do Kadry Oficerów Lotnictwa. Nic już nie stało na przeszkodzie w poślubieniu przez młodego Bolesława 20-letniej wybranki serca, co nastąpiło 13 czerwca 1929 r. w Warszawie.

W podróż młoda para pojechała samochodem do Pragi czechoskiej. Po drodze podziwiali spod Śnieżki piękną panoramę wtedy jeszcze niemieckiego Dolnego Śląska. Odwiedzili również Wrocław, który Bolesławowi był dobrze znany z racji wielokrotnych tu pobytów, związanych z międzyrządowaniami spowodowanymi przez złą pogodę podczas lotów do Pragi samolotami komunikacyjnymi. Czyż wtedy można było przewidzieć, że po 63 latach tu znajdzie miejsce wiecznego spoczynku?

(c.d.n.)

Wspomnienia z okresu II wojny światowej

W okresie okupacji hitlerowskiej mieszkałem z rodzicami w powiatowym mieście Dolina, woj. stanisławowskie, w domu znanej licznej rodziny Stemlerów. Właścicielka domu pani Karolina Stemlerowa była starszą samotną osobą, ponieważ jej 11 dzieci było poza domem, tylko najmłodsza córka, dwunasta, Helena po ukończeniu III roku studiów na Wydz. Mat.-Przyr. U. S. B. w Wilnie przyjechała na wakacje w 1939 r. i pozostała już w okresie wojny w domu opiekując się matką.

Dnia 4.VI.1944 r. zawarłem związek małżeński z Heleną. W czasie od 18 do 21 czerwca 1945 r. (był to okres tzw. drugiej okupacji bolszewickiej) rozpiswały się miejscowe gazety o procesie 16 członków Delegatury Podziemnego Rządu Polskiego odbywającym się w Moskwie. Jednym z sądzonych był Józef, najstarszy syn pani Stemlerowej, pedagog, dyrektor Towarzystwa Polskiej Macierzy Szkolnej, więzień Pawiaka, Oświęcimia, Łubianki i Rakowieckiej.

W tym czasie byłem zatrudniony w Dolinie w charakterze rejonowego lekarza weterynarii, uczestniczyłem w zebraniach służbowych, które prowadził przewodniczący Rejonowego Wykonawczego Komitetu (R. W. K.) Kowalów. Na jednym z takich zebrań przewodniczący Kowalów patrząc na mnie wyzywająco powiedział, między innymi, „obecnie w Moskwie jest sądzony Stemler z Doliny, ten polski banderowiec, zostanie on osądzony i ukarany przykładnie za swoje uczynki”. Usłyszane słowa przyjąłem z udaną obojętnością. Jednak w R. W. K. dyskutowano nad tym jak ustosunkować się do mojej osoby (tj. do szwagra sądanego). Ostatecznie Józef został w procesie w Moskwie uniewinniony. Niewątpliwie biegła znajomość języka rosyjskiego Józefa wpłynęła na wyrok uniewinniający.

Dnia 10.VIII.1945 r. zakończyłem pracę jako rejonowy lekarz wet. w Dolinie i czekałem na termin ekspatriacji. W czasie pożegnania z moim kierownikiem administracyjnym Peretiatką, ten oświadczył mi, że „nie wiadomo dokąd pojedziesz z rodziną, czy na Zachód, czy też na Wschód, rozstrzygnie o tym wojewódzkie NKWD w Stanisławowie”. W telefonicznej rozmowie stanisławowskie NKWD zadecydowało o wypuszczeniu mnie na Zachód, czyli na ekspatriację – tj. ograbienie mnie i wypędzenie z mojej ojczystej Ziemi.

Obecnie oglądając w T.V. reportaże z pielgrzymek Polaków z Kazachstanu do Kraju w okresie bożonarodzeniowym, wzruszam się tym mimowoli. Umysławiam sobie bowiem, że wówczas mało brakowało, aby moja rodzina i ja podzielili los tych Polaków z Kazachstanu i zostali wysłani na Wschód – na nieludzką ziemię.

W pierwszym dniu naszej podróży ekspatriacyjnej z Doliny, tj. dnia 13.VIII.1945 r. transport kolejowy dojechał wieczorem do stacji Lwów-Podzamcze. Cały transport składał się z licznych węglarek 20-tonowych o ruchomych podłogach podtrzymywanych przez zawory-haki. W węglarce, w której jechaliśmy umieszczono 5 rodzin. Transport nasz zatrzymał się na tym dworcu na noc. W nocy usłyszeliśmy jakieś szamotanie na stosie paczek i waliz załadowanych na naszej węglarce. Natychmiast wyszedłem na szczyt węglarki i ujrzałem żołnierza sowieckiego ciągnącego walizkę uwiązaną do innych paczek. Przeszkodziłem mu w tych czynnościach, a ten krzyknął do mnie „złizaj”; odpowiedziałem jemu „ty złizaj”. Wtedy żołnierz zagroził, że będzie strzelał.

Nie ustępowałem, toteż żołnierz wystrzelił z „pepeszy” w powietrze, a następnie podniósł „pepeszę” i nią uderzył mnie w głowę. Ponieważ momentalnie pochyliłem się uderzenie nie było silne, bo „pepesza” zawadziła o wystające paczki, zostałem jednak zraniony lekko w głowę doznając przecięcia skóry. Kobiety znajdujące się w naszej węglarce przyszyły mi z pomocą, podniosły wielki krzyk i lament co wypłoszyło żołnierza, który zostawił walizkę, opuścił węglarkę i uciekł. Po chwili nadeszła grupa żołnierzy sowieckich – wartowników transportu i jeden z nich zapytał po ukraińsku, „kto strzelał”, odpowiedziałem „strzelał bandyta”. „A w jakim był mundurze” zapytał jeden z nich, odpowiedziałem „miał mundur sowiecki”. „Eto nawierno Własowcy” odpowiedział po rosyjsku wartownik. Byłem przekonany, że jeden z tych żołnierzy był właśnie tym, któremu nie udało się złodziejska wyprawa nocna po walizkę. W pół godziny po tym napadzie usłyszeliśmy hałas na drugim końcu transportu, gdzie również Sowietci napadli na jadących, lecz nie znam bliższych szczegółów tego incydentu. Rano przed wyruszeniem tego transportu w dalszą drogę, zauważyłem, że w naszej węglarce jeden zawór podtrzymujący podłogę był nieco poluzowany. Domyśliłem się, że zapewne jeden z wartowników uczynił to złośliwie i z zemsty po nieudanej nocnej kradzieży walizki, pragnął tym czynem spowodować nieszczęśliwy wypadek w dalszej podróży. Po obejrzeniu tego zaworu przez przywołanego kolejarza jadącego w sąsiedniej węglarce stwierdził on, że podłoga trzyma się i nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Dopiero w dalszej drodze na moście kolejowym w Dębicy odchylił się zawór na tyle, że wypadła jedna deska z podłogi i jedna paczka. Jeden z jadących mężczyzn zabezpieczających otwór powstały w podłodze złamał przy tym kość śródręcza. Gdy dojechalismy do stacji w Dębicy ranny został opatrzony w szpitalu, zaś przywołany maszynista z naszego transportu wstawił w podłozę brakującą deskę, a zawór zakreślił odpowiednio. Remont podłogi kosztował 2 l. alkoholu. Bezpośrednio po wykonaniu tych napraw maszynista poprowadził pociąg w dalszą drogę. W czasie krótkiego postoju na stacji w Przemyśle dowiedzieliśmy się od oczekujących znajomych, że najstarsza siostra żony zamieszkała w Opolu jako ekspatriantka i oczekuje nas w tym mieście z zarezerwowanym mieszkaniem. Dnia 15.VIII.1945 r. przyjechalismy do Opolu i wyładowaliśmy się na dworcu. Następnie przetransportowaliśmy nasze rzeczy do zarezerwowanego dla nas mieszkania. Natomiast ja już dnia 22.VIII.1945 r. rozpocząłem pracę jako ziemski lekarz wet. w Powiatowym Urzędzie Ziemskim w Opolu.

Wiadomość o mojej krwawej ranie głowy zadanej „po przyjacielsku” przez naszego „oswobodziciela” doszła drogą listowną do naszego wikarego księdza Henryka Smoluka wywiezionego przed kilkoma miesiącami na Sybir. Podano Księdzu w liście mylnie, że zostałem zabity. Ks. Smoluk po szczęśliwym powrocie z Sybiru rozpoczął pracę jako wikary najpierw w Krynicy Górskiej, a następnie został przeniesiony do miejscowości Święta Katarzyna koło Wrocławia na równorzędne stanowisko. W czasie naszego spotkania opowiedział mi o otrzymaniu wiadomości o mojej rzekomej śmierci i przyznał się, że modlił się na intencję mojej duszy przez cały okres pobytu na Sybirze. □

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddział w Lublinie

Lublin, dnia 27 stycznia 1999 r.

**Szanowny Pan
mgr Zbigniew Wojciechowski
v-ce Prezydent m. Lublina**

Wielce Szanowny Panie Prezydencie!

W dziesięcioletniej działalności Oddziału Lubelskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich podejmowaliśmy starania o przyznanie lokalu, który umożliwiłby jej wzmocnienie i poszerzenie.

Nawiązując do wystąpienia Pana Prezydenta podczas uroczystego spotkania opłatkowego Towarzystw Kresowych, w którym uznał Pan za ważne i konieczne utworzenie w Lublinie DOMU POLONII, odnotowaliśmy to jako wyjątkowo optymistyczny akcent na progu 1999 roku. W tym miejscu pozwalamy sobie przypomnieć, że Pan Prezydent Andrzej Pruszkowski podczas uroczystości listopadowych zapowiedział sprzyjanie inicjatywom i działaniom Kresowian.

Za okazanie tego zainteresowania i zrozumienia znaczenia problematyki kresowej już w początkowym okresie planów i działań nowego Zarządu Miasta chcemy przekazać słowa dużego uznania i wdzięczności.

Utworzenie DOMU POLONII dla Wspólnot Kresowych umożliwiłoby pełniejsze zintegrowanie Towarzystw Kresowych na terenie naszego makroregionu, których celem pozostaje:

- zespolenie osób, którym bliskie jest dziedzictwo historyczne Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej
- pielęgnowanie dorobku historycznego tego regionu, jako integralnej części kultury i tradycji Rzeczypospolitej
- szerzenie i utrwalanie w społeczeństwie prawdy, wiedzy i świadomości o sześciowiekowej roli Kresów Wschodnich w historii Państwa Polskiego, przemilczanej, zakłamaniej i utajnionej przez były ustrój, wykreślonej z nauki i wychowania młodych pokoleń
- działalność na rzecz zachowania i ochrony pozostawionego na tych ziemiach mienia narodowego, dóbr kul-

tury, sztuki, nauki i drogich sercu miejsc pamięci narodowej

– utrzymanie łączności z rodakami żyjącymi do dziś na tych terenach, niesienia im pomocy łącznie z pomocą i opieką nad młodzieżą z Kresów uczącą się w Polsce

– działalność na rzecz praw Polaków ekspatriowanych z ziem wschodnich Rzeczypospolitej dla odzyskania utraconego mienia.

Powyższy program działań wymaga konsolidacji ruchu kresowego. Powstanie DOMU POLONII dla Wspólnot Kresowych zdecydowanie wzmocniłoby i podbudowało działalność organizacji kresowych. Odchodzące pokolenie Kresowian – tragicznie doświadczonych w czasie ostatniej wojny i w latach powojennych – wykazało ogromny hart ducha, umiłowanie Ojczyzny, zachowując jednocześnie pamięć o wartościach, prawdach i wydarzeniach będących podstawą postaw patriotycznych, a tym samym bytu narodowego. Nie zamierzamy wysnuwać zbyt daleko idących wniosków wynikających z faktu, że mniejszości narodowe – w tym ukraińska – otrzymują znaczącą pomoc Państwa, co w kontekście naszej sytuacji odnotowujemy z mieszanymi uczuciami.

Miasto Lublin jest szczególnie predysponowane do utworzenia takiego Ośrodka, ze względu na położenie geograficzne, możliwości bliskich kontaktów oraz obecność odpowiedniego zaplecza naukowo-badawczego.

Patriotyzm wyrażony poprzez jedność działań będzie stanowił o sile i skuteczności działań całego ruchu kresowego.

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Lublinie zwraca się z gorącą prośbą do Pana Prezydenta o nadanie sprawie DOMU POLONII dalszego urzędowego biegu, gdyż jest to dla nas sprawa pilna o podstawowym znaczeniu.

Prezes Towarzystwa Przyjaciół Krzemieńca i Ziemi Wołyńsko-Podolskiej mgr Leon Popek

Prezes Towarzystwa Miłośników Lwowa Oddział w Lublinie prof. dr hab. Władysław Stażka

Prezes Zarządu Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej Krystyna Romer-Patrya

Tadeusz Łodziana
Brzozowa 31/33 m. 1
00-258 Warszawa

Szanowny Panie Redaktorze!

Zwracam się do Pana z uprzejmą prośbą w następującej sprawie: zgłosiła się do mnie Pani Lidia Smyczyńska, warszawska lwowianka, redaktor naczelny „Gazety Handlowej”, która utrzymuje stały kontakt ze Lwowem (z racji pracy w gazecie), mająca rozległe znajomości wśród tamtejszej inteligencji, z projektem wydania (są takie możliwości) albumu o historii budowy Cmentarza Orląt!

Zbulwersowana ciągłymi dyskusjami i zafałszowaną historią Cmentarza, z którą spotyka się przy każdej bytności we Lwowie, postanowiła przy pomocy dokumentów, fotografii przed- i powojennych i najbardziej aktualnych, napisać

w sposób obiektywny całą prawdę o Cmentarzu – bez otoczki politycznej.

W związku z tym poszukuje się – nie tych znanych, obiegowych ilustracji, które są dostępne w każdej bibliotece, lecz tych nietypowych, niepublikowanych, amatorskich, które są w posiadaniu lwowiaków – krakowskich, wrocławskich, bytomskich czy gliwickich – z prośbą o udostępnienie.

Zwracam się do archiwum Pańskiej redakcji z prośbą o podanie, gdzie i do kogo należy się zwrócić o wypożyczenie i czy są takowe możliwości – oczywiście pod „chajrem” zwrotu materiałów. Wydaje mi się, że wydanie albumu jest na czasie dla ratowania pamięci naszej i pokoleń Polaków.

2 I 99 r.

Apel

Stowarzyszenie Lekarzy Polskich we Lwowie

Ukraina 290007 Lwów, ul. Rapaporta 7b/18, tel. (0322)33-48-50

Lwów 5.02.99

Stowarzyszenie Lekarzy Polskich we Lwowie działa przy Towarzystwie Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej od 1991 roku. O wynikach naszej działalności zdawaliśmy sprawozdanie na I, II, III Światowych Kongresach Polonii Medycznej. Prowadzimy wielokierunkową działalność, zgodnie z naszym statutem, zawodem i powołaniem.

Jednak głównym zadaniem naszej działalności na obecnym etapie jest niesienie charytatywnej praktycznej pomocy medycznej Polakom mieszkającym we Lwowie i obwodzie lwowskim, większość z których to ludzie starszego wieku, samotni i chorzy. Nasza pomoc

Stanisław Czuruk

65-512 Zielona Góra

ul. Ignacego Krasickiego 23 m. 13

Zielona Góra, dnia 1 marca 1999 r.

Pan Jerzy BAHR

**Ambasador Rzeczypospolitej Polskiej
w Kijowie**

List otwarty

Parę lat przed wojną zmarł nasz krewny Mieczysław CHWA-STOWSKI, którego pochowano w bezpośrednim sąsiedztwie kaplicy Cmentarzyka Obrońców Lwowa. Na mogile postawiono pomnik.

Na Cmentarzyku Obrońców Lwowa spoczął w 1919 r. mój wuj Józef NĘDZOWSKI zmarły od ran odniesionych podczas Obrony

jest teraz szczególnie konieczna w związku z trudną sytuacją finansową naszych Rodaków.

W tym aspekcie od 1993 roku prowadzimy regularnie nieodpłatne wydawanie leków pochodzących z darów, przeważnie z Polski. Udzielamy również pomocy innego rodzaju.

Niestety, dotychczas nie posiadamy własnego lokalu, co bardzo utrudnia naszą działalność i uniemożliwia jej rozszerzenie. Zagrożone jest dalsze prowadzenie naszej „apteki”, gdyż nie posiadamy miejsca do przechowywania leków, ani do ich wydawania.

W związku z opisaną sytuacją zwracamy się z bardzo gorącą prośbą o zamieszczenie naszego apelu do wszystkich współczujących nam ludzi o włączenie się do zbiórki środków na zakup lokalu na siedzibę dla Stowarzyszenia Lekarzy Polskich we Lwowie.

Z góry składamy serdeczne Bóg zapłać.

Z wyrazami szacunku

Prezes Stowarzyszenia Lekarzy Polskich we Lwowie
doc. dr n. m. Ewelina Hrycaj-Mańanicz

Lwowa, nic więc dziwnego, że jego rodzice Mieczysław NĘDZOWSKI i Maria z OSTOJA-SOLECKICH, którzy zmarli w latach wojny, zostali pochowani przez córki Zofię i Helenę Nechay w sąsiedztwie swego Syna, w grobowcu swego krewnego Mieczysława Chwastowskiego.

W latach 70-tych, gdy wstęp na Cmentarzyk Orląt był wzbroniony względnie niemożliwy – wiele osób zapalało znicze pamięci na mogile moich Krewnych.

Będąc ostatnio we Lwowie z bólem stwierdziłem, że mogiła ta padła ofiarą nacjonalistycznej agresji. Zastosowano tu najcięższy sprzęt, wyrывая z ziemi wszystkie kamienne części grobowca i wyrównując miejsce, gdzie spoczywają Wujostwo mej św. p. Matki. Działania te nie mogły przebiegać bez uzgodnienia z administracją Cmentarza Łyczakowskiego, toteż warto pokusić się o odnalezienie jeśli nie winnych tego aktu wandalizmu, to przynajmniej kamiennych części pomnika, celem jego odbudowy.

Dobrze by było ukrócić tego rodzaju działania na cmentarzu, będącym jakoby „rezerwatem zabytków kultury”.

Z wyrazami szacunku

Rodrycjusz Gerlach

Los Kresowiaka na Syberii Dwa obrazy. Wspomnienia z II wojny światowej

Z opowiadań mamy wiem, że na Rzeszowszczyźnie i w okolicy Odrzykonia od dawna ludzie żyli ubogo. Okolica, choć piękna, nie mogła dostarczyć wyżywić wszystkich tutejszych mieszkańców.

Gdy po wojnie polsko-bolszewickiej powstała możliwość osiedlenia się na wschodnich terenach Rzeczypospolitej, moja mama Anna Gerlach z mężem Józefem i dziećmi osiadła w województwie tarnopolskim opodal Podhajec. Tutaj powstała, budowana od podstaw, polska wieś. Do końca lat dwudziestych trwała budowa domu mieszkalnego i zabudowań gospodarczych. Był to okres ciężkiej pracy i wielu wyrzeczeń, tym większych, że trzeba było płacić podatki i spłacać kredyty.

W pobliskich Podhajcach był parafialny kościół. Odkąd pamiętam, to właśnie tutaj, w tym kościele, mama szukała i znalazła siłę i wolę do dalszej pracy w polu i w domu. Uczestnictwo we Mszy św. i nabożeństwach dawało jej oparcie i moc do wychowania już tu na wschodzie ośmiorga dzieci. Lata biegly, dzieci dorastały i z czasem stawały się znaczącą pomocą w stałych obowiązkach rolnych. Podobnie było u sąsiadów. Cała wieś prowadziła życie związane z pracą w polu i obejściu, głównie przy hodowli krów i trzody chlewnej.

Wszyscy mieszkańcy wsi Mazury – bo tak nazywała się nasza miejscowość – mimo odległości, a zimą dużych śniegów i zimna, nigdy nie opuszczali Mszy św. w niedzielę i święta. W tym względzie panowała pełna jedność i zgoda. Odległość, deszcze czy mróz nie

stanowiły dla nas żadnej przeszkody. W takim też duchu zostaliśmy wychowani. Mieliśmy dobry przykład od rodziców. Naszym wzorem była mama. To ona była przewodniczką dla swych dzieci w drodze do kościoła, do modlitwy, do Najświętszej Maryi Panny, do Boga.

Nadszedł 1939 r. Wojna! Już 17 września do Podhajec weszli bolszewicy. Niedługo potem sowieccy urzędnicy chodzili od domu do domu i spisali mieszkańców naszej wioski. W 1940 r. była sroga zima. W taki mroźny dzień 10 lutego wczesnym rankiem (było jeszcze ciemno) usłyszeliśmy głośnie stukanie do drzwi. Po chwili wtargnęli do naszego domu uzbrojeni ukraińscy milicjanci i sowiecki oficer NKWD. On to oznajmił stanowczym głosem: „Sobirajties! Daję wam czas!” Daję wam godzinę na opuszczenie domu! Chodziłem wtedy do szóstej klasy szkoły podstawowej. Byłem za młody na to, żeby zrozumieć co się dzieje. Co znaczy „sobirajties” i dlaczego... Dopiero po latach wiele spraw wyjaśnił mi ojciec. Niektóre zrozumiałem sam.

Po wejściu nieproszonych „gości” rozpoczęła się drobniagowa rewizja. Czego rewidenci szukali? Broni? U nas jej nie było. Ojciec był działaczem ludowym i z bronią nie miał nic wspólnego.

Gdy mama dowiedziała się, o co chodzi, co ci źli ludzie chcą z nami zrobić, zalała się łzami i nie mogła zająć się pakowaniem w tobołki najpotrzebniejszych rzeczy. Obowiązek ten spadł na starsze rodzeństwo. To, na co pozwolił NKWD-ysta, zabraliśmy na sanie.

Mama zaś, ta nasza kochana mama, zdjęła ze ściany obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i stojąc modliła się. Gdy zamknę oczy, to widzę dokładnie postać drobnej kobiety trzymającej ten obraz i spadające na niego łzy. Łzy mojej matki! Chyba już wtedy mama zrozumiała, że cały dorobek jej pracowitego życia w tej właśnie chwili przestaje istnieć. Kiedy już byliśmy gotowi do drogi, stale ponaglani przez przedstawiciela sowieckiej władzy słowami: „Bystrej! Bystrej!” (Szybciej! Szybciej!), znakiem krzyża świętego pożegnała dom, zabudowania gospodarcze i cały inwentarz żywy i martwy. Po wyjściu z domu już nie płakała. Siebie i całą rodzinę oddała pod opiekę Matce Bożej.

Okazało się, że za nie popełnione winy byliśmy skazani na długie lata niedoli w bezkresnej syberyjskiej tajdze.

Miesiąc cały jechaliśmy w bydlęcych, ciemnych wagonach, głodni, na wschód aż do Krasnojarska. Potem dwa tygodnie wędrowaliśmy pieszo wzdłuż Jeniseju na północ aż do zagubionej w tajdze Tei.

W miejscu przeznaczenia (ponad 700 km od stacji kolejowej) ulokowani zostaliśmy w surowych, zimnych barakach. Wszyscy zdolni do pracy musieli iść do roboty przy wyrębie lasu. Nasza mama zajmowała się sprawami domowymi. Reperowała odzież roboczą. Do bardzo ważnej czynności zaliczyć trzeba dzielenie otrzymanego na kartki chleba, którego było tragicznie mało. Kroił chleb na porcje dla tych, którzy idą do lasu i dla pozostających w izbie. Gdy mimo woli patrzyliśmy na pokrojone porcje, widzieliśmy w jej oczach łzy. Był to widomy znak, jak bardzo cierpi, jak „kraje” się serce matki! Do dziś te łzy porównuję ze łzami wylanymi w domu przed obrazem Bożej Rodzicielki.

Tutaj, w tych strasznych zesłańczych warunkach, również nie przestała być wierną swym ideałom: ufności w Bożą Opatrzność i wstawiennictwo Najświętszej Maryi Panny.

Nadszedł maj 1940 r. Zaczynały topnieć olbrzymie masy śniegu. Zaczęły się też w naszej izbie z inicjatywy mamy majowe nabożeństwa ku czci Najświętszej Maryi Panny. Każdego dnia nasza izba była pełna modlących się ludzi. Uczestnictwo w nabożeństwie w istniejących tutaj warunkach było wspaniałą uczcą dla głodnych i umęczonych pracą ponad siły zesłańców. Było też bardzo potrzebne dla pod-

budowy wiary, że nadejdzie dzień, kiedy będziemy mogli wydostać się z tej nieludzkiej ziemi. Był to dopiero początek zsyłki, a głód, zimno, całkowity brak opieki lekarskiej, powodowały choroby oraz śmierć dzieci i dorosłych.

Podobnie było w czerwcu w latach 1940-41. W naszej izbie odbywały się nabożeństwa do Najświętszego Serca Pana Jezusa. Duszą tych nabożeństw były matki polskich rodzin.

Po odmówieniu litanii śpiewaliśmy parę zwrotek pieśni. Szczególnie głęboko w mej pamięci zapisała się pieśń znana we wszystkich rodzinach zesłańców Pójdź do Jezusa. Ta pieśń powodowała głębokie przeżycia.

Po zaśpiewaniu pierwszej zwrotki przyszedł czas na błagalny refren:

„*Śluchaj, Jezu, jak Cię błaga lud!
Śluchaj, słuchaj, uczyni z nami cud!*”

Przy słowach

„*Przemień o Jezu, smutny ten czas!
O Jezu, pociesz nas!*”

śpiewający milkli. Nie mogli wydobyć z siebie głosu. Śpiewali milcząco. W tym momencie więcej było łez niż śpiewu. Dopiero po chwili dały się słyszeć dalsze słowa i melodia.

Dzięki Opatrzności Bożej i działalności ludzkiej we wrześniopadzierniku 1941 r. nadeszła oczekiwana chwila i mogliśmy opuścić to straszne miejsce. Traktami, łodziami dotarliśmy do Krasnojarska, stąd dalej na wschód do Ujaru.

Już w drodze mama niedomagała. Zmartwienia, troska o rodzinę, głód i mrozy spowodowały, że była coraz słabsza. Kiedy zmarła nasza 18-letnia Bronia, nie była na pogrzebie. Już nie wstawała z pryczy. Przez cały czas choroby martwiła się nie o siebie, ale o nas, dzieci. Zmarła 24 grudnia 1942 r. o godz. 18.

Od tego czasu minęły 52 lata. W chwili wspomnienia tamtych dni jeszcze dziś widzę dwa obrazy. Jeden to moja mama i jej łzy spływające na obraz MBNP podczas deportacji. Drugi to płacząca matka przy krojeniu głodowych racji chleba.

Te dwa obrazy są ze sobą i ze mną tak ściśle powiązane, że moje życie bez nich byłoby niepełne, uboższe. □

† Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Z głębokim żalem zawiadamiamy, że w dniu 8 marca 1999 r. — odeszła od nas
NASZA UKOCHANA PROFESORKA

mgr WANDA KLIMKOWICZ

Absolwent Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie — Więzień Lagrów Sowieckich
długoletnia nauczycielka i wychowawczyni wielu pokoleń pedagogów. Wielka Patriotka i Społeczniczka.
Publikatorka prawd historycznych o polskości Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Człowiek Szlachetnego Serca.

Pogrzeb odbędzie się w dniu 11 marca 1999 r. o godz. 13.00 na Cmentarzu Głównym w Przemyślu.

MSZA ŚW. ŻAŁOBNA za Duszę S.P. Zmarłej odprawiona zostanie dnia 11 marca br. o godz. 7.30
w Kościele XX. Salezjanów w Przemyślu.

ZEGNAMY CIĘ NASZA „NUNO”
TWOI UCZNIOWIE I WYCHOWANKOWIE
Z POLSKI I ANGLII

Contents

Easter Greetings	1
D. Śliwińska – Our Polish Easter	1
A. Janicki – My Mother's tales (cont.)	3
J. Masior – To be from Lwów, to be from the Borderland	4
J. Masior – What for? – a poem	8
BORDERLAND PRIESTS	
J. Duda – Rev. Ludwik Rutyna	
BORDERLAND CHARACTERS	
L. Lewandowski – Lieutenant-Colonel Walerian Sikorski	10
Z. Kratochwil – Marian Kratochwil, a painter (1906-1997) (I)	12
RECOLLECTIONS	
S. Scheller – How defenders of the Sienkiewicz School started the Defence of Lwów	14
M. Siera – My solitary escape from the German Reich (cont.)	18
F. Grodecka – Recollections of 1939 in Lwów	21
Letter of acknowledgement from the Wrocław Voivode	23
CELEBRATIONS AT LWOW LOVERS' SOCIETY DIVISIONS AND CLUBS	
R. Węgrzynowicz – From South-East to North-West Borderland. Tenth anniversary of Lwów Lovers' Society in Szczecin	24
T. Kukiz – From the past of the Radziechów District	28
Ist All-Polish Festival of the Lwów dialect "Bałak" (kond of local cockney)	31
D. Nespiak – Volhynian commemorations	31
Rev. J. Popławski's letter to Lwowers and Borderers	33
BORDERERS ABROAD	
H. Wiewiórska – Poles in Scotland	34
W. Dziemiańczuk – Fourtieth anniversary of the East Lands Union foundation in Toronto, Canada	35
CURRENT EVENTS	
J. Kotlarczyk's letter on actual situation in Borderland organizations	36
Z. Umański – Borderland diary	38
H. Bogucka – Closer to Adam Mickiewicz	40
AMONG BOOKS	40
J. Petryński – "LWOW" – the first Polish training sailer	41
H. S. Hordt – The first Soviet occupation of Lwów (cont.)	42
MERITORIOUS BORDERERS	
W. Fuliński – Professor Jacek Fuliński (1915-1998)	43
K. Rozmiłowski – Professor Antoni Żebracki (1914-1998)	44
S. Błasiak, S. Babiarz – In memory of Bolesław Orliński, the eminent Polish airman	46
K. Donigiewicz – Recollections of the IIInd World War	49
APPEALS	
A letter from the Section of Lwów and South-East Borderland Lovers' Society in Lublin	50
A letter from Mr Tadeusz Łodziana	50
Appeal of Polish Physicians' Association in Lwów	51
Open letter to the Ambassador of Polish Republic in Kiev, Ukraine	51
R. Gerlach – The lot of a borderer in Siberia	51
OBITUARY COLUMN	52

Lista ofiarodawców w m-cu II-III 1999 r.

1. Konrad Sura, Kraków	10.-
2. Maria Jońca, Gliwice	44.-
3. Stanisław Mossoczy, Bielsko Biała, Cm. Orl. Lw.	60.-
4. Jan Dubianik, Kędzierzyn Koźle, Kościół w Busku	52.-
5. Rodrycjusz Gerlach, Lubsko	30.-
6. Janina Blum, Wrocław	40.-
7. Tadeusz Tomkiewicz, Poznań	20.-
8. Wanda Klimkowicz, Sosnowiec	25.-
9. Jan Białowas, Końskowola	25.-
10. Zbigniew Szczerba, Jelenia Góra, na Fundacje	15.-
na Rubieży	15.-
na Cm. Orl. Lw.	15.-
11. Andrzej Hanuszewski, Pyskowice, Cm. Orl. Lw.	40.-
12. Józef Czech, Gniezno	50.-
13. Kazimierz Wiśniewski, Gliwice	50.-
14. Daniel Wojciechowski, Przemyśl, Cm. Orl. Lw.	20.-
15. Michał Wojciechowski, Żurawica, Cm. Orl. Lw.	20.-
16. Danuta Wadlewska, Brzeg	50.-
17. TMLiKPW Łódź, Cm. Orl. Lw.	600.-
18. Władysław Ostrowski, Zamość	50.-
19. Teresa Gryziecka, Gliwice, Cm. Orl. Lw.	50.-
20. Zbigniew Bończyk, Warszawa	100.-
21. Naria Żurowska-Gangi, Toruń	5.-
22. Józef Nycz, Kanada, Cm. Orl. Lw.	110.-
Fundacja	126,50
23. TMLiKPW Tychy, Cm. Łyczak.	2.060.-
24. TMLiKPW Klub w Kluczborku, Pomnik Orląt Lwowskich	867,43

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Od Wydawcy

Zarząd Fundacji Kresowej SF przypomina, że prowadzi sprzedaż wysyłkową książek, czasopism i gadżetów o tematyce kresowej. Realizujemy zamówienia pisemne i telefoniczne.

Przyjmujemy jeszcze na 1999 rok wpłaty na prenumeraty:

dwumiesięcznika „Semper Fidelis”	24 zł
dwutygodnika „Gazeta Lwowska”	24 zł
dwutygodnika „Dziennik Kijowski”	18 zł

Ogłaszamy przedpłatę w wys. 6 zł na nowy tomik poezji lwowsko-kresowych Jerzego Masióra.

Dr Karol Kosek wydał własnym nakładem 2 książki o nauczycielach w PRL-u, które można u nas nabyć w cenie 10 zł.

Zwracamy się do naszych Oddziałów i Klubów TMLiKPW o zapłatę za kalendarze lub zwrot ich do Fundacji. Prosimy również o uregulowanie należności za ostatnie SF. Wszelkie wpłaty prosimy kierować na konto Fundacji w PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-10012-270-1-111.

Z okazji Świąt Wielkanocnych Wesołego Alleluja prosimy przyjąć również od Wydawcy – Rady Fundatorów i Zarządu Fundacji Kresowej „Semper Fidelis”

Dyrektor
Fundacji Kresowej SF
D. Tabińska-Juhasz